

# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2015/3

[www.magazynhisteria.pl](http://www.magazynhisteria.pl)

Reymont wampiryczny

Eliza Krzyńska-Nawrocka

GOŚĆ SPECJALNY:

OLGA HABER

Dziwna opowieść

Władysław Reymont

CIENIE NAD MIASTEM | LIMITHOLORIS  
MUR | NOBLOWSKI CYROGRAF | OJCZULEK DENKE  
OTCZĘAŃ WIDZĄCYCH | PAMIĄTKA Z DZIECIŃSTWA  
PANDUR | PO MOJE ZEOTO, PO TWOJĄ KREW  
PRZESIA DKA

# SPIIS TREŚCI:

Słowo od redakcji		3
Wyznania Histeryka		4
CIENIE NAD MIASTEM	Cezary Fajfer	5
LIMITHOLORIS	Arkadiusz „Armiel” Mielczarek	20
MUR	Olga Haber	28
NOBLOWSKI CYROGRAF	Paweł Cieliczko	46
OJCZULEK DENKE	Angelika Januszewska	61
OTCHŁAŃ WIDZĄCYCH	Krystian Janik	66
PAMIĄTKA Z DZIECIŃSTWA	Ludwik Cyfer	81
PANDUR	Olga Rot	89
PO MOJE ZŁOTO, PO TWOJĄ KREW	Dagmara Adwentowska	100
PRZESIADKA	Jarosław Jakubowski	109
DZIWNA OPOWIEŚĆ	Władysław Reymont	118
Reymont wampiryczny	Eliza Krzyńska-Nawrocka	124

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Projekt okładki i skład:** Roman Panasiuk

**Ilustracje:** Dawid Boldys, Stanisław Lament, Roman Panasiuk

**Korekta:** Dagmara Adwentowska

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Witajcie!

Pisząc słowo od redakcji, za każdym razem zastanawiamy się, czy ktoś z Was choć raz dobrnął do jego końca, czy od razu zabieracie się za lekturę opowiadań. Emocje związane z wydaniem rocznicowej Histerii jeszcze nie opadły, a już piszemy wstęp do ósmego numeru, który wydaje nam się być równie dobry jak wydanie jubileuszowe.

Może na okładce nie ma tortu, ale zapewniamy, że przy lekturze każdego z jedenastu opowiadań najecie się strachu. Wśród autorów znalazł się nasz Gość Specjalny – Olga Haber. W oczekiwaniu na jej nową powieść pt.: „Wyklęci”, będziecie mieli okazję przeczytać premierowe opowiadanie „Mur”.

Jak już wiecie, konkursy literackie są stałą częścią naszego repertuaru. Majowa Histeria unosi się w oparach spirytyzmu i okultyzmu za sprawą trzech opowiadań z konkursu „Medium”, zorganizowanego ku czci Władysława Reymonta. Zanim przeczytacie „Dziwną opowieść” autorstwa naszego noblisty, zapoznajcie się z artykułem dr Elizy Krzyńskiej-Nawrockiej „Reymont wampiryczny”, który ukazuje mroczną stronę pisarza.

Swoje umiejętności zaprezentuje Wam również Olga Rot. Tym razem laureatka konkursu Love Cthulhu napisała opowiadanie przywodzące na myśl twórczość E.A. Poe.

Na kolejnej stronie czeka na Was wywiad z Przemysławem Karbowskiem, który po raz trzeci zdobył tytuł Histeryka Miesiąca.

Tyle od nas. Bójkcie się dobrze!

B. Jaworski i M. Zawadzki



# WYZNANIA HISTERYKA



**Przemysław  
Karbowski**

*Od ostatniego spotkania z Czytelnikami wyszło mi trochę włosów, a broda bardziej posiwiała, poza tym w normie. Wciąż nadęty i pyskаты, z miłości do historii, muzyki i piłki nożnej ciągle niewyleczony. Gdy zostałem Histerykiem po raz drugi, żartowałem o etacie, gdy zostałem po raz trzeci, zalałem się zimnym potem. Ani chybi spisek, cobym wykończył się z nadmiaru emocji... Dziękuję za głosy i pozdrawiam Czytelników.*

***Decyzją naszych Czytelników zostałeś Histerykiem Miesiąca po raz trzeci. Może nie jest to – używając terminologii piłkarskiej – klasyczny hat-trick, ale wynik naprawdę imponujący. Zdradź nam przepis na zwycięskie opowiadanie.***

Proszę bardzo: napisać i zebrać najwięcej głosów (śmiech). Poważniej i trzymając się futbolowej nomenklatury: mój ulubiony piłkarz – Frank Lampard – w barwach Chelsea F.C. ustrzelił kiedyś z Boltonem hat-tricka z rzutów karnych. Jak to z „jedenastkami” bywa: muszą pomóc koledzy, którzy dadzą się sfaulować w polu karnym; rywale, którzy się pogubią i popełnią błąd; ewentualnie sędzia, który da się nabrać. Wiem, że analogia nieostra, ale pomogą wygrać Czytelnicy, którzy dobrną do końca opowiadania, uznają, że im się podobało bardziej od dzieł rywali albo dadzą się nabrać, że jest lepsze i zagłosują. Ale strzelić trzeba samemu. A przepis? Opublikowałem tylko kilka opowiadań, więc nie będę się wymądrzał. Prawie wszystkie łączy zminimalizowanie prawie do zera elementów nadprzyrodzonych, szczypta historii, nutka kontrowersji i efekciarskie dialogi.

***Jak powstał pomysł na „Naprawiacza lalek”?***

Nie było czasu na pomyślniek, bo Szanowna Redakcja dała deadline, a ja miałem raptem godzinę na wysmażenie opowiadanka (śmiech). Punktem wyjścia był utajniony do końca XX wieku raport tzw. komisji Mazura, który czytałem kiedyś tam, a który opisuje w niewielkim wycinku sądowe bezprawie czasów stalinowskich w Polsce. Sporządzony jako element walki frakcji „Chamów” z „Żydami” w łonie PZPR po roku 1956.

***Gdzie można jeszcze przeczytać Twoje opowiadania?***

Debiutowałem w „Nowej Fantastyce” 12/2013 opowiadaniem „Śniadanie u Barabasa”. Antologię fantasy „Małe problemy wielkich bohaterów” wydawnictwa Craiis otwiera opowiadanie „Arnulf ma kłopoty”, a w e-bookowej antologii „Niedoczekanie”, wydanej przez RW2010, zawierającej historie alternatywne, przeczytać można „Klątwę biskupa Kaczmarka”. Zapraszam do lektury. Czytać, polecać, chwalić, ganić, byle po nazwisku. Dodam jeszcze, że u redaktora Michała Cetnarowskiego w kolejce do druku w „Nowej Fantastyce” czai się opowiadanie „Syn archanioła”. Już się bójcie...

***Gdybyś mógł zabrać ze sobą na bezludną wyspę tylko trzy książki, jakie byłyby to tytuły i dlaczego?***

Na bezludną wyspę to broń palną oraz białą, a nie książkę, ale... Mimo że cierpię na amnesia in litteris, sporo książek znam prawie na pamięć, te zostawiłbym w domu. A zabrałbym książki pisane piękną polszczyzną i nie za krótkie: „Krzyżowców” Zofii Kossak i „Lód” Jacka Dukaja. Tą trzecią byłby „Niemcewicz od przodu i tyłu” Karola Zbyszewskiego, żeby w przerwach w polowaniach pośmiać się przez gorzkie łzy, bo co można robić na bezludnej wyspie?

***Z jakim pisarzem chciałbyś się znaleźć w jednej antologii?***

Z największymi, żeby świecić światłem odbitym i jaśnieć w blasku ich sławy. Z wymienionymi wyżej oczywiście. Z Sienkiewiczem, Lemem, Sapkowskim, Łysiakiem, Cortázarem, France’em, Lagerkvistem, Wolfe’em, wymienić nie sposób, braknie numeru, a pomarzyć można, dziękuję za umożliwienie. O, i z Adolfem Nowaczyńskim, żeby było jeszcze kontrowersyjniej. A tak poważnie i obcesowo, mój problem, który, być może, jest też błogosławieństwem, a na pewno przyczynił się do mojego „Histerykowania”, jest taki, że, z małymi wyjątkami, nie czytam literatury grozy. Zeszyty z cyklu „Nie czytać o zmierzchu”, „Twierdza” Wilsona, „Wyklęty” Mastertona, „Nekroskop” Lumleya – na tym skończyłem horror-edukację wieki temu. Kinga znam tylko z „Ballady o celnym strzale”, wydrukowanej w „Fantastyce” w roku 1988... Poe, Lovecraft czy Walpole to inna bajka, bo czy to się komuś podoba czy nie, jest to klasyka literatury w ogóle, a nie tylko grozy. I tak z odpowiedzi na pytanie o sąsiedztwo w antologii zrobił się manifest zgreda, co olewa horror, mimo że fani horroru głosują na jego opowiadania (śmiech). A idzie mi tylko o to, że warto sięgać po klasyków literatury, bo zyskujemy wtedy rzecz bezcenną i, niestety, zanikającą: kontekstowe spojrzenie. Na horror i grozę też. Dziękuję za uwagę. Kłaniam się.

rys. Roman Panasiuk



# CIE NIE NAD MIASTEM

Cezary Fajfer

*W cieniach zawsze się kryją straszne zjawy, noc ma wieczną swą tajemnicę.*

Władysław St. Reymont, „Wampir”

Zima 1831 r. była nad wyraz mroźna, choć nie obfitowała w tęgie opady śniegu. Wrony krążyły ponad polami, przysiadając tylko niekiedy na przyprószoną białym puchem ziemię. Czarne ptactwo starało się znaleźć resztki pożywienia w zimowej zmarzlinie. Gdy któremuś udało się wygrzebać odrobinę ziarna, natychmiast rozpoczynała się wojna o życiodajne okruszyny. Niekiedy żołnierze rzucali krztynę pieczywa, aby nacieszyć oko ptasią bijatyką.

Ciemnoszare niebo ociężałe górowało nad rozległym krajobrazem. Słońce w żaden sposób nie potrafiło przebić się poprzez zwały chmur. Pomimo południowej pory świat spowijała aura jakiegoś dziwnego mroku. Po dość trudnym początku powstanie zaczęło nabierać tempa. Po bohaterskiej nocy listopadowej, w której przebudzony naród ruszył do walki przeciwko bestialskiemu bezprawiu, ugodowcy padali na kolana, prosząc o łaskę i zmiłowanie. Ta marna grupa lojalistów usiłowała lizać stopy caratu. Istną hańbą było rozbrojenie ludności po zdobyciu warszawskiego Arsenалу! Generał Chłopicki pozwolił ująć z Warszawy księciu Konstantemu, pod którego butem żyliśmy przez piętnaście lat! Na całe szczęście porażka jego polityki przyniosła nam detronizację cara. Po niepodległość musimy sięgnąć sami. Wystarczy wepchnąć nóż w ładacznicę Rosję, a wolność do nas powróci.

Z rozmyślań wyrwały mnie słowa adiutanta:

– Panie kapitanie, zbliżamy się do miasta! Czy będziemy wjeżdżać całą siłą?

– Niech oddział Jabłońskiego ruszy w podjazd. Należy zbadać teren. Zapowiedz też, że żadnych gwałtów i rozbojów tolerować nie będę, niemniej staniemy obozowiskiem.

– Tak jest! – zawołał porucznik, po czym zawrócił ostro konia, żeby przekazać rozkazy.

Jako dowódca kompanii musiałem dbać o swoich żołnierzy. Byli zmęczeni długim marszem, dlatego zasługiwali na odpoczynek w lepszych warunkach. Powstanie miało rozszerzać się na kolejne tereny i zgodnie z dyspozycją pułkownika Krasickiego mieliśmy zająć Ostrów.

Wąska droga coraz bardziej rozwidlała się. Po niedługim czasie, w oddali, zaczęły majaczyć mętne kształty miasteczka. Wtem ujrzałem podjazd Jabłońskiego.

– Melduj!

Jabłoński zdawał się być osobliwie pobladły, jakby coś go właśnie zatrwożyło. Z trudem próbował uspokoić konia. Wreszcie stanął przy mnie.

– Jakaś morowa cisza panuje nad miastem... Ludzi nie widać... Pustka... Tylko wrony kraczą... – bełkotał Jabłoński. Jego oczy zdawały się odtwarzać jakieś straszne obrazy.

– Weźże się w garść! – huknąłem natychmiast na podwładnego. Powoli zaczął wracać do naszego świata. – Cóżecie tam widzieli?

– Nikogo. Ni mogliły, panie kapitanie. – A jednak Jabłoński wciąż chrypiał niedorzecznie.

– I taka pustka was przeraziła? Wstyd! – prychnąłem na postawę doświadczonego żołnierza. – Chyba sam będę musiał przekonać się, co za dziwy tam panują. Piotrowski! Grotkowski! Za mną! – to mówiąc, ruszyłem w stronę zamglonego zarysu miasta.

Wkraczając między drewnianą zabudowę, zostaliśmy przywitani przez zimne powietrze. Zupełnie jakbyśmy wpełzli w jakąś lepka maź. Musiało to być jednak złudzenie. Zdarza się bowiem, że temperatura waha się na danym terenie, przybierając niekiedy chłodniejsze oblicze.

Ostrów był nad wyraz skromnym miasteczkiem. Z wiadomości uzyskanych w pułku dowiedziałem się, że liczył około trzystu mieszkańców. Wjechaliśmy na niewybrukowaną drogę. Konie pewnie kroczyły po zamrzniętych grudach ziemi. Na ulicach panował senny ruch. Gospodynie załatwiały codzienne sprawunki, a rzemieślnicy pracowali nad swoimi wyrobami. Na rogach ulic ustawionych było kilka straganów. Drobnicy kupcy handlowali jakimiś garnkami, szmatami i towarami zwykłego użytku. Wszystko to, co mówił Jabłoński, było jego nierozumnym przywidzeniem. Tak jak myślałem.

Nasz wjazd natychmiast ożywił mieszkańców. Wyglądali na przestraszonych.

– My powstańce! Nie bójcie się, ludzie! My Polacy. Żadna krzywda wam nie grozi! – zawołał donośnie adiutant Piotrowski.

Po chwili dogoniła nas reszta podkomendnych. W tym towarzystwie był również Jabłoński.

– I cóż, mości weteranie, rzekniesz? Gdzie ta morowa cisza? – ostro przypilem do sierżanta. W kompanii cenilem dyscyplinę i powagę. Nie mogłem pozwolić sobie na jakieś dziecinne rozprzężenie obyczajów.

– Nic nie rozumiem, panie kapitanie. Nie rozumiem... Wszak wszyscy z oddziałem widzieliśmy ten strach! Tę bladą trwożę... – Lica Jabłońskiego wciąż nie przybrały normalnego koloru.

– Hejże! Wy tam! – rzuciłem w stronę ludzi Jabłońskiego. – I wy widzieliście, to, co nam opisuje pan sierżant?

Odpowiedziała mi jednak cisza. Podlegli Jabłońskiemu żołnierze wpatrywali się tylko w ziemię. Mocno zagniewała mnie taka postawa.

– Co jest! Zapomnieliście języka w gębie?! Mam wam przypomnieć, gdzie wasze miejsce?! – ryknąłem na wyraźnie zawstydzonych żołnierzy.

– Panie kapitanie... bo to trochę inaczej było...

– Niż się wydaje... Bo pan...

– Bo sierżant...

– Niech jeden mówi! – powiedziałem surowo.

– Bo pan sierżant złamał szyk i wyrwał przed nas o kilka długości i nim myśmy zdążyli doń dojść, to pan sierżant już wracał ze spłoszonym koniem. – Za wyjaśnienia zabrał

się Głowacki. – Ale już byliśmy prawie w mieście i ludzi żeśmy widzieli – przerwał na chwilę relacjonowanie. – Zwyczajnie to wszystko wyglądało – dodał ze spuszczonego wzrokiem.

– Na Boga żywego! – zakrzyknął Jabłoński. – Przecie tam nic nie było! Jeno strach i trwoga!

– Musicie wypocząć, sierżancie. Droga była długa. Staniemy z kompanią obozowiskiem. – Nie chciałem pogrążyć Jabłońskiego w oczach wszystkich żołnierzy, którzy właśnie wchodzili do wypełnionego chłodem miasta.

Wokół zaczęła zbierać się kilkunastoosobowa grupa gawiedzi. Odziani byli w brudne, obdarte łachmany. Umorusane, bezzębne gęby gapiły się na nas tępym wzrokiem. W niewielkim tłumie dostrzegłem kilku kalekich, ni to mieszczan, ni żebraków. Podpierali się na drewnianych kulach. Kobiety i mężczyźni mieli na nogach drewniane chodaki. Wszystkie były mocno znoszone. Mimo dużego chłodu wielu spośród tejże biedoty założyło je na boscie stopy. Tylko szczęśliwsi mieli je poobwijane obskurnymi szmatami.

Wtem ozwał się Piotrowski:

– Słuchajcie, ludzie! Przed wami ważna osobistość. To pan kapitan Jan Rakowski wiedzie kompanię powstańczą, aby was wyzwolić z carskiej niewoli.

Tłum zdawał się w ogóle nie pojmować znaczenia słów mojego adiutanta. Liszajowate facjaty wciąż spoglądały na nas pustym spojrzeniem. Jeden z handlarzy rzucił do nas pytanie:

– To co tera będzie? – W jego głosie wcale nie dawało się odczuć niepewności. Był raczej pełen pretensji. Lęk mieszczan zaczął się rozchodzić w mazistym powietrzu.

– Teraz Polska tu nastanie! – zawołałem z powagą, choć moje słowa nie wywołały na mieszczanach żadnej entuzjastycznej reakcji.

– Prowadzić pana kapitana do ławy miejskiej! – dorzucił się do moich słów Piotrowski.

– A na co takiemu szlachetce chadzać do tych psubratów? – rzekł jeden z kalekich.

– Toć wszyscy wiedzą, że oni złamanego grosza nie są warci! – powiedział ktoś inny.

Bardzo zdumiał mnie stosunek mieszczan do władz Ostrowa. Wypowiedziany z nadzwyczajną bezczelnością i brakiem wstydu. Wszak zwierzchnictwu należy się stosowny szacunek! Po chwili jednak usłyszałem jeszcze bardziej zaskakujące słowa:

– Oni tam z samym diabłem paktują. Miejcie baczenie – ozwała się młoda, może dwudziestoletnia dziewczyna. Mocno wychudzoną twarz oplatały kruczoczarne włosy. Jej oczy zionęły czernią, pełną smutku i bólu. Iskrzyły się wśród tłumu jak dwa kamienie węgielne. Chciałem sondować ją jakimś zapytaniem, lecz już nie dostrzegłem dziewczki. Rzecz wyglądała, jakby rozplynęła się wśród tłumu, choć wcale nie odwróciłem swojej uwagi.



Szukałem jeszcze owej dziwnej istoty zagubionym wzrokiem, jednak nigdzie nie mogłem jej dostrzec.

– Panie kapitanie, powinniśmy udać się do burmistrza – przypomniał mi powierzone zadanie Piotrowski.

– A tak. Dokonamy tego niezwłocznie – odparłem w zadumie.

Ból i smutek. To właśnie one stały w jej oczach niczym brat i siostra. Niczym zgodni kochankowie. Kim była? Nie mogłem oderwać od niej myśli. Dziewczyna pojawiła się nagle i równie nagle przepadła po tych tajemniczych słowach. Zawsze byłem człowiekiem racjonalnym. Nigdy nie dawałem oszukać swoich zmysłów zwykłym przywidzeniom i omamom wywoływanym przez przyrodę. Niezbicie wierzyłem w potęgę rozumu, starając się w sposób logiczny pojmować rzeczywistość otaczającą człowieka. Lecz jak, u licha, wyjaśnić ten przypadek? Wszak nie odwróciłem spojrzenia od miejsca, w którym stała owa dziewczyna, a jednak gdzieś zniknęła. I wciąż moją głowę świdrowały jej czarne oczy. Pełne bólu i smutku.

Ratusz odnaleźliśmy bez żadnego trudu. Był to obskurny i brudny budynek, choć jako jeden z niewielu w miasteczku został prawie w całości wymurowany. Drewniana wieżyczka sprawiała wrażenie, jakby miała za chwilę runąć. Krążyły nad nią liczne stada wron, które po chwili przysiadły na belkach. Jednak ciemne niebo i wtedy nie było puste, bowiem w powietrze wzbijała się kolejna chmara czarnego ptactwa.

Schody wewnątrz ratusza były oparciem dla niejednego kroku. Obecnie pozapadały się ze starości, jakby chciały pochłonąć napotykaną wędrowców. W hallu przywitała nas jedynie cisza. Czyżby odzwiernego zwolniono ze służby? Cóż to za porządk! Sprężystym krokiem weszliśmy do sali ławniczej. Przy podłużnym stole siedziało kilku mężczyzn. Odziani byli w czarne, znoszone fraki. Podnieśli głowy na nasze wejście.

– Panowie powstańcy? – zapytał jeden spośród ławników. Czyżby już ktoś zdążył im donieść o naszym wjeździe do miasta?

– Widać po umundurowaniu, żeście wojskowi. – Najwyraźniej spostrzegli zaskoczenie na mojej twarzy. Słowa te wyrzekł ten sam mężczyzna, który przed chwilą zabrał głos. – Poza tym i do naszego Ostrowa dochodzą wieści o działaniach powstańczych – dodał po chwili. Zdawał się być postacią najmożniejszą spośród wszystkich siedzących. Trudno jednak mówić, iż w rzeczywistości wyglądał godnie. Wyróżniał się jedynie na tle ostrowskich ławników.

– Kapitan Jan Rakowski herbu Trzywdar – przedstawiłem się pewnym głosem. – Prowadzę kompanię, aby utworzyć przyczółki zaopatrzenia. Lecz przede wszystkim

oznajmiam wam, że plugawy car Mikołaj został zrzucony z polskiego tronu.

– Czyli coś przynosicie? Tylko wojnę?

– My niesiemy wam wolność, ludzie! Dzięki narodowemu zrywowi żyjemy w wolnej Polsce.

– Na nic nam się nie przyda to oswobodzenie. W owym świecie jeno najbogatsi są wolni, a szary człowiek marnie trwa pod butem wielkiego pana – odpowiedział zuchwale. Nie chciałem jednak rozpoczynać rządów nowej władzy od ukarania jednego spośród ławników miejskich.

– Jak to, waść jesteś przeciwnikiem prawowitego porządku?

– A pan, mości kapitanie, wierzy w jedyny porządek na świecie? Jeden słuszny ład ustanowiony przez Boga?

– Jest to należyty i święty porządek, którego strzec należy – odpowiedziałem nieco zmieszany. Nie wiedzieć czemu, ale odczułem pewne zakłopotanie.

– A co jeśli świętości nie ma? Co jeśli niczego nie ma, poza tym, co widzimy i czujemy? – Nieznajomy ławnik świdrował mnie chłodnym wzrokiem.

– Nie przyszedłem prowadzić tu dysput teozoficznych. – Chciałem odciąć się od rozmowy, która zaczęła wkraczać na zupełnie niespodziewane szlaki. – Moje przybycie ma zgoła inny charakter. Który z was jest burmistrzem Ostrowa?

– Rozmawiasz z nim waść. Nazywam się Henryk Landau i przewodzę tej skromnej mieścinie, lecz coś mi się zdaje, że od teraz zaprowadzicie u nas powstańcze porządki.

– Zgodnie z listem pana pułkownika Krasickiego, zostałem czasowo mianowany komendantem miasta. Rada ma obecnie pełnić jedynie obowiązki doradcze – powiedziałem z naciskiem.

– Zatem przejmujesz władzę, mości kapitanie. Nie odczuwasz lęku?

– Sprawy miejskie wam pozostawiam. Ja, na mocy nadanego mi prawa, będę pilnował spokoju i porządku.

– A to dobrze się składa – rzekł oleistym głosem Landau. – Wszak jest w naszym mieście pewna sprawa wymagająca uregulowania. Otóż niedaleko cmentarza położony jest niewielki dworek. Stary to budynek, pamięta jeszcze czasy króla Sobieskiego, a może i starsze. Należał do szlacheckiego rodu Wałdowskich. Niegdyś była to bogata familia, posiadająca sporo zagonów ziemi, ale z biegiem czasu znacznie zubożeli, by ostatecznie stracić cały majątek. W zrujnowanym dworze żył jeszcze ostatni z rodu – Jakub Wałdowski. Był to człek osobliwy, egzystował zupełnie odcięty od świata, nikt go nie odwiedzał, a i sam dość rzadko opuszczał swoje domostwo. Pod koniec życia zupełnie postradał zmysły. Ponoć

parał się alchemią i czarną magią. Od czasu, jak powiesił się we własnym domu, zachodzą tam niezwykajne zjawiska. Raz widziano tam jakąś kobietę w bieli, całą zakrwawioną od pasa w dół, innym razem ktoś napotkał dzieci błakające się po zmroku. Podobno pytały przechodniów o drogę do domu.

– I te wszystkie dziwy działały się w okolicach owego dworu Wałdowskich? – zapytałem z niedowierzaniem.

– Te, i jeszcze inne, a strach o nich mówić – Landau ściszył głos. – Ponoć w nocy słyszał tam wrzaski i jęki. Jakby tam jacyś ludzie w mękach konali.

– A cóż ma do tego komendantura powstańcza? – Już się domyślałem, czego oczekuje ode mnie burmistrz ostrowski.

– Wszak wy, jako przedstawiciele nowej władzy, winniście wyjaśnić tę niezwykłą sprawę, mości kapitanie. Sami powiedzieliście, że odpowiadacie teraz za porządek i spokój w mieście.

– Zajmę się tym w najbliższym czasie, ale zapewniam was, burmistrzu, że przyczyna tych dziwnych wypadków okaże się całkiem prozaiczna – odrzekłem po chwili. Jakkolwiek żądania Landaua brzmiały kuriozalnie, nie mogłem jednak odmówić jego dezyderatom. Niestety, miał rację. Odpowiadałem za spokój w mieście. Chciałem już opuścić ratusz, lecz nagle przypomniała mi się jeszcze jedna sprawa. – Powiedz mi, burmistrzu, czy uważasz się za dobrego gospodarza? Cała gawiedź mocno narzekała na radę miasta.

– A cóż to, mości kapitanie, wierzysz w słowa tych obdartusów? – odpowiedział Landau nieco oburzony. – Wszak zwolennik trwałego ładu społecznego powinien pamiętać, że lud zawsze będzie narzekał na swoją władzę.

– Burmistrz ma swą odpowiedź na wszystko – odparłem oschle.

Cała scena mojej rozmowy z burmistrzem była wyjątkowo dziwna. Nie byliśmy sami we wnętrzu ratusza, lecz mój adiutant, jak i ławnicy miejscy, sprawiali wrażenie nieobecnych, byli jakby skonfundowani milczeniem. Czyż mogło to być realne? Ależ tak! Wszak moi żołnierze wiedzieli, że nie mogę znieść, gdy ktoś wtrąca się do rozmowy prowadzonej przeze mnie. Przecie toż samo mogli myśleć podwładni Landaua. Wychodząc z owego ratusza, czułem do siebie żal, iż w ogóle zgodziłem się podejmować wyjaśnienia tej iście groteskowej sprawy, lecz słowo się rzekło. Za pomocą potęgi rozumu rozwikłałem tajemną zagadkę spowitą wśród cieni niewiedzy ludzkiej.

Grotkowski zajął w międzyczasie niewykorzystywane przez mieszkańców spichlerze. Znakomicie nadawały się na skoszarowanie kompanii. Żołnierze na pewno nabiorą sił do dalszej walki.

– Dobrze się spisałeś – pochwaliłem Grotkowskiego, gdy skończył meldować. Podziękował grzecznym ukłonem i oddalił się.

– Panie kapitanie, Jabłoński jest niezdrów. – Tym razem to Piotrowski informował mnie o stanie kompanii.

– Jak to? Cóż z nim?

– Legł pogrążony w malignie. Wciąż majaczy o bladej trwodze i o wronach. Medyk mówi, że przyczyną jego słabości jest nadmierny szok, wywołany nagłym zjawiskiem.

– Prowadź mnie.

Po raz kolejny tego dnia pokonywałem zapadłe schody. Tym razem wiodły one wśród nieużytkowanych spichlerzy. Przeszliśmy przez kilka pomieszczeń, w których wypoczywali żołnierze. Niektórzy suszyli ubrania, bądź dokonywali ich reperacji. W wielu kotłach bulgotała stawa. Ze względu na niewielkie okna we wnętrzu było dość ciemno.

Wreszcie znaleźliśmy się przy leżach Jabłońskiego. Pomimo gorączki był wyjątkowo blady, zaś jego ciało owładnęły drgawki. Wokół chorego znajdowało się kilkanaście świec, które jakoś nie potrafiły przebić panującego mroku. Wierny żołnierz wyglądał dość mizernie, jednak niespodziewanie rozwarł oczy.

– Trochę zaniemogłeś, sierżancie – powiedziałem wesołym tonem. – W cieple szybko do siebie dojdiesz. Dobry moment wybrałeś na swoją chorobę – zaśmiałem się na koniec.

– Wokół są tylko cienie... – powiedział grobowym głosem Jabłoński. Wzdrygnąłem się. – Krążą nad nami jak wrony. Zawładnęły naszymi zmysłami. Są jeszcze strach i blada trwoga... Nic więcej... – Znowu poddał swoje ciało chorobie, bowiem zamknął oczy.

Wycofałem się niezwłocznie z zaciemnionej sali. Nie czekałem na słowa medyka. Scena ta zrobiła na mnie spore wrażenie. Jeszcze nie słyszałem, żeby osoba pogrążona w febrze majaczyła w ten sposób. Musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. We wnętrzu zapelnionych obecnie spichlerzy było dość duszno.

U podnóży drewnianych budynków napotkałem zimową szarugę. Powoli nastawała gęsta noc. Cóż to się stało Jabłońskiemu, że tak nagle zachorował? Czy mógł zobaczyć coś tak upiornego, że niemal postradał zmysły? Przecież jego podkomendni dostrzegli zgoła zwyczajne obrazy.

Zaczął prószyć lekki śnieg. Wszelki ruch na nieoświetlonych uliczkach Ostrowa zamarł. Dużo dziwnych wypadków zdarzyło się w tej miejscinie. Nazbyt wiele, by można wciąż mówić o zbiegach okoliczności. Nieprzerwanie nosiłem w głowie malowidło czarnych oczu naznaczonych cierpieniem. Czułem, że powinienem odnaleźć tę tajemniczą dziewczynę.

Nie patrzyłem, dokąd idę. Nogi same mnie niosły. Przechadzając się wśród

zabudowań miasteczka, czułem, jakbym ich nigdy nie widział, a przecież dzisiaj przyjechałem i zdążyłem zobaczyć prawie cały Ostrów. Idąc przed siebie, napotykałem jedynie stada wron, które wirowały między płatkami śniegu. Skromne za dnia drewniane czynszówki wydawały mi się teraz strzeliste i złowrogie, jakby zamieszkałe przez niepojęte istoty. Zdawałem się być bezradnym wędrowcem w labiryncie bez wyjścia. Czyżby i mnie rozum zawodził?

Nagle wyrósł przede mną gmach, którego z pewnością nie widziałem do tej pory. Domyśliłem się bez trudu, co ukazało się moim oczom. Zgodnie z opowieściami Landaua dwór Wałdowskich był bardzo zniszczony. Drewniane ściany oplatały gałęzie bluszczu. Kamienne fundamenty oblepiała zielona pleśń. Dom otaczały bezlistne drzewa, które przypominały rozczapierzone szpony. Wśród gęstwiny nocnej dwór sprawiał wyjątkowo upiorne wrażenie.

– Niebezpiecznie jest tak chadzać po nocy, waszmość. Nie wiadomo, co może kryć się wśród cieni.

Odróciłem się natychmiast. Moje wnętrzności ścisnęły się, gdy usłyszałem lodowaty głos. Przede mną stała piękna i szykowna niewiasta. Odziana była w gustowny, czarny płaszcz wyszywany srebrnymi nićmi. Sięgał do jej kostek, a nawet dalej, gdyż dotykał śniegu. Jej blond włosy upięte były w wysoki kok. Zdecydowanie wyglądała na osobę szlacheckiego pochodzenia.

– Zapomniałeś waszmość języka? – powiedziała znowu. Jej głos przeszywał mnie do szpiku kości.

– Nie zapomniałem, pani, tylko nie spodziewałem się kogoś spotkać o tej porze – odrzekłem w końcu.

– Zatem tym większe dla waszmości zaskoczenie. Cóż tu pana sprowadza?

– Postanowiłem wybrać się na nocny spacer. – Nie wiedziałem, co odpowiedzieć na jej pytanie.

– I nogi przywiodły cię pod dwór naznaczony krwią? Czy to może ciekawość twoja? Odpowiedz mi. – Jej blade lica spoglądały na mnie bez uśmiechu. Zupełnie traciłem przy niej wszelką śmiałość.

– Burmistrz nalegał, abym zajął się dziwnymi wypadkami związanymi z owym domem, choć osobiście nie dowierzam w ich prawdopodobność.

– Czyżbyś uważał, że rozumem możesz objąć cały świat?

Już chciałem odrzec srebrnej pani jakieś słowa, lecz nagle posłyszałem wołanie:

– Panie kapitanie! Panie kapitanie! – Z ciemności wyłaniały się sylwetki

Piotrowskiego i innych moich ludzi.

– Myśleliśmy, że coś się stało niedobrego z panem! – powiedział na mój widok Piotrowski.

– Jak widać, niewam się dobrze. Cóż cię sprowadza, poruczniku? – zapytałem zmarznięty.

– Jabłoński umarł. Uznałem, że musi pan wiedzieć o tym natychmiast, kapitanie.

– Nie sądziłem, że ta nagła gorączka jest stanem śmiertelnie poważnym – opowiedziałem z przejęciem. Żał mi było oddanego żołnierza, który skonał utraciwszy zmysły. Odwróciłem się, aby pożegnać napotkaną nieznajomą, lecz za moimi plecami nie ujrzałem nikogo! Piotrowski chyba dostrzegł moje zachowanie, bowiem zapytał:

– Panie kapitanie, źle się pan poczuł?

– Rozmawiałem tu z pewną niewiastą. Czyś nie widział, w którą stronę poszła? – Wciąż rozglądałem się wokół. – Wszak musiałeś ją widzieć.

– Nikogo nie widziałem, panie kapitanie. Stał pan tu zupełnie sam – powiedział nieśmiało Piotrowski.

Strzelista ciemność zawirowała mi w oczach, dokładnie jak płatki śniegu. I wrony. Liczne wrony, które tańczyły nad nami jak cienie. Tej nocy utraciłem nie tylko wiernego żołnierza. Utraciłem także swoją wiarę w potęgę rozumu.

Nie pamiętam drogi powrotnej do koszarów. Pamiętam jedynie, że przechadzałem się wśród ruin, wielkich, czarnych szczytów. Byłem jak maleńka drobina wobec nieznanego i niepojętego wymiaru. Czy może o tym śniłem? W ten sposób zastanawiałem się następnego ranka. Siedziałem przy otwartym oknie, patrząc na szary krajobraz. Obecnie Ostrów wyglądał zupełnie zwyczajnie. Skromna i obskurna zabudowa nie odznaczała się niczym wyjątkowym, zaś mieszkańcy prowadzili swoje normalne życie, które zastaliśmy, wjechawszy do miasteczka. W pewnym momencie coś mną tknęło. Wśród obdartego tłumu ujrzałem dziewczynę o czarnych oczach. Tak, to niewątpliwie była ona! Niezwłocznie rzuciłem się ku schodom, a po chwili znalazłem się między ciżbą.

Rozglądałem się rozpaczliwym wzrokiem, lecz oto znów błysnęła mi jej drobna sylwetka. Wybiegała właśnie w stronę jednej z wąskich uliczek. Pędem przecisnąłem się przez mieszczan i udałem się za nią. Przyspieszyła kroku, lecz mimo to jej wątła postać zaczęła się zwiększać. Wreszcie ją dogoniłem. Nie mogła już biec, odwróciła się z przestachem i zawołała:

– Nie czyń mi waść krzywdy!

Oczy. Znów je widziałem. Ból, cierpienie, smutek i niezwykła żalność. Tonąłem

w czarnej rozpaczycy jej spojrzenia. Wreszcie zobaczyłem jej całą sylwetkę. Była ode mnie znacznie niższa, poszarpane łachmany ledwie wisały na chudych ramionach. Pofalowane włosy mizernie okalały wyschłe policzki. Obróciłem głowę wokół. Byliśmy na cmentarzu. Jedynymi świadkami naszej rozmowy będą powykrzywiane, kamienne nagrobki i karłowate topole.

– Uspokój się! Nic ci się nie stanie. A może jesteś zjawą albo duchem?

Jej twarz wykrzywił drobny grymas ironicznego uśmiechu.

– Nie, waszmość. Jestem takim samym człowiekiem jak i ty, lecz cóż to za życie, które ja wiodę.

– Widzę, żeś naznaczona męką.

– Męką? Panie, ja każdego dnia i każdej nocy przechodzę katorgi. Widzę. Widzę i słyszę wszystko. Dostrzegam codziennie rzesze tułających się zjaw, które nie zostały przepuszczone na Tamtą Stronę. Krzyczą, wołają o pomoc. Taki jest mój dar. To dar pośredniczenia pomiędzy dwoma brzegami, choć dla mnie jest przekleństwem. Nigdy nie zaznam spokoju. – W jej czarnych oczach kipiały tortury.

– Czyliż jest coś poza naszym rozumowym światem?

– Ależ jest, waszmość. Ziemski padół przenikają cienie, które noszą wielką tajemnicę. Jest też wiele innych duchów, które nie potrafią trafić – urwała na chwilę, nie mogąc odnaleźć słowa – tam gdzie powinny się znaleźć – dokończyła cicho.

– Zatem można nawiązać kontakt z Tamtą Stroną? – zapytałem niemal szeptem.

Dziewczyna ożywiła się natychmiast. Potrząsnęła czarnymi włosami i odrzekła:

– Można, ale nie warto tego czynić. Nie należy igrać z mocami, których zgoła nie pojmujemy, bowiem mogą nas pochłonąć w nieznaną otchłań.

– Czyli to dlatego mnie ostrzegłeś? Wczoraj byłeś w tłumie.

– A tyś już był waszmość w ratuszu? Nie mieszaj się do historii tego zakłętą dworu! Być może to cienie... być może to ich sprawa.

– Czemuż to? Wszak mówiłaś, że niektóre duchy trzeba przeprowadzić na tę Drugą Stronę. – Chciałem jak najwięcej dowiedzieć się od dziewczyny.

– Zbyt wiele tragedii jest związanych z tym domem. Zbyt wiele bóleści. Nie znam ich, a jednak je wyczuwam. Nie mieszaj się, waszmość.

– A jeśli cię nie posłucham? Może dla spokoju umarłych należy rozwikłać tę zagadkę?

Widziałem wahanie w jej zachowaniu. Chwilę przestępowała z nogi na nogę, aż wreszcie wyrzekła:

– Może masz słuszność. Czasem i ja tak myślałam o tej tajemnicy. Przyjdź pod dwór

przed północą. – Po czym szybkimi krokami zaczęła odchodzić ode mnie.

– Zaczekaj! – zawołałem za nią. – Jak cię zwą?

Odwróciła się, a ja znów utopiłem się w boleści jej oczu.

– Nazywają mnie Małgorzatą.

Zostałem sam wśród ruin cmentarnych obsypanych śniegiem. Biały puch zaczął właśnie popadywać. Otuliłem się szczelniej oficerskim płaszczem. Na połamanych nagrobkach siedziały wrony. Zacząłem przyzwyczajając się do ich nieustającej obecności.

Jakże łatwo zmieniło się moje usposobienie wobec spraw kompanii w ciągu tych kilkunastu godzin. Gdy żołnierze przychodzili składać mi meldunki, zupełnie nie angażowałem się w ich słowa. Wędrowały jakoś obok mnie. Podwładni musieli dostrzec tę moją niezwykłą obojętność, lecz na razie nie dawali tego po sobie oficjalnie poznać. Cały dzień spędziłem gapiąc się przez okno. Ogromnie przeciągały się te chwile. Noc zbliżała się powolnie, małymi krokami. Któż wie, co jest po drugiej Stronie?

Mrok rozszerzył swoje źrenice. Nad miastem zapadła martwa ciemność. Gwiazdy pozbawione były wszelakiej mocy. Na niebie panowała niemierzalna czerń. To już czas.

Znów szedłem upiornymi ulicami miasta zupełnie mi nieznanego. Puste, powyginane ulice straszyły swym wyobcowaniem. Zastanawiałem się nawet, czy kroczyć jeszcze po ziemskim padole.

W otchłani nocy ukazywały się groźne kształty dworu Wałdowskich. Wiatr huśtał pazurami drzew. Dom zdawał się być opuszczony od lat. Jakże zna tajemnice? Tego zamierzałem się dowiedzieć. Zbliżyłem się do nieodgadnionych ruin.

– Witaj, waszmość – usłyszałem nieśmiały głos Małgorzaty. Miała ze sobą przewieszony przez ramię płócienny worek. – Musimy chyba wejść do środka, aby obrzęd przeprowadzić – dodała jeszcze.

Niczego zgoła nie odpowiedziałem na jej stwierdzenie. Skinąłem jedynie głową i razem z nią udałem się w kierunku spróchniałych drzwi.

We wnętrzu przywitał nas zapach rozkładu i ciemność. Nieprzenikniona ciemność. Usłyszałem trzask potartej zapalniczki, a potem ujrzałem rozdygotane dłonie Małgorzaty, które rozpałyły niewielką świeczkę. W towarzystwie małego ognika światła wkroczyliśmy do rozległego pomieszczenia, które niegdyś pełniło funkcję salonu. Małgorzata zaczęła wyjmować z worka długie gromnice. Po chwili w pokoju pojawiło się nieco więcej światła, mimo wszystko wciąż otaczał nas ocean ciemności. Dziewczyna następnie narysowała na drewnianej podłodze jakieś dziwne znaki. Coś na kształt kilku przenikających się kręgów.

– Na cóż te zawilości? – zapytałem cicho. Czulem, że nie tylko ja lękam się



nieznanego.

– To wszystko, aby duchy mogły nas dostrzec. – Zamilkła na chwilę. – Gotowys, waszmość?

– Gotów – odrzekłem skąpo.

– Klęknij zatem tu, wśród tych świec. Kolana i dłonie przytknij do kręgu.

Uczyniłem, co nakazała. Niemal natychmiast począłem słyszeć jakieś szepty, kroki i szmery. Małgorzata mówiła wyrazy, ale przestały być dla mnie zrozumiałe. Poczułem dotyk czyichś dłoni na swoich ramionach, mimo że nadal dostrzegałem wątlą sylwetkę dziewczyny. Jednak ciemność wirowała coraz mocniej.

Słońce. Po raz pierwszy od dawna widziałem słońce. Błękitne niebo i beztroskie chmury wisiały ponad zadbanym dworem Wałdowskich. Zdawały się to być jakieś inne czasy, wyraźnie wcześniejsze od naszych. Dzieci ubrane w białe sukmany wesoło bawiły się wokół domu. Uśmiechnąłem się na ten widok. Nagle spokojny obraz zmienił się jak potłuczone lustro. Barwy przeminęły, słońce zniknęło, panował tylko krzyk! Jakieś wojsko wieszało na gałęziach drzew płaczące dzieci. Nienaturalnie powyginane ciała kobiet były brutalnie kaleczone przez niezaspokojoną chuć żołnierzy. Krzyczały. Lamentowały. Gdy któryś skończył, podrzynał gardło skatowanej niewieście. Pod ścianą domu leżała sterta pomordowanych mężczyzn. Z ciał sączyła się struga krwi. Apokalipsa.

Zapadła na chwilę ciemność, lecz znów ujrzałem dwór Wałdowskich skąpany w ciepłych promieniach słońca. Roześmiani ludzie siedzieli pod drzewami. Mieli przed sobą kosze z jedzeniem oraz butelczyny z winem. Żartowali. Bawili się. Po prostu cieszyli się życiem. I znów czarna chmura zakryła niebo. Widziałem mękę, istną pożogę. Wojsko tratowało rozpędzonymi końmi uciekających w przerażeniu ludzi. Strach przybierał cielesne oblicze. Rozradowani żołnierze bezlitośnie cięli szablami struchlałe ciała. Dym. Kłęby gęstego dymu. Lamentujący ziemianie zostali przywiązani do drzew. Ogień wił się ostrymi płomieniami. Drzewa płonęły, a wyjący z bólu ludzie wraz z nimi.

Ciemność.

Na powrót przebłysk słońca, jasności i beztroski. Wszystko teraz działo się znacznie szybciej. Obraz był mniej ostry. Znowu jakieś wojsko mordowało, paliło i gwałciło. Słyszałem krzyki. Słyszałem wrzaski. Słyszałem błagania o litość. Zdawało mi się, że oprawcy mówią po rosyjsku. Wśród targu cierpienia stałem bezsilny. Płakałem wraz z umierającymi. Płakałem wraz z udręczonymi. Pożoga wirowała w moich oczach, aż w końcu zlała się z ciemnością. Nie dostrzegałem już niczego.

Wyczułem płaskie i twarde kształty pod moją twarzą. W nozdrza wpadał mi zapach

znajomej stęchlizny. Znajdowałem się we dworze. Wreszcie zdołałem otworzyć oczy. Za oknami zdawało się świtać. Świece już dawno zostały wypalone. Małgorzata siedziała naprzeciwko mnie. Ledwie podtrzymywała się na rękach. Wyglądała na skrajnie wyczerpaną. Była upiornie blada. Zwróciła czarny wzrok w moim kierunku.

– I cóż widziałeś, waszmość? – zapytała słabym głosem.

– Ujrzałem zagładę. – Nie odpowiedziałem od razu. – Ujrzałem plagi wojenne. Ów dom jest naznaczony orężną hekatombą – rzekłem z przestachem.

– Jakże to tak? – Małgorzata zdawała się nie rozumieć, o czym mówię.

– Przez Ostrów, jak przez cały nasz kraj, przewinęło się wiele klęsk wojennych. Najpierwej najechali Szwedzi. Okrutnie rabowali i mordowali ludzi. Ledwie pięćdziesiąt lat później gnębiciele ci powrócili z równie wielką mocą. Nie mieli sobie równych w swych zbrodniach. Pod koniec stulecia zeszłego biliśmy się z moskiewskim caratem o zachowanie wolności, jednak na próżno były wysiłki nasze. Klęska była nieuchronna. Również i wtedy mordy nie miały końca. Lecz cóż mogą znaczyć owe wizje? Czemuż je wdziałem? – pytałem pełny bezradności.

– Nie wiem, waszmość. To rzecz niepojęta dla ludzkiego umysłu. Pozostaje nam się modlić za prochy umarłych – powiedziała niemal bezdźwięcznie Małgorzata.

– A może to jakie ostrzeżenie? Tylko czemu Druga Strona mówi do nas tak tajemniczo?

– Błąkającym się duszom nie wolno do nas przemawiać wprost. Nie znam przyczyny ukazania się tych strasznych obrazów, lecz możesz mieć słuszność co do jakiegoś ostrzeżenia. Aczkolwiek istnieją także i zwodnicze cienie.

Tymczasem na zewnątrz słyhać było jakiś niezwykle gwar, zupełnie niepasujący do małego miasteczka. Natychmiast wstałem, aby przekonać się co do źródła tego zgiełku. Dopiero gdy znalazłem się na nogach, poczułem zmęczenie. Jednak w chwilę później wyszedłem z nawiedzonego dworu.

Uderzyło mą twarz mroźne powietrze. Stalowy nieboskłon królował ponad miastem. Dostrzegłem wielu ludzi, którzy biegali w popłochu, jakby miało zaraz nadjeść coś złego. Miasto pogrążone było w panice. Podążałem w stronę spichlerzy. Podążałem pośpiesznie w labiryncie strachu. Wreszcie dotarłem pod miejsce skoszarowania. Żołnierze także biegali w popłochu. Niektórzy nawet jeszcze nieubrani. Między lękiem i trwogą wirowały niezliczone stada wron. Miriady czarnego ptactwa gapiły się na przelękłych ludzi. Wreszcie znalazłem Piotrowskiego. Rozpaczliwie podbiegł do mnie i wykrzyknął w hałasie:

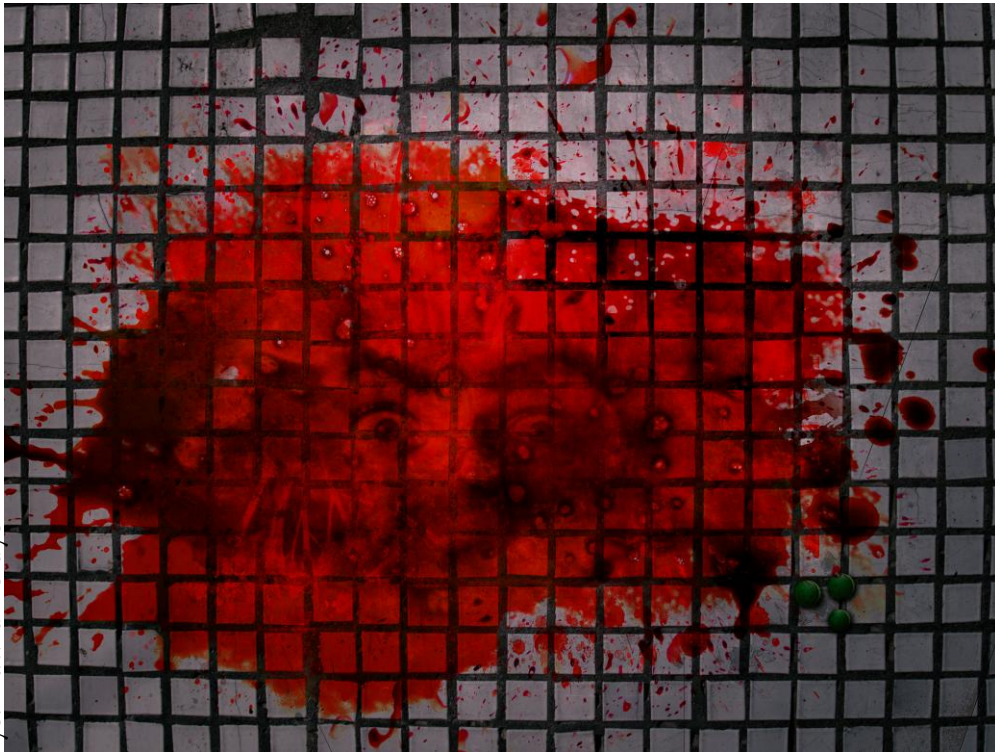
– Mości kapitanie, Moskale! Wszędy Moskale! Miasto otoczone! Pożoga!

Zacisnąłem swoje pięści. Odetchnąłem głęboko zimnym powietrzem, by zagrzmieć piorunowym głosem:

– Na stanowiska! Gotuj broń! Jeszcze nie umarliśmy!

Zaiste. Żyliśmy jeszcze, choć nad miastem zebrały się cienie.

rys. Dawid Boldys



# LIMITHOLORIS

Arkadiusz „Armiel” Mielczarek

– To naprawdę nic wielkiego i mogło przytrafić się każdemu. Nie ma powodu do obaw.

Tak sprawę tłumaczył lekarz. Jednak Adam swoje wiedział. To, że takie rzeczy przytrafią się właśnie jemu – Adamowi Pachniale, lat dwadzieścia sześć, urodzonemu pechowcowi – było łatwe do przewidzenia. Pewne tak, jak dziura budżetowa i kłamstwa polskich polityków. Adam często mawiał o sobie, że jego życie jest jakimś niezrozumiałym żartem pokreconych, okrutnych sił wyższych, które powinno zamknąć się w wariatkowie, dla dobra kosmicznego ładu i wszechświatowej harmonii – o ile coś takiego w ogóle istniało. Fakt faktem, że zawsze, kiedy Adam chciał zrobić coś dobrego ze swoim życiem, to podstawiało mu nogę i zasadzało potężnego kopa w dupę, gdy już leżał. Tak jak teraz.

A zaczęło się, jak zawsze, od błahostki.

Któregoś dnia, zaraz po przebudzeniu (czyli około dziesiątej), Adam stanął przed lustrem w łazience i spojrzał na swoją niezbyt przystojną (by nie powiedzieć: szpetną) twarz.

Krytycznie ocenił przerośnięty nochał, piegi i pryszcze, nierówne, lekko zbrązowiałe zęby i wyjęczał tradycyjne, „o ja pierdole!”. Przede wszystkim jednak skupił uwagę na obwisłym, bladym brzuchu i wielkim, tłustym tyłku, ledwie mieszczącym się w przyciasnych bokserkach. A potem, zamiast jak zawsze wrócić do wyrka, ni z tego, ni z owego Adam postanowił zmienić coś w swoim bezwartościowym, szarym i nudnym życiu. Rzecz jasna, takie postanowienia Adam czynił co najmniej kilka razy w miesiącu, nigdy jednak nie podejmując rzuconej samemu sobie rękawicy. Tym razem jednak było inaczej, bowiem Adam poczuł jakiś wewnętrzny przymus, by dotrzymać słowa danemu temu szpetnemu koleśowi patrzącemu na niego z lustra.

Podbudowany tym mocnym postanowieniem Adam zjadł lekkie śniadanie, ubrał się w zapomniany dres, który kiedyś pasował na niego idealnie, a teraz nagle stał się w kilku miejscach nieco za ciasny – siedzenie przed komputerem, śmieciowe zarcie i napoje gazowane zrobiły swoje z jego ciałem – i wyszedł z mieszkania pobiegać. Może ze sto metrów dalej potknął się i upadł, tłukąc okulary i kolano. I na tym skończyła się kilkuminutowa przygoda Adama ze sportem i zdrowym trybem życia. Z rozbitym kolaniem, ścigany szyderczym śmiechem kilku rozbawionych jego upadkiem gimnazjalistek, wrócił kuszykając do domu.

Adam Pachniała nadal mieszkał z matką, jak znaczny procent rodaków w jego wieku, których nie stać było na opuszczenie rodzinnego gniazda i założenie własnej rodziny. Co prawda Adam nigdy nie czuł się orłem, więc nie miał ochoty za szybko rozwijać skrzydeł i latać zbyt daleko od kochającej matki, ciepłych obiadów i wypranych ubrań. Taką życiową bierność ułatwiał fakt, że Pachniała był jedynakiem, a jego matka przejawiała wyraźnie diagnozowalną i odrobinę niezdrową nadopiekuńczość, w głębi duszy ciesząc się z tego, że „*jej ukochany Adasiek nadal mieszka ze swoją mamusią*”. Obojgu pasował taki układ i przyjęty podział ról. Zenobia Pachniała była świetną księgową, a jej pracę doceniało kierownictwo jednego z największych i najlepiej płacących zakładów produkcyjnych w mieście, dzięki czemu ani ona, ani syn nie musieli martwić się o pieniądze. Dodatkowym atutem, przynajmniej dla Adama, był fakt, że matka bardzo często zostawała w pracy po godzinach, co pozwalało mu na spędzanie czasu przed komputerem oraz realizację ulubionych aktywności na tym polu: oglądania porno, masturbacji i grania w gry.

To matka wygoniła w końcu Adama do lekarza, zaniepokojona bólami synka, więc młody Pachniała przez kilka krótkich, wyrodnych chwil właśnie ją obwiniał za to, co go spotkało. Co prawda diagnoza była dość dobra: Adam doznał lekkiej kontuzji kolana, która nie powinna w przyszłości skutkować poważniejszymi problemami. Jednak ta „lekka

kontuzja” niemiłosiernie bolała i Adam po prostu nie dawał sobie rady z cierpieniem, jakiego doświadczał. Pachniała od zawsze był wrażliwy na ból. Mdał przy pobieraniu krwi lub u dentysty, a widok rozciętego palca wywoływał u niego falę osłabienia. Nic więc dziwnego, że cierpienie, jakie odczuwał przy chodzeniu, porównywał z najwymyślniejszymi torturami stosowanymi przez służby specjalne w tajnych więzieniach.

Adam był gotów zrobić wszystko, by przestało go boleć. Nie pomagały mu jednak żadne środki przeciwbólowe kupowane w aptece i zjadane w tempie czekoladek pochłanianych przez dziecko uzależnione od cukru. Zawodziły nawet te lekarstwa przepisane przez lekarza na receptę, chociaż cholerny konował najzwyczajniej w świecie uznał Pachniałą za hipochondryka i mamisynka, czym zrobił sobie w Adamie śmiertelnego wroga. Kiedy mocniejsze leki przestały działać, a ból nie ustąpił, Pachniała oszukał matkę, że idzie znów do lekarza i zrobił to, co w swoim przekonaniu powinien zrobić już dawno temu. Skorzystał z największego cudu współczesnej cywilizacji. Internetu.

\*\*\*

Na wzmiankę o tym cudownym leku natrafił na jednej z przeglądanych stron internetowych o radzeniu sobie z cierpieniem fizycznym. Lekarstwo nazywało się „Limitholoris” i – jak zapewniał dystrybutor – było unikatowym rozwiązaniem w walce z bólem na skalę światową. Reklamowane jako łatwo przyswajalne, niegroźne dla zdrowia, naturalne i oparte na tajemnicach ziołolecznictwa starożytnych Sumerów, zwróciło od razu uwagę Adama. Użytkownicy korzystający z limitholorisu wystawiali mu wyjątkowo dobre opinie, nazywając specyfik takimi określeniami, jak: cudowny, niewiarygodny, wspaniały, anielski czy wręcz magiczny. To ostatnie porównanie wyjątkowo przypadło Adamowi do gustu. Uwielbiał gry cRPG dziejące się w światach fantasy i wszystko, co magiczne zawsze go fascynowało. Nie był jednak głupcem. Nie chciał wydać pieniędzy na witaminę C lub jakieś groźne dla zdrowia pastylki. Najpierw dokładnie przestudiował wszystkie zawieszzone na stronie dystrybutora certyfikaty zdrowia. A było ich naprawdę sporo! Nie tylko te polskiego Ministerstwa i Narodowego Funduszu Zdrowia, ale również firm farmaceutycznych i ekspertów spoza kraju. Do tego dochodziły prestiżowe nagrody, wyróżnienia i trofea zdobyte w kilkunastu konkursach na najlepszy produkt medyczny ubiegłego roku. To przekonało Adama, który nie wahając się więcej zamówił darmową próbkę, pokrywając jedynie koszty przesyłki.

\*\*\*

Czekał dwa dni, aż kurier przyniesie upragniony medykament, zabijając przez ten czas ból kolana pizzą i najnowszą częścią Far Cry. Podziwiał wytrzymałość jej wirtualnego bohatera, który mimo karkołomnych skoków jakoś nie odnosił bolesnych kontuzji.

Na paczuszkę Adam rzucił się jak na nową grę CD Projektu, rozdzierając papier zaraz po tym, jak zamknął drzwi za kurierem. Na początku poczuł się trochę rozczarowany, nawet zawiedziony. Spodziewał się błyszczącego opakowania i bajeranckich ozdób na pudełku, a lekarstwo wyglądało niepozornie, wręcz nijako jak na lek stworzony przez sumeryjskich kapłanów, którzy wszak posiadli tajemnice nieznane nawet dzisiejszym farmaceutom, jak zapewniała strona limitholorisu. Pigułki były nieduże, lekko zielone, zamknięte w zwykłej, niepodpisanej, plastikowej fiolce. Darmowa próbka liczyła osiem sztuk limitholorisu. Zalecano dawkę trzech-czterech pigułek dziennie, co oznaczało, że leku nie wystarczy na długo.

Adam wyjął jedną pigułkę z fiolki i powąchał, wyczuwając wyraźny zapach delikatnych ziół – zapewne pustynnych roślin znanych starożytnej cywilizacji Sumerów. Zielonkawa pigułka, popita obficie colą, gładko spłynęła do żołądka Pachniały, a kilkanaście minut później Adam zupełnie zapomniał o bólu. Lekarstwo faktycznie było takie, jak pisali użytkownicy. Rewelacyjne! Wszystkie wypisane przez doktora ketonale i inne kupowane w drogeriach apapy mogły się schować.

Godzinę później Adam Pachniała zakupił trzy opakowania po dwadzieścia tabletek, nie przejmując się naprawdę wysoką ceną i wystawił następny pochlebny komentarz na stronie sprzedawcy.

\*\*\*

Adam spojrzął w lustro i uśmiechnął się do swojego odbicia. Odkąd brał limitholoris, jakoś łatwiej akceptował swój wygląd. Nie przeszkadzały mu już zbyt duży nos, przetłuszczona cera i włosy czy brzydkie zęby. Poza działaniem przeciwbólowym lekarstwo Sumerów poprawiało samopoczucie, nawet lepiej niż marihuana, którą zdarzyło mu się popalać na studiach, nim z nich zrezygnował.

Pachniała połknął poranną pigułkę, rozkoszując się jej ziołowym, słodkawym posmakiem. Przeszedł go doskonale znany i wyczekiwany dreszcz przyjemności, a potem rozleniwiające gorąco rozlało się po jego ciele. Adam westchnął cicho, czując, jak sztywnieje mu członek i zamknął oczy. Jak zawsze po przyjęciu dawki, pod powiekami przelatywały mu

wielobarwne wzory: jakieś znaki, figury, splecione ze sobą trapezy, kwadraty i trójkąty, zmiennobarwne pentagramy i zwykłe koła, dziko pulsujące energią. Adam jęknął z zachwytu i wszedł pod prysznic, gdzie dokonał aktu szybkiego samogwałtu. Zawsze bawiła go ta nazwa. Samogwałt. Przecież gwałt wiązał się z brakiem zgody, a on najzwyczajniej w świecie chciał w tej chwili to zrobić. Musiał szybko rozładować napięcie, jakie odczuwał. Kiedy spojrział w dół zobaczył, że jego nasienie ma lekko zielonkawy kolor. Podobnie zresztą jak mocz. Miał jednak zbyt dobry humor, by się przejmować takimi drobnostkami. Przecież nic go nie bolało, a zabarwienie wydzielin jego ciała związane było zapewne z zielonkawym kolorem pigułek! Limitholoris był spełnionym marzeniem o lepszym życiu.

\*\*\*

Adam obudził się w środku nocy zlany potem. Śnił jakieś nieprzyjemne, deliryczne sny, które jednak uleciały z jego pamięci zaraz po przebudzeniu. Mimo że umysł wyparł koszmary, to jednak Pachniała dygotał cały z odrazy i zgrozy.

Wstał ciężko, zapalając światło trzęsącą się dłonią. Westchnął chrapliwie i wtedy wyczuł ten zapach. Jakby stare jajka, które przegniły na słońcu. Adam podszedł do okna, otworzył je, by trochę przewietrzyć pokój. I wtedy się zaczęło.

Najpierw coś gwałtownie poruszyło mu się w żołądku. Zakotłowało, jakby połknął kilka żywych węży lub jednego, lecz niezwykle zwinnego i ruchliwego. Potem ujrzał, jak skóra na brzuchu napina mu się, jakby ktoś lub coś z jego ciała próbowało wydostać się na zewnątrz. Od razu przypomniała mu się kultowa już scena z filmu „Obcy: ósmy pasażer Nostromo”. Z tym, że tutaj coś napierało nie na splot słoneczny, lecz bezpośrednio na jego obwisły, blady i lekko owłosiony brzuch.

Adam nie czuł bólu. Jednak widok rozciągającej się skóry spowodował, że o mało nie zemdleł. Szybko dotarł do łóżka, usiadł na nim ciężko i chwycił się obiema dłońmi za opuchliznę. Popychał ją szaleńczo paluchami, ugniatał, próbując wcisnąć wybrzuszenie na miejsce. Pod dłońmi czuł wyraźnie jakieś szybkie, energiczne ruchy, jakąś dziką, podskórną kotłowanie.

W końcu jednak przerażająca ruchliwość w jego trzewiach zamarła, a wybrzuszenie znikło. Rozdygotany z przerażania Adam położył się na łóżku, niezdolny do jakiegokolwiek aktywności. Mógł tylko zalegać płasko, niczym pozbawiony woli manekin lub porzucona, przygruba lalka z sexshopu dla ludzi o nieco pokręconych potrzebach seksualnym. Pocił się, dygotał i trząsał. Sam nie wiedział, kiedy ponownie zasnął. A kiedy Adam obudził się rano, nie



był pewien, czy scena z czymś żywym, co próbowało przedrzeć się przez jego bebechy, nie była kolejnym fragmentem koszmaru. Jedyne, jaki utkwiał w poszarpanej pamięci Pachniały.

Po wzięciu porannej pigułki limitholorisu Pachniała poczuł jednak przypływ samozadowolenia i nocne majaki ustąpiły miejsca nowej grze komputerowej. Dopiero po chwili zorientował się, że pokój jest wychłodzony, więc zamknął okno.

\*\*\*

– Co jest, kurwa? – Palce Adama nerwowo stuknęły po klawiaturze.

W oszołomieniu wpatrywał się w litery układające się w czytelny, prosty komunikat: NIE ODNALEZIONO SERWERA. Bezдушny napis nie zniknął, niezależnie od tego, ile razy Adam odświeżał stronę. Nie wyglądało to dobrze, a zapas tabletek powoli się wyczerpywał. Adam zmełł w ustach przekleństwo i wstukał nazwę specyfiku w okno wyszukiwarki. Potem spróbował jeszcze z połączeniami słów, takimi jak „tabletki Sumerów”, „sumeryjskie lekarstwo”, „sumeryjskie środki przeciwbólowe”. Też bez pożądanego efektu. Strona dystrybutora znikła. Wyparowała z sieci, zaprzeczając stwierdzeniu, że cokolwiek zostanie w niej umieszczone, nie ma szans zginąć.

Rozpaczliwie, czując ogarniającą go panikę, Adam rozpoczął poszukiwania od nowa. To potrafił robić doskonale. Zawęził obszary tematyczne, przeszukiwał fora poświęcone specyfikom przeciwbólowym i medycynie niekonwencjonalnej, aż w końcu trafił na artykuł policyjny o zlikwidowanej, nielegalnej wytwórni środków chemicznych i dopalaczy. Pośród długiej listy specyfików widniała ta, której Adam poszukiwał. Limitholoris.

Na stronie policyjnej, poza informacjami jeżącymi przetłuszczone, rudawe włosy na głowie Adama, znajdował się również plik wideo. Adam uruchomił go szepcząc szaleńcze „o kurwa, o kurwa, o kurwa” jak zapętloną mantrę, ale nagranie potwierdziło tylko to, co policja zamiesiła w swoim sieciowym komunikacie. Na ekranie umundurowany funkcjonariusz ostrzegał potencjalnych klientów przed zażywaniem jakichkolwiek produktów z załączonej listy.

– Sprzedawane specyfiki były skrajnie niebezpiecznymi substancjami, mogącymi powodować ostre reakcje alergiczne, jak również poważne skutki uboczne, w tym również śmierć zażywających je osób – informował policjant głosem profesjonalisty.

– O kurwa! – Tym razem Adam jęknął już głośno, czując, jak zalewa go zimny, cuchnący pot.

– Jak ustalono w trakcie prowadzonego śledztwa, serwer, na którym działała polskojęzyczna strona dystrybutora, należał do ugrupowania religijnego, nazywającego się „Nowe życie”, znajdującego się na liście najniebezpieczniejszych sekt świata, powiązanych z radykalnymi odłamami islamu. Dwa lata temu, także rozprowadzając nielegalne i niesprawdzone leki, sekta doprowadziła do śmierci kilkudziesięciu osób w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie. Ktokolwiek może podać jakieś informacje na temat osób mogących mieć styczność z produktami firmy znanej w Polsce pod nazwą TMS – Tajemnice Medycyny Sumeryjskiej, prosimy o niezwłoczny kontakt z policją. Jeżeli ktoś przyjmował jakikolwiek ze specyfików wymienionych na naszej liście, niech bezzwłocznie skontaktuje się z najbliższym szpitalem. Jeżeli ktokolwiek wie o osobach zażywających którąkolwiek z substancji znajdujących się na naszej liście, niech natychmiast poinformuje ją o tym fakcie i zawiadomi lekarza.

Kiedy nagranie dobiegło końca, Adam poczuł niespodziewany, gwałtowny skurcz w jelitach i kotłowanie w żołądku. Czując, że zaraz narobi pod siebie, poderwał się z krzesła i pobiegł najszybciej, jak tylko mógł w takich okolicznościach, w stronę ubikacji.

\*\*\*

Ledwie zdążył zdjąć ubranie i usiąść na sedesie, nieczystości chlusnęły z niego niczym wodospad płynnego łąjna. Po niewielkim pomieszczeniu rozszedł się straszliwy odór, od którego zapiekły Adama oczy. Pachniała jęknął przeciągle, czując niepokojące ruchy perystaltyczne jelit, chociaż nadal nic go nie bolało. Pocił się jak pacjent w ostrym stadium malarii i trzął jak przy wyjątkowo wysokiej gorączce, chociaż czoło miał lepkie od potu i bardzo zimne. Zamknął oczy, kiedy półpłynna, śmierdząca zgnilizną zawartość jego jelit, znów hałaśliwie bryznęła do toalety.

Adam zakrztusił się własnymi wyziewami i poczuł, jak trzecia, niepowstrzymana fala płynów opuszcza jego ciało, tym razem jednak wybierając usta, jako drogę ucieczki z organizmu. Pachniała zwymiotował na swoje kolana i stopy, z przerażeniem widząc, że to, co wyrzucił jego żołądek, jest rozwodnioną, spienioną krwią. Płyn był jednak gęstszy, bardziej treściwy – przypominał rzadki kisiel żurawinowy – lepki i ciągnący się niczym smarki.

Adam wydał z siebie przerażony kwik. Zadygotał konwulsyjnie na sedesie, płacząc i skamłając w napadzie absolutnej paniki. Spróbował podnieść się na nogi, zawołać matkę, ale szalejące jelita znów wymusiły na nim, by został w pozycji siedzącej. Tym razem Adam miał

wrażenie, że coś wielkiego przepycha się przez jego flaki, przeciska przez zwieracze, rozrywając je na strzępy i zmieniając jego tyłek w poszarpany kawał tłustego mięcha – ale nadal nie czuł bólu, tylko czyste, zwierzęce przerażenie. Atawistyczny strach przed tym, do czego doprowadzi koszmarna defekacja.

W kilka sekund po wyrzuceniu zawartości jelit, nadciągnęła kolejna fala torsji. Pachniała nie miał już siły by nawet jęczeć. Nie był w stanie usiedzieć prosto, osłabiony i gwałtownie odwodniony. Jedyne, co mógł zrobić, to zgiąć się wpół i wyrzucić z siebie następną porcję gęstych, czerwonych wymiocin. Te wyniszczające organizm sekwencje: rozwolnienie – torsje, rozwolnienie – torsje – pochwytyły Adama Pachniałę w niekończącą się karuzelę wydalania i szaleństwa. Nieszczęśnik nie miał już sił, by krzyżeć, by wołać o pomoc, która i tak nie miała szansy nadejść. Uwięziony w toalecie, płakał i modlił się bezgłośnie do bezdusznych, prześladowających go sił wyższych, by darowały mu życie.

W pewnym momencie ucichł, zobojętniał, a potem osunął się powoli z toalety i dotknął głową zanieczyszczoną podłogi wyłożonej równo kafelkami, z których zawsze dumna była jego matka.

W takiej pozycji – cuchnącego, martwego i zimnego – znalazła go Zenobia Pachniała, gdy wieczorem wróciła do domu, a rozpaczliwy wrzask, jaki wyrwał się z jej ust, ściągnął do mieszkania wszystkich sąsiadów z bloku.



# MUR

Olga Haber

Znowu ten krzyk... Rozdzierający, mrozący krew w żyłach, pulsujący w trzewiach nocy – niczym niedająca się zasklepić rana... Wyrwany z płytkiej drzemki Konrad zerwał się z fotela i starając się robić jak najmniej hałasu, podszedł do okna. Dobiegający od strony lasu nieludzki wrzask zdążył już ucichnąć, jednak jego wspomnienie wciąż wibrowało mu pod czaszką. Zerknął na sofę. Okryta kraciatym pledem Beata spała; jakimś cudem nawet nieludzkie zawrodozenie nie zdołało wyrwać jej ze snu. Odchylił spłowień od słońca, kwiecistą zasłonkę i wyjrzał na zewnątrz. Nie wiedział, która godzina, ale musiał być środek nocy. Ciemność wciąż jeszcze była absolutna – żadnej zapowiedzi świtu, żadnej nadziei... Wziął głęboki wdech, starając się opanować drżenie rąk i szaleńcze bicie serca. Płonął. Odkąd tu przyjechali, wciąż było mu gorąco. Jakby nagle, zupełnie bez powodu, zaczęła go trawić gorączka. Poza tym i nieco szybszym biciem serca, czuł się w zasadzie dobrze. Nie licząc narastającego niepokoju i świadomości zagrożenia, które czaiło się tam gdzieś na zewnątrz, pośród otaczających niewielką polanę lasów. Beata wymamrotała coś przez sen. Konrad

podszedł do sofy i naciągnął koc na jej odsłonięte, bose stopy. W ciągu dnia było upalnie, jednak noc przyniosła spore ochłodzenie. Wrócił do okna i jeszcze raz wyjrzał na zewnątrz. Cisza. Miał już ponownie zapaść się w fotel, kiedy w noc wdarł się kolejny ochryply krzyk. Młody mężczyzna przygryzł wargi, zaciskając palce na trzonku trzymanej w dłoni, wyrwanej ze starego krzesła, drewnianej nogi. Niczego innego nie miał... Nic, nawet noża. Masło rozsmarowywali widelcem, chleb jedli krojony. Uchylił okno. Na zewnątrz mżyło, nocne powietrze orzeźwiająco pachniało żywicą. Krzyk niósł się pomiędzy drzewami, w końcu ucichł, a Konrad mógł mieć tylko nadzieję, że tym razem na dobre.

Beata obudziła się chwilę później i bosa, z potarganymi od snu jasnymi włosami, podeszła do stojącego przy oknie mężczyzny.

– Znowu krzyczała? – szepnęła.

– Powinienem tam pójść – powiedział cicho Konrad.

– Przecież wczoraj niczego nie znalazłeś. Przedwczoraj też nie – przypomniała mu.

– Ta kobieta...

– Tam nie ma żadnej kobiety! Nie może być, nie rozumiesz?! – krzyknęła.

– Cicho! Słyszałaś? – syknął Konrad, odciągając dziewczynę od okna.

Zbladła. Nawet w nikłej poświacie wpadającego przez rozchylone zasłonki księżycowego blasku widział, jak z jej twarzy gwałtownie odpłynęła krew.

– Nie słyszysz szeptów? Wczoraj w nocy też je słyszałem – powiedział.

Przecząco pokiwała głową. Zauważył, że cała się trzęsie i objął ją ramieniem. *Powinniśmy się przespać. Bez względu na wszystko powinniśmy złapać chociaż odrobinę snu, zanim do reszty tu ześwirujemy* – pomyślał.

Byli przy prowadzących na niewielkie poddasze, drewnianych schodach, kiedy gdzieś za oknem ktoś zaczął gwizdać. Konrad podejrzewał, że wokół niewielkiego domku spaceruje Radek, ale i tak postanowił sprawdzić.

– Zostań tu – rzucił autorytatywnym tonem.

Beata usiadła na schodach i podciągnęła kolana pod brodę. Wychodząc, starannie zamknął za sobą drzwi na klamkę. Trawa była mokra od rosy; przyjemnie schładzała jego bosa stopy. Radka nigdzie nie zauważył, gwizdanie też ustało. Miał wracać, kiedy pomiędzy drzewami zauważył kilka przecinających się snopów światła, zupełnie jakby kilka osób przechadzało się tam z latarkami. Zacisnął palce na nodze od krzesła. Ostatnio nosił ją ze sobą wszędzie, przechadzając się wokół drewnianych domków, jak jakiś przyglup z ulubioną zabawką w dłoni...

Był mniej więcej na środku polany, kiedy zobaczył kobietę – ubrana w zwiewną, białą sukienkę, niczym święta z pamiętanych z dzieciństwa obrazków, stała tuż przy pierwszej linii drzew, wyraźnie się w niego wpatrując. Obrócił się w stronę domku. Miał nadzieję, że w oknie zauważy śledzącą go wzrokiem Beatę, ale zasłonki były starannie zasunięte. Ruszył w stronę ciemnego lasu, starając się nie myśleć o krzyku, który po raz kolejny brutalnie rozdarł nocną ciszę. Jego wspomnienie wciąż jednak było żywe – dosłownie całym sobą czuł ból, rozpacz i strach tej, która wśród nocy bezskutecznie błagała o pomoc. Beata mówiła, że to tylko umysł płata im figle. Ale przecież wyraźnie ją słyszał... Dziesięć metrów, siedem, pięć – był już niemal przy niej, kiedy nieznajoma kobieta w bieli rzuciła się pomiędzy drzewa – zadziwiająco zwinna, wyraźnie zdeterminowana, żeby mu uciec. Zaczął biec, potykając się o wystające korzenie. Rozpięte pomiędzy drzewami pajęczyny oblepiały mu twarz, drobna ściółka raniła bosc stopy. W końcu się zgubił, wessała go ciemność. Las stał się złowrogi; nasiliły się dziwne szelesty, otoczyły go szepty. Obrócił się wokół własnej osi niczym ślepiec po omacku szukający wyjścia z labiryntu.

– Ja śnię. To tylko koszmarny, zupełnie popieprzony sen – powiedział na głos.

Za jego plecami ostrzegawczo trzasnęła gałązka. Strach podszedł Konradowi do gardła i zacisnął na nim paluchy. Obrócił się gwałtownie, przy okazji niemal tracąc równowagę. I wtedy zrozumiał – przecież świetnie znał tę kobietę!

– Monika? – wyszeptał, zszokowany jej widokiem.

Stała tuż przy nim, może jakieś dwa metry od niego – piękna, leciutko uśmiechnięta, podobna do marmurowych rzeźb, które w dzieciństwie widział w jakimś nudnym muzeum.

– Przecież nie żyjesz, nie żyjesz – rozplakał się.

Jak mogła przed nim stać, skoro od lat leżała w olbrzymim rodzinnym grobowcu razem z dziadkiem Franciszkiem, babcią Rozalią i ciotką Zuzanną... Jak mogła tu być, skoro rokrocznie kładł kwiaty na jej grobie i zapalał dla niej świece... Wspomnienia przyszły nagle, jak zawsze nieproszone. Jej nagie, umazane zakrzepłą krwią ciało, rozłożone na poduszce włosy, ziejąca rana na szyi. Miał jedenaście lat, kiedy ją znalazł i nigdy nie potrafił wymazać tego obrazu z pamięci. Rodzice powiedzieli mu, że włamał się do nich zły, chory człowiek i zabił ich Moniczkę. Dopiero mając dwadzieścia dwa lata, dowiedział się, że w obłąkańczym szale zazdrości zamordował ją jej były chłopak.

– Monika...

Zjawa wyciągnęła do niego rękę. Opadł na kolana. Wilgotna ściółka cuchnęła zgnilizną, las zdawał się szumieć coraz bardziej złowieszczo. Uśmiechnęła się. Spokojna, piękna, rozmarzona. A później rozchyliła usta, z których wypęzła obrzydliwie tłusta larwa.

Za nią pojawiły się następne, zupełnie jakby ciało jego zmarłej siostry było swego rodzaju futerałem na insekty – czarne chrząszcze, oślizgłe beżowe larwy i ciemnobrązowe glisty, które w dzieciństwie lubił zabijać plastikową łopatką – upiorny pochód robactwa przyprawił go o mdłości.

– Muszę już iść – powiedziała.

A może tylko tak mu się wydawało? Przecież duchy nie mówią... Złapał ją za kostkę, błagał, żeby jeszcze została. Z jej łydki odpadł płat skóry; smród zgnilizny dosłownie odebrał mu oddech.

– Monika! – krzyknął, ale już jej nie było.

Wytarł ręce o spodnie. Śliski płat skóry upadł w ściółkę, szepty wokół jego głowy jeszcze się nasiliły. Zatkał uszy dłońmi i kiwał się w przód i w tył, dopóki na dobre nie stracił przytomności.

Obudziło go silne pragnienie. Było mu zimno i gorąco jednocześnie, pod powiekami miał piasek. Wstał i otrzepał ubranie z liści. Świtało, co przyjął z nieklamana ulgą. Polana była tuż obok – musiał stracić przytomność kilkanaście metrów od ścieżki. Beata czekała na werandzie – otulona pledem, blada, z podkrążonymi oczyma. Nie zapytał, jak jej minęła noc. Przecież wiedział, że marnie. W dodatku miał wyrzuty, że zostawił ją samą. Podała mu garnuszek z ledwie letnim mlekiem i znoszoną, szarą bluzę z kapturem. Przez chwilę chciał jej opowiedzieć o tym, co widział nocą w lesie, ale nie potrafił ubrać w słowa spotkania ze zmarłą siostrą i tego, jak bardzo jej widok ożywił bolesne wspomnienia.

– Usiądź. – Beata przesunęła się na skraj drewnianego stopnia i Konrad przycupnął u podnóża niewielkiej werandy.

Mleko musiało lekko się przypalić i smakowało po prostu paskudnie. Wypił jednak całe i wciąż czuł pragnienie.

– Jesteś rozpalony. – Beata musnęła jego czoło samymi opuszkami palców i oparła głowę na jego ramieniu.

Nie wiedział, jak długo tak siedzieli – wtuleni w siebie, zatopieni we własnych myślach. Dopiero zamieszanie przy sąsiednim domku postawiło ich na nogi.

– Co ona robi? – Beata osłoniła oczy od słońca i z rosnącym niedowierzaniem przyglądała się szokującej scenie – Jadwiga, starsza, siwowłosa kobieta, która mieszkała sama, uderzała głową o wspierający werandę, drewniany słup.

Radek – łysiejący i wyjątkowo nerwowy chłopak, którego Konrad od początku nie lubił, usiłował jakoś ją powstrzymać, ale staruszka odepchnęła go tak mocno, że poleciał prosto w rosnące pod domkiem pokrzywy.

– Zrobi sobie krzywdę. – Beata wstała i rzuciła pled na schody.

Konrad ruszył w ślad za nią i chwilę później trzymał już staruszkę za ramiona. Rozbiła sobie głowę – krew z jej skroni spływała na beżową bluzkę, kilka kropel splamiło jasnobłękitną, sięgającą kolan spódnicę. Łup! – zanim Konrad zdołał ją powstrzymać, Jadwiga jeszcze raz rąbnęła głową o drewniany słup. W końcu z pomocą Radka złapali ją za ramiona, ale staruszka wciąż stawiała zaskakujący opór.

– Uspokój się. Musisz... – Beata nie dokończyła, bo siwa kobieta szarpnęła głową i kłapnęła zębami, jakby chciała ją ugryźć.

W końcu zaczęła warczeć – niczym dzikie, zaszczute zwierzę, obnażyła pożółkłe zęby i wydała z siebie przeciągły charkot. Konrad trzymał ją dobrze, był pewien, że mu się nie wyślizgnie. A jednak... Wystarczyła sekunda nieuwagi, żeby oszalała staruszka zdołała mu się wyrwać. Ruszyła w stronę lasu. Biegła żwawo, niemal nieludzko szybko, wśród wysokiej, wciąż jeszcze lśniącej od porannej rosy trawy bieleły się jej porośnięte jasnymi włosami łydki.

– I poszła... Jebnięta sucz! – Czerwony na twarzy Radek splunął w pokrzywy i roztała ramię, w które się uderzył.

Beata powiedziała, że trzeba by za nią iść, ale nikt nie miał na to ochoty. W końcu usiedli na przyniesionych z jednego z domków leżakach i zapatrzili się w ścianę lasu.

– Może trzeba jeszcze próbować się stąd wydostać? Może za szybko się poddaliśmy? – szepnęła Beata.

– Chcesz, to próbuj! – warknął Radek, posyłając jej pełne niechęci spojrzenie. – Nie sforsujemy wysokiego w chuj, kamiennego muru. Do tego drut kolczasty i cholera wie co po drugiej stronie. – Chłopak ponownie splunął w trawę i podrapał się po pogryzionej przez komary łydce.

– Musi być stąd jakieś wyjście! – krzyknęła Beata.

Konrad położył jej dłoń na ramieniu i zapatrzyl się w las.

– Dobra, jeszcze raz – co pamiętacie? – zapytał po chwili.

– Już przecież mówiłem, nie? Przyjechałem tu na spotkanie z przyjaciółmi, ale nigdy nie dotarli. Wy obchodzicie drugą rocznicę ślubu i chcieliście urządzić sobie wakacje z dala od cywilizacji, a Waldek ma jakieś problemy ze swoją starą i zerwał jej się ze smyczy.

Na wspomnienie Waldka, Konrad spojrzal w stronę jednego ze stojących tuż przy linii drzew domków – Waldemar od początku wyraźnie izolował się od grupy, a od paru dni niemal nie wychodził na zewnątrz.

– Słyszeliście krzyki? W nocy, mogło być koło drugiej albo trzeciej nad ranem – powiedział nagle Konrad.



– Mnie ktoś zapukał w okno – powiedział Radek.

Beata zaczęła płakać – nagle, zupełnie bez powodu, jakby coś w niej pękło.

– Daj spokój, kotku. Już dobrze. – Konrad pogłaskał ją po policzku i pocałował w szyję.

Wieczorem rozpalili ognisko i nawet czerwony na twarzy Waldek, który cały dzień przesiedział w domku, zjawił się, żeby z nimi posiedzieć.

– Powinniśmy poszukać Jadwigi – powiedziała Beata. – Jeśli przez cały dzień błąkała się po lesie, jest już pewnie mocno odwodniona.

– Przecież szukaliśmy! Ile jeszcze razy mamy się przedzierać przez te kurewskie chaszczki?! – Radek najwyraźniej nie był entuzjastą pomysłu.

– Musimy trzymać się razem, nie rozumiecie?! – krzyknęła.

Radek powiedział, że go to jebie.

– Ktoś bardzo brzydko nas wkręca i tyle. Nie będę się włóczył po krzakach, żeby szukać tej staruchy! – wrzasnął.

– Uspokójcie się! – Konrad wstał i sięgnął po leżący na ziemi patyk z wystruganą końcówką. – Powinniśmy coś zjeść i przejść się do lasu.

– Po ciemku, bez latarek? – warknął Radek.

– A masz lepszy pomysł? – syknęła Beata. – Jutro to możesz być ty. Podoba ci się myśl, że nie kiwniemy nawet palcem, żeby cię znaleźć?

– Sam się, kurwa, znajdę! – odburknął.

W końcu jednak ruszył z nimi i w czwórkę, potykając się o korzenie, gęsiego weszli między drzewa.

– Powinniśmy zabrać wodę. Jeśli się zgubimy...

Beata nie dokończyła i wyraźnie pobladła.

– Słyszeliście? – szepnęła.

– Co? – zdziwił się Radek.

– Dziecko płacze – powiedziała.

Przystanęli, nasłuchując. Jednak ciszy letniego wieczoru nie zakłócał żaden najmniejszy nawet dźwięk.

– Słyszałam wyraźnie! Głos dochodził gdzieś stamtąd, płakało małe dziecko! – Beata wskazała palcem kierunek i rzuciła się pomiędzy drzewa.

Konrad pobiegł za nią, jednak szybko stracił ją z oczu – zupełnie jakby nagle wessała ją ciemność.

– Beata! – krzyknął, ale odpowiedziała mu cisza i przyspieszone oddechy towarzyszących mu mężczyzn.

Niespodziewanie został sam; otoczony aksamitną ciemnością, pogrążony w upiornej ciszy. Ciemność zdawała się gęstnieć z minuty na minutę, przypominała gęstą maź, z której ciężko mu było się wyplątać. Szedł, co chwilę wołając żonę; wokół jego głowy krążyły obce głosy, obce szepty. Nagle się zatrzymał, porażony zagadkowym jasnym światłem – wśród drzew, na płaskiej skale, leżała młoda naga kobieta. Zdezorientowany przystanął, w końcu ruszył w jej stronę. Był jakieś dziesięć metrów od niej, kiedy z ciemności wyłoniły się dwie nienaturalnie wysokie postacie. Jasność zalewała skałę, niczym teatralny reflektor wyłaniający z ciemności najistotniejsze fragmenty spektaklu. Intruzi byli szczupli i zwinni, poruszali się bezszelestnie. Zanim zdołał się zorientować, co tak naprawdę się dzieje, jeden z nich zadał pierwszy cios. Krew chlusnęła, zalewając wapienną skałę, dziewczyna wydała z siebie przerażający krzyk strachu, zanim zamilkła na dobre. Zauważyli go chwilę później. Ich oczy lśniły w ciemnościach wilczym blaskiem, pizmowy zapach ich ciał przywodził na myśl pierwotne zwierzęce instynkty.

Konrad cofnął się w narastającej panice, ale nie byli nim zainteresowani. Zniknęli w mroku i został sam na sam z trupem. Podeszedł bliżej. Żelazisty zapach krwi mieszał się z aromatem żywicy; zamordowana dziewczyna miała piękną, spokojną twarz i gęste, rude włosy. Samymi opuszkami dotknął jej nagiej piersi, jakby jeszcze wierzył, że to wszystko tylko zły sen. Krew zlepiła mu palce. Spanikował. Zaczął biec, w ciemnościach nawołując żonę. Zatrzymał się dopiero, kiedy ktoś złapał go za ramię.

– Znaleźliśmy ją. – Głos Waldka był zmęczony i mocno zachrypnięty.

– Kogo? – Konrad nie do końca wiedział, o czym mężczyzna mówi.

– Jadwigę, a kogo?

– I co z nią?

– Sam zobacz. – Waldek skinął głową w stronę stosu kamieni, na których leżało bezwładne ciało staruszki. – Musiała skoczyć z góry – dodał.

Konrad zadarł głowę, wpatrując się w porośniętą krzewami ścianę wąwozu, na którego dnie stali.

Beata zjawiała się przy nim chwilę później i złapała go za rękę.

– Musimy znaleźć wyjście – powiedział łamiącym się głosem.

– Serio? Wciąż masz ochotę na kolejną wycieczkę wokół muru? Przecież już wiemy, jak to wygląda, nie? Będziemy łązić dookoła, aż dojdziemy do punktu, z którego wyruszyliśmy – warknął rozeźlony Radek.

– Więc jak nas tu przywieźli? Kto nas tu umieścił i czemu, kurwa, tego nie pamiętam?! – wybuchnął Konrad. – Tam jest trup, widziałem na własne oczy! – dodał łamiącym się głosem.

– Wszyscy miewamy halucynacje, to się nie dzieje naprawdę – wtrącił milczący dotąd Waldemar.

– Tak? A skąd wiesz, co jest rzeczywistością, a co tylko wytworem twojej wyobraźni?! – warknął wytrącony z równowagi Konrad, wycierając palce w spodnie.

W końcu zrozumiał, że są czyste, jednak wciąż miał upiorne wrażenie, że oblepia je krew zamordowanej na jego oczach dziewczyny.

– Może musimy znaleźć jakiś włącz? Może gdzieś pod gałęziami ukryte jest wejście do podziemnych korytarzy, którymi...

– Nie rozumiesz, że to nic nie da?! Nawet jeśli znajdziemy wyjście, na pewno jest ktoś, kto nie pozwoli nam wrócić do życia! – wrzasnął Radek, wchodząc w słowo Beacie.

– Nie drzyj się na nią, słyszysz?! – Konrad mocno pchnął chłopaka, który niemal się przewrócił.

Do domków wrócili w wisielczych nastrojach. Zanim wyszli z lasu, Waldek zaproponował, żeby zabrali ze sobą ciało Jadwigi, ale został przegłosowany.

– Nie dotknę ścierwa tej staruchy, za chuja jej nie tknę! – warknął Radek, spluwając w trawę.

Beata też nie chciała o tym słyszeć, więc zostawili ją w wąwozie i dziwnie wyzuci z resztek sił, dowlekli się na polanę.

Kiedy wchodzili do przydzielonego im dwójce domku, świtało. Położyli się w ubraniach – jakby w każdej chwili chcieli być gotowi do drogi, do akcji, a może do walki... Beata zasnęła niemal od razu, wyczerpana upiornymi wydarzeniami, spragniona chwili wytchnienia od rzeczywistości, która stała się ich niekończącym się koszmarem. Konrad przez dłuższy czas przewracał się z boku na bok, w końcu pogrzyżył się w pełnym majaków, niespokojnym śnie. Śnił, że pieprzy zwłoki Jadwigi. Rozciągnięte na kamieniach, zakrwawione, w postrzępionym ubraniu leżały na plecach, z zachęcająco rozłożonymi nogami. Pamiętał, że bardzo się w tym śnie dziwił, jak szeroko zdołała rozłożyć uda – wyuzdana, prowokacyjna, stara suka w rui. Cuchnęła rozkładem, wyraźnie czuł zgniliznę. Leżała pod nim nieruchoma z obnażonymi, pożółkłymi zębami, a on suwał, suwał i suwał, dysząc i szepcząc jej na ucho pikantne świństwka, jakby była najpiękniejszą kobietą, z jaką kiedykolwiek był. W końcu ochryple krzyknął i gwałtownie się obudził, ku swojemu zażenowaniu zdając sobie sprawę, jak bardzo jest podniecony. Beata wciąż spała – tym razem

ciszę letniej nocy przerywał tylko jej cichy, spokojny oddech. Sięgnął do jej bluzki i wsunął pod nią dłoń. Nie miała stanika, rzadko go nosiła. Musnął ustami jej sutek i podniósł spódnice. Obudziła się, kiedy zsuwał z jej bioder majtki. Sięgnęła dłonią do zapięcia jego dzinsów, uporała się z suwakiem i zacisnęła palce na jego penisie. Wszedł w nią gwałtownie, spragniony jej ciepła i zapachu. Jednak kiedy się kochali, wciąż myślał o swoim śnie i leżących pod nim zwłokach. Wydało mu się to obrzydliwe i w pewien perwersyjny sposób podniecające jednocześnie. Beata cicho krzyknęła. Szczytowali niemal w tym samym momencie, w końcu wtuliła się w niego i od razu zasnęła.

Obudził ich krzyk – ten sam, który słyszeli przez kilka nocy z rzędu – pośrodku lasu wrzeszczała z bólu tajemnicza kobieta, ale kiedy uzbrojeni w nogi od krzeseł i zrobione z grubych konarów „maczugi” pognali między drzewa, nie znaleźli nikogo, komu mogliby pomóc.

W ciągu dnia znowu szukali wyjścia, ale zdołali jedynie obejść na około nieskończenie wysoki, betonowy mur, zwieńczony zwojami kolczastego drutu.

– Można by się jakoś wspiąć, zrobić mostek z gałęzi – kombinował głośno Radek.

– Pytanie tylko, co jest po drugiej stronie? I jak zamierzasz nie raniąc się, przejść przez zwoje kolczastego drutu? – odburknął Waldek.

– Kiedyś skończy nam się żarcie, skończy się woda. Kiedyś ci, którzy nas tu zamknęli, będą musieli nas wypuścić – powiedział Konrad.

– Naprawdę w to wierzysz? A może po prostu wrzucą nam tu jakieś zapasy i nadal będą przetrzymywać? – W głosie Waldka zabrzmiało zniechęcenie.

– Zastanawialiście się, czemu Jadwiga się zabiła? – zapytał nagle Radek.

– A co? Nagle ci jej żal? – rzucił Konrad przez zęby, świetnie wiedząc, z jaką pogardą chłopak odnosił się do zmarłej staruszki.

– Żal? Nie. Nie lubiłem tego mohera. Ale czemu się zabiła? Sam przecież widziałem, jak klepała pacierze. Takie nawiedzone dewotki nie odbierają sobie życia. Za bardzo się boją, że pójdą do piekła, Musiała zobaczyć coś, co śmiertelnie ją przeraziło – wyszeptał Radek zbielejącymi wargami i zrobił krok w tył, niemal spadając ze stromej skarpy. – Myślę, że ktoś nas eliminuje. Że to jakaś gra, upiorna zabawa bogatych paniczyków, którzy zwabiali grupkę ludzi na to zadupie i urządzili sobie polowanie – dodał.

– Wracajmy na polanę! – Na myśl o pozostawionej w domku Beacie Konrad poczuł dziwny niepokój.

Kwadrans później byli z powrotem. Żona czekała na niego na werandzie, z kubkiem mleka w ręku. Przytulił ją i pocałował jej pachnące kokosowym szamponem włosy, ale dziwnie stężała w jego ramionach.

– Jesteś jakiś obcy – powiedziała cicho. – Zupełnie, jakbym w ogóle cię nie znała.

– Co? O czym ty...

– Nie masz czasem takiego wrażenia, że ledwo się znamy? – weszła mu w słowo.

Miała smutne, przygaszone spojrzenie i trzęsły jej się ręce.

– O czym ty mówisz? Kocham cię. Jesteś moją żoną, jesteś...

– To czemu na okrągło myślę o ciemnookim mężczyźnie? Czemu wołam go w snach, nazywam Tomaszem, tęsknię za nim, pragnę go? Czemu mam wrażenie, że to jego kocham, nie ciebie? – Beata zerwała się z rozkładanego fotela, na którym siedziała i wymownie skrzyżowała ramiona na piersiach, jakby całą sobą chcąc okazać mu dystans.

– Co? O czym ty mówisz?! – Konrad poczuł złość.

Nie odpowiedziała. Obróciła się na pięcie i weszła do domku.

Usiadł na werandzie i ukrył twarz w dłoniach. W głowie kołatały mu się setki myśli, nie potrafił jednak odpowiedzieć sobie na pytanie, jak znalazł się w odludnym, zalesionym i od dawna nieczynnym ośrodku wczasowym, z którego od paru długich dni nie potrafił się wydostać.

W nocy przyszła gwałtowna burza. Wiatr targał konarami, pioruny biły na oślep – jakby nawet natura zmówiła się przeciwko nim. Konrad siedział w fotelu przy oknie z nogą od krzesła w dłoni, kiedy ktoś zapukał do drzwi. Początkowo wydawało mu się, że to tylko wiatr, ale kiedy pukanie się powtórzyło wstał i na niepewnych nogach ruszył do wyjścia. Wiatr wyrwał mu drzwi z ręki i trzasnął nimi o ścianę. Weranda była pusta, ale trawnikiem szły dwie nienaturalnie wysokie postacie w ciemnych pelerynach. Zatrzasnął drzwi i oparł się o ścianę – serce biło mu tak szybko, że ledwo mógł oddychać.

– To tylko jakieś pierdolone omamy – powiedział sobie, jednak strach wciąż zaciskał na jego gardle swoje lodowate paluchy.

Beata leżała na sofie – skulona w pozycji embrionalnej, wyglądała wyjątkowo bezbronnie. Konrad zauważył, że pomimo panującego w domku zaduchu okryła się pledem.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – szepnęła, kiedy przysunął sobie krzesło i usiadł obok niej. – Waldek i Radek powinni spać z nami.

– Ale, że co? Sugerujesz czworokącik? – zarechotał Konrad.

– Nie bądź idiotą! – prychnęła. – Dobrze wiesz, o czym mówię! Może gdybyśmy od początku trzymali się razem, Jadwiga wciąż by żyła!

– Tego nie wiesz na pewno. Może skoczyła sama?

– Może. A może ktoś ją zepchnął. Skarpa jest wysoka, zdradliwa. Na dole duże kamienie, kilka skał. Idealne miejsce, nie sądzisz? – powiedziała Beata.

Konrad sięgnął po leżące na stoliku herbatniki i podsunął w jej stronę otwarte po południu opakowanie. Powiedziała, że nie jest głodna i zrzuciła z nóg pled.

– Gorąco mi – szepnęła.

Musnął dłonią jej czoło. Płonęła, trawiona gorączką.

– Połóż się przy mnie – poprosiła.

– Powiedziałas, że nie jestem twoim mężem – przypomniał jej z wyrzutem w głosie.

– Nie powiedziałam, że nie jesteś moim mężem. Powiedziałam, że...

Nie dokończyła, bo z głębi lasu znowu doszedł ich ten upiorny, pełen niewyobrażalnego bólu wrzask. Brzmiał tak, jakby komuś żywcem wyrywano trzewia, jakby obdzierano nieszczęśnika ze skóry. Beata wtuliła się w plecy Konrada i drżąc na całym ciele, zaczęła nucić jakąś nieznaną mu piosenkę. *Zwariujemy tutaj* – pomyślał, gładząc ją po włosach. *Ktokolwiek nas tu przetrzymuje, tego właśnie chce...* Zasnęli dopiero nad ranem na wąskiej sofie; objęci, wtuleni w siebie, niczym srebrne łyżeczki w ciasnym futerale. Obudziło ich gwałtowne łomotanie do drzwi – ktoś był na werandzie. Konrad zerwał się z sofy i sięgnął po leżącą na podłodze drewnianą nogę od krzesła.

– Otwórzcie! – Intruz ponownie załomotał we frontowe drzwi.

Gospodarz rozpoznał podenerwowany głos Radka i chociaż nie darzył chłopaka zbyt dużą sympatią, wpuścił go do środka.

– Zniknęła! – powiedział nowo przybyły łamiącym się głosem.

– Kto? – zdziwiła się Beata, „wyrastając” za plecami Konrada.

– Stara, a kto?! Poszedłem tam nad ranem, bo i tak nie mogłem spać, ale trupa już nie było. Na skałach znalazłem tylko kilka zakrwawionych strzępków jej ubrań i to. – Konrad dopiero teraz zauważył, że chłopak trzyma w ręku znoszony, beżowy but.

– Idę po Waldka. Od teraz nie ma mowy o samowolnym pałętaniu się po okolicy – zdecydował Konrad. – Chodźmy razem, od teraz się nie rozdzielamy – dodał.

– Jak myślicie, kto zabrał zwłoki? – Kiedy szli w stronę domku Waldemara, głos Radka wciąż drżał.

Konrad powiedział, że nie ma pojęcia i opiekuńczym gestem objął drżącą do porannego chłodu i rozespaną Beatę. Położyła głowę na jego ramieniu i wsunęła dłoń do tylnej kieszeni jego dżinsów. Przypomniał sobie, że to samo zawsze robiła jego pierwsza dziewczyna i nagle wróciły fragmenty wspomnień, których za nic nie potrafił poukładać

w chronologicznym porządku. Ciemnowłosa kobieta w jasnej sukience. Kulejący, szary pies. Otynkowany na pistacjowo dom. Naręcza bzu. Stary opel z wgniecionym zderzakiem.

– Waldek! – Radek tak gwałtownie załomotał w drzwi, że Beata aż podskoczyła.

– Nie znoszę tej jego nerwowości – szepnęła.

Starszy mężczyzna zjawił się na ganku jakąś minutę później. Wyglądał strasznie i chyba tak samo się czuł. Przekrwione oczy, porastająca policzki szczecina i zmięty podkoszulek składały się na obraz człowieka, który od dobrych kilku dni nie przespał spokojnie ani jednej nocy.

Ustalili, że zatrzymają się w domku Beaty i Konrada – był położony najdalej od lasu i wydał im się najbezpieczniejszą opcją.

– Więc będziemy tak tu siedzieć i co? – Kiedy już zamknęli się w środku, Radek zaczął nerwowo przechadzać się po ciasnym saloniku, jakby nie mógł sobie znaleźć miejsca.

– Możecie mi powiedzieć, kto zabrał z lasu zwłoki?!

– Nie wiem, kurwa! I nie drzyj się tak! – ofuknął go Waldemar.

– Nie będę tutaj tak po prostu siedział! Nie będę tkwił w tej norze i czekał na usraną śmierć! – Chłopak wałnął pięścią w ścianę.

– Uspokój się. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku. – Beata położyła mu rękę na ramieniu, ale od razu ją strącił.

– Może macie rację. Wieczorem trzeba będzie poszukać jakiegoś włazu. Musi być stąd jakieś wyjście! – powiedział.

– Wieczorem? Po ciemku? Naprawdę wierzysz, że niczym w pieprzonym *Lost* natkniesz się na jakiś zakamuflowany gałęziami wąż?! – Konrad roześmiał się gorzko i usiadł na krześle.

– Masz lepszy pomysł? – Radek wbił w niego wzrok i oskarżycielsko wycelował palcem. – Jaki z ciebie facet, co? Tkwisz tutaj razem ze swoją kobietą, zamiast...

– Zamknij się! Z tego, co pamiętam, jeszcze niedawno twierdziłeś, że nie ma sensu szukać wyjścia. – Konrad jednym susem dopadł Radka i złapał go za gardło.

Dopiero rozpaczliwy krzyk Beaty sprawił, że emocje opadły.

– Sorry – burknął.

Chłopak wzruszył ramionami i podszedł do okna.

– Znalazłem latarkę. Leżała pod łóżkiem. Wygląda na nową, w dodatku to jedna z tych halogenowych – powiedział.

– Co pamiętacie z przeszłości? – zapytał siedzący dotąd w milczeniu Waldemar.

– Szczerze? Niewiele. Jakieś fragmenty rozmów z osobami, których imion nie potrafię sobie przypomnieć, jakieś krajobrazy, kobietę z ciemnymi włosami. – Konrad wzruszył ramionami i zapatrzył się w podłogowe deski.

– Ja pamiętam mężczyznę. Ma na imię Tomasz i chyba jestem w nim zakochana. Bo ty nie jesteś moim mężem, na pewno nie – zwróciła się do Konrada, który znowu poczuł złość.

– Kiedy się ze mną pieprzyłaś, jakoś ci to nie przeszkadzało! – syknął.

– Dupek! – skrzywiła się.

Radek zarechotał, Waldek wyglądał na speszonego.

Do wieczora czas włókł im się niemiłosiernie, w końcu jednak zaczęło się ściemniać i Radek rzucił, że musi skoczyć po latarkę.

– Nie podoba mi się ten pomysł z szukaniem wyjścia. Poczekaj chociaż do rana, nie możesz...

– Nie będziesz mi mówiła, co mogę, a co nie! – Chłopak wszedł Beacie w słowo i ruszył w stronę frontowych drzwi.

Stłoczeni w trójkę przy oknie obserwowali, jak idzie przez polanę. Był mniej więcej w połowie drogi do swojego domku, kiedy usłyszeli dochodzący z lasu, znajomy krzyk. A później chłopak w jednej chwili zniknął im z oczu, zupełnie jakby wessała go zapadająca ciemność...

– Radek! – Konrad rzucił się do drzwi i wybiegł na werandę.

Polana była pusta, ciemna ściana lasu nie zachęcała do spacerów.

– Radek!

Cisza...

Znaleźli go nad ranem. Leżał przy pierwszej linii drzew, dziwnie powyginany, niczym upozowana ręką znudzonego dziecka, bezwolna marionetka. Głowę miał przechyloną pod nienaturalnym kątem, otwarte złamanie na lewej nodze przyprawiło Konrada o mdłości. Beata krzyczała, darła się niczym goniona przez psychopatę blondynka z marnego horroru. Objął ją i powtarzał, że wszystko będzie dobrze, ale nie chciała mu wierzyć.

– Zabili go, zabili! – krzyczała.

Do domku wrócili biegiem i zabarykadowali się w środku. Do drzwi przysunęli przewrócony na bok stół i ciężką komodę, okna pozasłaniali, czym się dało.

– Gdybym miał młotek i gwoździe, zabiłoby się je deskami, ale tak... – Waldemar bezradnie opuścił ręce i ciężko opadł na krzesło.



Był środek nocy, kiedy po nich przyszedli – pięć ubranych w białe kombinezony postaci. Weszli oknem – po prostu rozbili je siekierą i wzięli domek szturmem. Beata krzyczała tak przeraźliwie, że Konradowi niemal popękały bębenki; Waldemar poddał się bez walki, jakby wolał wszystko od uwięzienia pośród tego przeklętego lasu. Intruzi musieli coś rozpylić w powietrzu, bo nagle świat zawirował, a kontury sprzętów straciły całą ostrość. Konrad pomyślał jeszcze, że nieproszeni goście wyglądają jak technicy kryminalistyczni na brytyjskich serialach i runął na podłogę.

Obudził się zdezorientowany, z tępych bólem głowy i suchością w ustach. W jego przedramieniu tkwił wenflon, z kroplówki kropla za kroplą ściekał przezroczysty płyn. Z trudem podniósł głowę, wciąż oszołomiony i dziwnie słaby. Białe ściany, klaustrofobiczne pomieszczenie z umywalką i umieszczonym niemal pod sufitem, zakratowanym oknem, przymocowane do podłogi krzesło z metalowymi nogami i wąska, lekarska kozetka, na której leżał – tak mniej więcej wyglądało jego otoczenie. Zawołał Beatę, ale odpowiedziała mu cisza. W końcu ponownie zasnął. Obudziły go obce głosy – w pokoju było dwóch mężczyzn w średnim wieku.

– Podpisz. – Ten niższy podsunął mu jakieś papiery i wcisnął w rękę długopis. – Pamiętaj, że to, co tu widziałeś, jest całkowicie poufne – dodał.

Konrad złożył niedbały podpis i odebrał z rąk drugiego gościa wyglądający znajomo, szary plecak.

– Pysznic, odbiór rzeczy i jesteś wolny. – Niższy z mężczyzn poufale klepnął go w ramię i skinął w stronę uchylonych, metalowych drzwi z okratowanym wizjerem. – Pospiesz się, auto już czeka.

Zapytał, gdzie jest, ale nikt mu nie odpowiedział. Pomieszczenie z prysznicami było olbrzymie i wychłodzone – drżał w strugach chłodnej wody, aż zjawiała się młoda dziewczyna w szafirowym uniformie i podała mu zmięte ciuchy.

– Twoje rzeczy – powiedziała. – Odprowadzę cię do samochodu.

Ubrał się szybko, włosy osuszył wilgotnym ręcznikiem. Droga do auta była długa i monotonna – przemierzyli setki metrów znajdującego się najpewniej pod ziemią betonowego korytarza, w końcu dotarli do rozświetlonego jarzeniówkami garażu.

– Wsiadaj! – Dziewczyna otwarła boczne drzwi jednej z białych furgonetek i wręczyła mu pękata kopertę. – Sześć tysięcy, tak jak się umawialiśmy.

Zanim wsiadł, zauważył... Radka. Chłopak stał oparty o betonowy filar i palił papierosa.

– Jak... Przecież on... – wymamrotał, wciąż jeszcze dziwnie zdezorientowany.

– Nie zadawaj pytań, nie od tego jesteś. – Dziewczyna posłała mu cierpki uśmiech i po chwili do samochodu podszedł młody, obcięty na jeża kierowca.

– Wybacz, muszę to zrobić. – Zanim Konrad zdążył zaprotestować, szofer założył mu na dłoń kajdanki, a na głowę worek.

Jechali kilka godzin – pięć, sześć, może nawet siedem. Postój był tylko jeden – gdzieś na pustej, polnej drodze Konrad mógł ulżyć pęcherzowi i napić się wody. Wysadzono go pod jedną z estakad na południowych peryferiach jego rodzinnego miasta – opuszczając samochód przypomniał sobie, że jest właśnie stąd. Z Poznania.

– Idź przed siebie i nie odwracaj się! – Chłopak, który ściągnął mu kajdanki, lekko pchnął go do przodu.

Worek wciąż miał na głowie, pewnie po to, żeby nie mógł zapamiętać rejestracji. Kiedy furgonetka odjechała, ze złością cisnął go na ziemię i zajrzał do koperty. Banknoty wyglądały na nowiutkie, cudowny widok. Przeliczył. Sześć tysięcy złotych – takiej kasy w życiu nie widział. Z plecaka wyjął portfel, z niego dowód. Twarz na zdjęciu wydawała mu się znajoma i dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że to przecież on sam. Jacek Marzec, tak naprawdę się nazywał. Urodzony piętnastego października tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku w Szamotułach, zamieszkały w Poznaniu. Pomyślał o Beacie. Kim była, skoro z pewnością nie jego żoną? I kto ustawił cały ten teatrzyk, który chcąc nie chcąc odgrywali przez szereg długich dni? Zaniki pamięci, nocne krzyki, zainscenizowana scena morderstwa, ożywające trupy... Kto stał za tą szopką? Wojsko? Koncerny farmaceutyczne? Jakaś tajna organizacja zajmująca się badaniami mózgu? Testowali ich wytrzymałość na stres? Badali ich reakcje? Doprowadzali na skraj szaleństwa, żeby wiedzieć jak odporny jest człowiek? I jak zdołali wyczyścić im pamięć? Hipnoza? Nowe leki? Narkotyki? Jakieś halucynogenne świństwo? – Jacek Marzec szedł szybko, chcąc jak najprędzej dostać się do domu. Wciąż bolała go głowa i było mu niemiłosiernie gorąco. Podejrzewał, że to skutek uboczny nielegalnej „terapii”, jaką mu zafundowano i mógł jedynie mieć nadzieję, że uciążliwe objawy wkrótce miną.

Na postoju wziął taryfę. Czemu miałyby iść z buta, skoro zarobił taką kasę? Dom na samym skraju zaniedbanego osiedla poznał od razu – parterowy, z przybrudzoną, pistacjową fasadą – tu mieszkał, odkąd ożenił się z Jolantą. Wkładając klucz do zamka, pomyślał, że to niewiarygodne – pamięć wróciła mu dosłownie w jednej chwili, chociaż jeszcze kilka godzin wcześniej był kompletnie skołowany.

Był w przedpokoju, kiedy dopadła go żona.

– Ty sukinsynu! Ty cholerny gnojku! – Czerwona na twarzy Jolanta walnęła go w twarz. – Znikasz na dwa tygodnie i co?! Myślałam, że coś ci się stało! Gdzie byłeś?!

Wymamrotał, że w pracy.

– W pracy?! A może u tej dziwki, z którą rok temu miałeś romans, co?!

– Uspokój się – warknął.

– Ja mam się uspokoić?! Wiesz, co ja przeżyłam?! Znikasz sobie bez słowa, a ja odchodzę od zmysłów!

– Powiedziałem, że byłem w pracy, nie słyszysz?! – wybuchnął.

– I co? Nie mogłeś zadzwonić?!

Odsunął ją i zamknął się w łazience.

– Otwieraj! – Żona załomotała w drzwi, ale zupełnie ją zignorował.

Wyjął za to z plecaka kopertę i jeszcze raz przeliczył banknoty. Sześć tysięcy – uśmiechnął się pod nosem. Szybko jednak zrzędła mu mina, bo przypomniał sobie, jakie ma długi. Dwa dwieście musi oddać bratu, sześćset kumpłowi, tysiąc sąsiadowi... Jak dobrze pójdzie, zostanie mu niewiele ponad dwa tysiące. *Trudno, przynajmniej splate ludzi* – pomyślał. Jolce da z tysiąc dwieście, resztę zostawi dla siebie. *Przynajmniej będę miał na fajki i nie będę się musiał o nic prosić* – pomyślał.

Wieczorem żona oznajmiła mu, że chce mieć pierwsze dziecko. Bardziej się zdziwił niż ucieszył i od razu poczuł się fatalnie. Powinien w końcu być szczęśliwy. Oczywiście przy okazji wybuchła afera – Jolanta nazwała go nieudacznikiem i zaczęła wrzeszczeć, że nie mają ani grosza oszczędności.

– Niedługo stuknie mi trzydziestka, chcę już urodzić! Tyle że ty od czterech lat nie potrafisz znaleźć żadnej stałej pracy! Gdybym wiedziała, jak to będzie wyglądać, nigdy bym za ciebie nie wyszła! – wrzasnęła.

– Położę się, marnie się czuję – odburknął.

Nie miał zamiaru wdawać się z nią w dyskusje, po prostu mu się nie chciało...

Zasnął niemal od razu, ale sny miał koszmarnie. Śnił, że Jolanta urodziła mu trojaczki – trzy pulchne, rozwrzeszczane dziewczuchy, które wyciągały w jego stronę rączki, obficie się śliniąc. Obudził się przerażony i dziwnie podenerwowany. Jolanta pochrapywała po swojej stronie łóżka – jej obfity biust rytmicznie unosił się i opadał, pełne wargi były uchylone, z kącika ust ciekła strużka śliny. Wstał i stanął nad jej głową, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo jest brzydka. Przytyła? A może zawsze tak wyglądała, tylko on tego nie widział? Pomyślał o Beacie. O jej szczupłym ciele, pięknych jasnych włosach i jędrnych piersiach. Kiedy się kochali, tamtej nocy, w drewnianym domku, był niemal pewien, że coś do niej

czuje. Przy niej czuł się męski, zaradny, potrzebny. Żona wyzwalała w nim wszystkie najgorsze instynkty. A teraz jeszcze chce mieć dziecko... *Pośród tego syfu, z teściową pod jednym dachem, z dziurą w portfelu i brakiem perspektyw na przyszłość, ona nagle chce rodzić pierwszego bachora!* – skrzywił się. Jolanta wymamrotała coś przez sen. Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, w końcu zszedł do kuchni napić się wody. Wyhaftowana przez teściową poduszka z motywem Świętej Rodziny leżała na siedzisku pod oknem. Nienawidził tych wszystkich tandetnych rękodzieł, którymi matka żony ozdabiała ich niewielki domek, ale protestować nigdy się nie ośmielił. Mieszkali w końcu pod jej dachem. Nagle przyszła mu do głowy myśl, która wydała się jedyną rozsądną opcją pośród morza otaczającej go beznadziei. Złapał za poduszkę i ruszył na górę. Żonę udusił bez chwili wahania, po prostu przytknął jej haftowany jasiek po twarzy i trzymał, dopóki kobieta całkiem nie zwiotczała. Wciąż smacznie śpiącą teściową zamknął w jej sypialni i poszedł do garażu po karnister z benzyną. Rzucając zapalnik na podniszczoną, starą wykładzinę pod pokojem matki Jolanty pomyślał, że już dawno, dawno temu powinien spalić tę wiedźmę. Zanim wyszedł z płonącego domu, wsunął do plecaka kopertę z sześcioma tysiącami i złapał za swoją ulubioną, skórzaną kurtkę. Dom stał nieco na uboczu osiedla i kto wie – może nawet uda mu się wyjechać, zanim ktokolwiek odkryje, co się stało? Idąc pustą, boczną szosą, czuł się cudownie wolny i ta euforia towarzyszyła mu przez większość drogi na dworzec. Suka nazwała go nieudacznikiem, zwymyślała od najgorszych. I to po tym, co przeszedł! Przecież dla niej dał się w to wciągnąć, dla niej to wszystko! Ale ona nigdy nie potrafiła okazać wdzięczności... Był przy rzece, kiedy dotarło do niego, co zrobił. Żonobójca... z takim piętnem będzie żyć, taki koszmar przyjdzie mu dźwigać na grzbiecie. Jeszcze przed chwilą myślał, że te sześć tysięcy to taki dobry początek. Że wsiądzie w autokar, dotrze do Londynu, zacznie nowe życie. Wyrzuty nadeszły gwałtowną falą, prawie nie mógł oddychać, myśląc o płonącej żywcem teściowej. Wszedł na most. Plecak ciążył mu na ramieniu, bolała go głowa. Pod czaszką rozbrzmiewał krzyk lamentującej w lesie kobiety, serce biło poszarpanym, nierównym rytmem. Bariereka była pomalowana na szaro, sam ją przecież malował, łapiąc jedną z dorywczych fuch. Przechylił się i spojrzał w dół. Woda wciąż była wezbrana po niedawnych ulewach; kłębiła się brunatną masą, przelewała, kusiła. Walcząc z falą mdłości, przelazł przez barierkę. Plecak spadł mu w dół, wraz z nim poszybowały w stronę kipieli ciężko zarobione pieniądze. Zaczęło kropić. Po chwili deszcz wyraźnie się nasilił i Jacek sam już nie wiedział, czy to ulewa, czy łyżymoczą mu policzki. Na most wjechał jakiś samochód – wyraźnie słyszał warkot silnika. Po chwili złapały go czyjeś ręce, przemówiły obce głosy. Chciał się im wyrwać i mimo wszystko skoczyć, ale nie miał siły do walki. Przeciągnęli go na drugą stronę barierki, okryli kurtką,

wezwali karetkę. W szpitalu nagle stracił pamięć, jakby ktoś przełączył coś w jego głowie i na dobre odciął go od wspomnień. Potrafił tylko powiedzieć, że jego żona ma na imię Beata i nie wie, jak może się z nią skontaktować...

rys. Roman Panasiuk



# NOBLOWSKI CYROGRAF

Paweł Cieliczko

*Poznań, 23 czerwca 1894 roku*

Ostatnie promienie zachodzącego słońca prześwitywały przez kolorowe szybki witraży i odbijały się w czerwonych szkiełkach lampy wiszącej nad ołtarzem. Światłe pobłyski zdawały się przypominać, że Bóg ciągle czuwa nad opuszczoną świątynią, jest w niej wciąż obecny i nie pozwoli, by została bezkarnie zbezczeszczona. Wędrowni aktorzy rozłożyli się i drzemali na „łózkach”, które zbudowali ze zsuniętych kościelnych ławek. Wypoczywali przed nadchodzącą nocą. Noc świętojańska to co prawda najkrótsza noc

w roku, ale wiedzieli, że będzie bardzo wyczerpująca. Jest najlepszym czasem dla transgresji. Podczas niej budzą się przedwieczne siły przyrody, zapomniane pogańskie boginki i wtedy właśnie chrześcijański Bóg jest najslabszy. Noc świętojańska to najlepszy czas na spotkanie z mocami zaświatów.

Zerkali niepewnie w stronę zachodzącego powoli słońca, które wygaszało kolorowy witraż. Uważali się za ludzi wolnych. Opuścili swoje rodziny i wspólnoty, wyrzekli się poglądów, przekonań oraz wiary swoich przodków. Nie potrafili jednak poczuć się swobodnie w chrześcijańskiej świątyni i uczestniczyć w obrzędzie, który obrażał Boga ich dzieciństwa. Nie rozmawiali o tym, w milczeniu czekali, aż wraz z zejściem słońca zgasną święci z kościelnych witraży, przestanie błyszczeć lampka wiecznego ognia i będą mogli wreszcie przystąpić do przygotowania ceremonii. Rytuału, który nie spodobałby się chrześcijańskiemu Bogu, ani jego Synowi.

\*\*\*

Za oknem rozpościerał się mrok. Nikłe blaski świec słabymi pobłyskami odbijały się w witrażach. Rejment nie uczestniczył w tych przygotowaniach. Miał być bohaterem nocnego obrzędu, medium, wybrańcem. Wszedł na galerię i zasiadł przed organami. Poczł splywającą na niego moc. Człł, że tej nocy może uczynić wszystko, nawet zapanować nad znieawidzonym instrumentem, do gry na którym przymuszał go ojciec. Dotknął klawiszy i usłyszał fałszujące piszczałki. Uderzył ze złością. Kaskada dźwięków zagrziała w świątyni. Wszyscy zamarli, przestraszyli się, że rozdzierający pisk obudzi całe miasto, że obrzęd zakończy się, nim się rozpoczął. On nie dbał o hałaśliwe fale rozbijające się o mury kościoła. Wiedział, że głos organów nie sprowadzi żadnego z mieszkańców franciszkańskiego klasztoru. Dawni spoczywali w kryptach pod kamienną posadzką, obecni byli głusi, a stary klucznik dostał w podzięce flaszke wódki i spał tak pijany, że nie zbudziłyby go nawet trąby anielskie. Burza dźwięków gnała po pustej świątyni, jeśli były w niej jakieś myszy, to zostały skutecznie przepłoszone.

Mistrzynie wyszła z zakrystii odziana w liturgiczne szaty. W dłoniach trzymała wielki kielich, uniosła go w górę, pokłoniła się czterem stronom świata, upiła nieco i podała pierwszemu spośród dwanaściorga stojących przed ołtarzem. Puchar wędrował z rąk do rąk i każdy wypijał kilka łyków cierpkiego napoju. Resztę rozlała na cztery strony świata, by oddać hołd starym boginiom i zapewnić sobie ich życziwość podczas ceremonii. Następnie

podzieliła leżący na ołtarzu bochen chleba i wręczała przyklękającym przed nim wyznawcom, którzy w skupieniu wchłaniali to symboliczne Ciało Boże.

Rejment tworzył muzyczne tło jej działań. Rozpoznawali takty, wyłaniały się z zakamarków pamięci, przypominały kościelne pieśni, które znali z nabożeństw w dzieciństwie. Organy brzmiały jak pasterskie fujarki, chwalące umajone łąki, to znów jak smutne pieśni wielkopostne. Skocznymi rytmami głosiły radość z narodzin Syna Bożego, by po chwili uwznioślać kulminacyjny moment, kiedy wiernym ukazuje się najświętszy sakrament. Potem pozwalały im odejść spod ołtarza i oddać się solennym modlitwom, w skupieniu kontemplować zetknięcie z absolutem. Gdy wydawało im się, że są o ton od uchwycenia melodii, o krok od przypomnienia sobie słów, on nagle zmieniał rytm, fałszował, zwodził, a gdy zaczynali rozpoznawać nową melodię, znów mieszał tropy.

Mistrzynie zeszła do zakrystii. Wróciła, wolno kołysząc kościelnym kadzidłem zawieszonym na srebrnym łańcuchu. Podchodziła do każdego z uczestników i okadzała go oczyszczającym, kojącym, świętym dymem. Ruszyła wokół świątyni, z każdym jej krokiem, z każdym poruszeniem kadzidła, kościelne przestrzenie przestawały być opuszczoną kamienną halą, a stawały się chramem, z którego ku niebu – jak modlitwy wiernych – wznosił się gęsty, kadzidlany dym. Jego kłęby rozsnuwały się, zwieńczenie świątyni znikło w nich, jak niebo zasłonięte skłębionymi chmurami. Pomieszczenie nie przypominało już barokowego kościoła, a chatę Guślarki, która przywołuje moce starych boginek, kusząc je wonnymi ziołami.

Mistrzynie wyjęła z maleńkiego paleniska kadzidła żarzące się grudki olibanum, które włożyła do wielkich świeczników po obu stronach ołtarza. Dosypała po szczypcie igieł jałowca, kory drzewa sandałowego oraz innych proszków, które miała w sakiewkach przytroczonych do pasa. Intensywny, ożywczy, orientalny zapach rozszedł się po świątyni. Ponownie ruszyła, szła wolno wzdłuż nawy, rytmicznie kołysała kadzidłem. Ten dym nie wznosił się jednak ku sklepieniu, a słał się po ziemi, wił się wokół ludzi, ławek, filarów. Po kilkunastu minutach kościół od góry zamknięty chmurami kadzidlanego dymu, od dołu tonął w mgłach i woniach, które na myśl przywodziły raczej islamskie łaźnie i haremy, niżeli chrześcijańskie świątynie.

Mistrzynie zakończyła obchód kościoła. Stała pośród dwanaściorga wyznawców. Rejment zmienił melodię. Nowe brzmienia nie przypominały pobożnej pieśni, a odurzonym słuchaczom wydawały się dziwnie znajome. Czuł potęgę, jaką dysponuje, czuł, jak jego gra obezwładnia ludzi, czyni ich jemu poddanymi. Po raz pierwszy uwierzył, że Mistrzynie nie jest tylko piękną guślarką, której wdzięki skusiły go do udziału w tajnej ceremonii. Może słusznie



rozpoznała w nim Wybrańca. Uwierzył, że czeka go niezwykle życie, które sobie wymarzył, gdy czytał potajemnie książki z księżowskiej biblioteki, zamiast pilnować owiec ojca. Może on, piąte dziecko wiejskiego organisty, jest wybrany, by zmienić ludzi, by odmienić świat, by zostać kimś niezwykłym, kimś, kogo nie krępują ziemskie ograniczenia, nakazy i prawidła.

Nagle zrozumiał, dlaczego przez te wszystkie lata nie potrafił zadowolić ojca, dlaczego nienawidził kościelnych organów. On nie miał być organistą, on miał komponować, miał tworzyć muzykę, a nie ją odtwarzać. Unosiło go niezwykle uczucie, czuł w sobie moc, jego palce wybijały melodie, zmieniał je, sprawiał, by się nawzajem znosiły, przechodziły jedna w drugą, wygaszały i wzmacniały. Taki koncert odróżnia najlepszego koncertmistrza od wirtuoza, od kompozytora, który zmieni dzieje muzyki. Zgromadzeni kołysali się rytmicznie. Wpadali w trans.

\*\*\*

Ostatnie dźwięki organów milkły, odbijając się od kościelnych sklepień, filarów i nisz. Mistrzynie powiodła Wybrańca ku fotelowi, który stał w prezbiterium, osłonięty zdobnym baldachimem, jaki noszą nad księdzem podczas procesji Bożego Ciała. Na biskupim tronie zasiadł teraz on, który miał zostać ich biskupem. Dwanaścioro uczestników nocnego rytuału stało wokół niego. Trzymali gromnice i powtarzali monotonne „om, om, om”. Siedział w fotelu i czuł, jak świat wokół niego się rozplywa, jak rozmazują się ich twarze, jak wolno zapada się w sobie.

Mistrzynie uderzyła w dzwonek, jakim ministranci dają dyskretny sygnał parafianom, że nadchodzi kolejny etap nabożeństwa. Delikatne ogniki świec nie rozjaśniały kościoła, ale nadawały mu ciepły blask. Chłód księżycowej poświaty został przełamany, pojawiło się ciepło, bezpieczeństwo, blask, bliskość. Mistrzynie dała znak, a wszyscy ruszyli somnambulicznym, chwiejnym krokiem wokół tronu pod baldachimem. Wyglądali jak gregoriańscy mnisi, odziani tylko w brązowe habity, przewiązani rzemiennymi pasami, z kapturami założonymi na głowy. Trudno było rozeznąć, kto z nich jest mężczyzną, a kto kobietą. Nie śpiewali chorałów, a tylko powtarzali monotonne, buddyjskie „om, om, om”, stąpając boso po zimnej, kamiennej posadzce.

– Zgromadziliśmy się tutaj – przejmujący głos Mistrzynie dobiegał ze znajdującej się poza blaskiem ich świec ambony – żeby uczestniczyć w ceremonii przejścia naszego brata Stanisława.

– Om, om, om – zawtórował jej chór zjaw ze świecami.

– Pamiętamy, że misja naszej pierwszej Mistrzyni, Konstancji, dokonała się, gdy przywiodła do świątyni Adama, męża najwyższych wibracji, który porzucił naród i ojczyznę, by oddać się jej mocy.

– Om, om, om – powtórzyli.

– Podobnie ja, wnuczka Konstancji i Adama, przywiodłam tutaj Stanisława, męża najwyższych wibracji, by spełniło się przeznaczenie, jakie wypełnić się musi.

– Om, om, om – wtórowały widma w habitach.

– Szczęście nasze, żeśmy znaleźli mistrza u progu jego wielkości. Dzięki oświeceniu światłem prawdziwej wiary nie będzie błakał się po manowcach fałszywych religii, tylko osiągnie pełnię swego jestestwa i swojej mocy. A żeby osiągnąć pełnię męskiej siły, porzucić musi swe żydowskie zabobony i uwierzyć w prawdziwą moc.

Spośród dwunastu cieni jeden wystąpił z kręgu i podszedł ku kamiennej chrzcielnicy, odsunął jej wieko i z gąsiora wlał wodę do baptysterium. Następnie sięgnął po nóż, przeciął opuszkę serdecznego palca i pozwolił, by krew swobodnie kapała do misy. Po nim podeszło pozostałych pięciu mężczyzn, którzy powtórzyli gest. Misa pełna wody pomieszanej z krwią sześciu uczestników misterium połyskiwała w świetle świec. Mężczyźni powrócili do kręgu i poruszali się wolno, powtarzając monotonne słowa.

Teraz wystąpiły kobiety. Każda podchodziła do misy i wrzucała do niej nieznane składniki. Mistrzyni pojawiła się jako ostatnia. Stała przed ołtarzem, opuściła ramiona i pozwoliła, by alba i ornat swobodnie spłynęły z jej ciała. Stała naga, a nad nią wisiał na krzyżu nagi Chrystus. Podeszła do chrzcielnicy, nabrała puchar wody zmieszanej z krwią oraz składnikami i pozwoliła, by wonna ciecz wolno spłynęła po jej nagim ciele. Napelniła go raz jeszcze i naga, mokra, pachnąca orientalnymi olejkami, ruszyła ku baldachimowi, pod którym czekał Wybraniec.

– Aby połączyć się z prawdziwym Bogiem poprzez jego Wybrańca, odrzucić musimy wszelkie ziemskie dobra, wszelkie ziemskie zasady i wszelkie ziemskie ograniczenia – wyrecytowała formułę i wkroczyła pod baldachim.

Zmysły Wybrańca były wyostrzone. Każdy zapach, dźwięk, smak, dotyk odczuwał w wielokrotniony sposób. Domyślał się dalszego przebiegu ceremonii. Leżał na biskupim fotelu jak na szezlongu. Ujął kielich i upił kilka łyków. Poczł metaliczny posmak krwi, ale też smaki chińskiego korzenia, kanadyjskiego syropu, indyjskiej herbaty, brazylijskiej guarany, afrykańskiego rogu oraz australijskiego eukaliptusa.

– Moce sześciu kontynentów są w napoju, który spożywasz – usłyszał słowa Mistrzynie i poczuł, że już po kilku łykach krew zaczyna szybciej krążyć w jego żyłach, był jeszcze mocniej pobudzony, jeszcze bardziej podekscytowany.

Adeptki sztuki tajemnej podeszły do niego i zaczęły go rozbierać. Nie był przyzwyczajony, by zachowywać bierność w takich sytuacjach, jego dotychczasowe doświadczenia z kobietami nakazywały mu bycie aktywnym. Tym razem postanowił się im oddać. Po chwili leżał nagi na fotelu. Starał się być niewzruszony. Naga dziewczyna uklękła przed nim i pochyliła się tak, że cień jej głowy „połknął” cień jego sterczącego przyrodzenia. Nigdy dotąd nie czuł takiej rozkoszy. Wiejskie dziewczyny, które dotąd posiadał, nie wyobrażały sobie, by usta można było skalać pieśczeniem męskiego członka. Taką czynność uważały za grzech śmiertelny. Delikatne, pełne, ciepłe usta adeptki pieściły go czule, a jego podniecenie narastało.

– Czas spełnić ofiarę – usłyszał nakaz Mistrzynie. – Czas przyjąć ciało Pani, zasiąść do prawdziwej uczy, przyjść do ołtarza na wieczerzę.

Nagie asystentki uniosły jego ręce i nałożyły mu złocisty ornat. Dotyk ich dłoni na jego ramionach, biodrach, pośladkach, podbrzuszu tak go podniecał, że nie poczuł, kiedy jego penis został związany cingulum – sznurkowym paskiem z frędzlami, którym mnisi przewiązują habit. Jeden z guzów zacisnął się na kanale, którym sperma mogłaby wystrzelić zbyt pośpiesznie. Odziany w ornat, doprowadzony został do ołtarza.

– Wybraniec, który przyjął krew sześciu mężów i dary sześciu kontynentów, przyjmie teraz ciała sześciu kobiet – zaczęła Mistrzynie.

– Om, om, om – męskie głosy zawtórowały jej słowom.

– Wybraniec uczyni je sobie poddanymi, czym odnowi stare przymierze, jakie zawarte było pomiędzy ludźmi i boginiami, a które zniszczył ten, którego czczą chrześcijanie – kontynuowała.

– Om, om, om – zdawali się przytakiwać uczestnicy.

– Żeby związek Wybrańca z Władczynią Ciemności stał się nierozzerwalny, Pani Ciemności spełni sześć życzeń Wybrańca, które już na zawsze zwiążą go z nami. Życzenia te spisał osobiście Wybraniec. Odczytam je teraz, by uroczyście potwierdzić umowę przed tym zgromadzeniem.

– Om, om, om – zawtórowali radośnie zebrani. Mistrzynie czytała dostojnym tonem sześć życzeń sformułowanych przez Wybrańca, życzeń, których spełnienie było poza ludzką mocą. Gdy skończyła, przemówiła do Wybrańca.

– Skoro przyjąłeś krew sześciu mężów czczących Panią Ciemności, przyjąłeś dary z sześciu kontynentów, potwierdziłeś sześć życzeń, to by dopełnić rytuału, posiadać musisz ciała sześciu wyznawczyń. Biorąc ich ciała, przyjmujesz ciało Pani Naszej.

Wybraniec niepewnie spojrział w kierunku Mistrzynie. Złoty ornat ściągnięty z jego ramion, stał się złotym obrusem, a raczej złotym prześcieradłem, rozłożonym na blacie ołtarza, na którym pojawiła się pierwsza spośród celebransek. Służka Pani Ciemności leżała na środku świętego ołtarza, na skrajach którego stały płonące lichtarze, które oświetlały miejsce sprawowania liturgii. Wybraniec połączył się z nią. Ciasno zawiązane cingulum sprawiało, że połączenie trwało długo, tak długo, aż silne, rytmiczne ruchy Wybrańca doprowadziły ją do szlochu, a potem rozbijającego bębni okrzyku rozkoszy.

Nim pierwsza wyznawczyni zeszła z podwyższenia i naga położyła się na kamiennej posadzce, by gestem pokory uświęcić tę chwilę, druga już znajdowała się na ołtarzu, czekając, by ją także posiadał. Ta nie czekała jednak na finał, by wydać swój ostatni, rozdzierający krzyk, ta krzyczała od początku. Kolejna jęczała bezgłośnie. Po ponad godzinie sześć nagich, zaspokojonych pątniczek leżało kornie przed ołtarzem.

– Stań przed ołtarzem i pobłogosław te, które pierwsze w ciebie uwierzyły i poznały twoją moc, tak jak nasza pramatka Maria Magdalena pierwsza uwierzyła w Chrystusa – nakazał mu głos Mistrzynie. – Podziel się z nimi ciałem i krwią.

– Błogosławię was – powiedział Wybraniec i sam zdziwił się, jak silnie brzmi jego głos odbijany przez ściany tej świątyni. Jeden z mężczyzn podszedł do niego z ostrym sztyletem. Wybraniec zrozumiał jego intencje. Wyciągnął ręce, a ten wbił mu ostrze w dłoń. Krew sączyła się z miejsc stygmatów Chrystusa. Poczul, że słabnie. Zachwiał się. Dwóch mężczyzn w habitach podtrzymało go. Opadł na fotel. Poczul jeszcze ból, gdy mężczyzna ranił jego stopy i rozciął skórę na czole.

– A teraz bierzcie i pijcie z niego wszystkie. – Głos kapłanki ledwie docierał od jego wyczerpanego mózgu. – To jest bowiem krew jego, nowego i wiecznego przymierza, która za was i za wielu zostanie przelana na odpuszczenie grzechów i na znak nowego przymierza.

Poczul, jak leżące przed ołtarzem kobiety się podnoszą i każda z nich przywiera ustami do jednej z jego ran. Kobiet jest sześć, a ran jest pięć – natrętna myśl tłukła mu się po głowie. Poczul ostrze, które zimną stałą dotknęło jego brzucha. Przypomnił sobie. Przebity bok Chrystusa. Sparaliżowany nie mógł się ruszyć. Czyżby miał być ofiarą złożoną podczas tej ceremonii? Barankiem, który zostanie zarżnięty, by zgładzić grzechy świata? Paniczne myśli pędziły przez jego głowę i paraliżowały go. Nie potrafił wykonać żadnego ruchu. To było jego szczęście.

Gonitwa myśli nagle ustała. Poczł bezpieczeństwo, spokój i błogość. Człł, jak nóż sprawnie przeciał sznur, ocierając się o napiętą skórę jego penisa. Więzy opadły. Nie trzeba było przebijać boku. Natychmiast eksplodował. Poczł obezwładniającą go rozkosz i miękkie ciało Mistrzynie, której uda opłotły go w pasie, nie pozwalając, by uroniła się choć jedna kropla spermy. Nic więcej nie pamiętał.

\*\*\*

*Kołaczkowo, 21 listopada 1925 r.*

W Kołaczkowie wszystko działo się tego dnia jakby w zwolnionym tempie. Pan co prawda nigdy nie gonił szczególnie do pracy, ale teraz, gdy zaniemógł, wszyscy snuli się jak półmartwi po dworskich zabudowaniach. Poruszenie wzbudziło pojawienie się czarnego mercedesa, który zajechał przed dwór i zatrzymał się przed wejściem. Zdumiewała zwłaszcza postać płomiennowłosej automobilistki, która uśmiechała się do przechodzących wieśniaków. W jej uśmiechu było jednak coś takiego, że żaden z nich nie miał odwagi pozdrowić jej zwyczajowym „Szczęść Boże”, a minąwszy ją, natychmiast żegnał się z przestraczem i dla większej pewności spluwał trzy razy za siebie.

– A więc tutaj mnie odnalazłaś? – wyszeptał zmęczony mężczyzna, gdy ujrzł ją wchodzącą do pokoju.

– Wiedziałeś, że nadejdzie czas, kiedy będziesz musiał przekazać nam to, co przyrzekłeś nam oddać – odparła z uśmiechem.

– To się przecież nie dopełniło. – Pisarz uniósł się na poduszkach. – Umowa została unieważniona, nie skorzystałem z waszych usług, odszedłem.

– Zawarłeś umowę, wypileś krew, odprawiłeś rytuał i wyznaczyłeś bardzo wysoką cenę. – Przybyła spojrzała na chorego z niesmakiem. – Takich kontraktów się nie zrywa, takich cyrografów się nie wypowiada, ot tak sobie. – Pstryknęła długimi palcami.

– To nie było tak sobie – wycharczał pisarz. – Poszedłem na pielgrzymkę, modliłem się przed najświętszym obrazem, wyznałem wszystkie swoje grzechy i... otrzymałem rozgrzeszenie.

– Zmartwiło nas to bardzo, przyznaję – przytaknęła. – Ale na szczęście potem napisałeś reportaż z tej pielgrzymki i wszystkie twoje szlachetne uczynki zostały unieważnione. Nie pielgrzymowałeś jako biedny pątnik, by pokłonić się przed Czarną Madonną i poprosić o wstawiennictwo, wyruszyłeś jako reporter, by zebrać ciekawy materiał. To nie będzie ci zaliczone w niebie – uśmiechnęła się złośliwie. – Ani w piekle.

– I moja dusza ma być wasza, bo napisałem reportaż ze swojej pielgrzymki? – krzyknął zmęczonym głosem. – Taki ma być mój koniec?

– Definitywny, nieodwołalny i po wsze czasy koniec – odparła i uśmiechnęła się miękko. – My wszak dotrzyaliśmy wszystkich naszych zobowiązań.

– Sześć ich było, z tego co pamiętam? – niepewnie zapytał chory.

– Sześć ich było – powtórzyła – i wszystkie młode, i wszystkie piękne jak marzenie, i wszystkie gotowe oddać wszystko, i wszystko tobie ofiarujące. No i jeszcze ta siódma, ta, która...

– Myślałem o warunkach naszej umowy – przerwał jej pospiesznie dawny Wybraniec, z niepokojem zerkając w stronę drzwi. – Możesz mi je przypomnieć?

– Oczywiście, takich warunków się nie zapomina – potwierdziła wysłanniczka piekieł.

– Było ich sześć, bardzo bowiem lubimy tę liczbę – wtrąciła. – Wszystko na niej się zasadza.

– I wszystkie sześć warunków wypełniliście? – zapytał pisarz z niedowierzaniem.

– Wszystkie co do joty – odparła diablica tak pewnie, jak potrafi zapewniać tylko bezczelny adwokat. – Namęczyliśmy się z nimi co niemiara, ale za to, teraz, nadszedł czas naszej zapłaty.

– A te warunki, przypomnij mi proszę – wyszeptał pisarz.

– Pierwszy – zaczęła patetycznie – by umarł człowiek narodzony z kobiety i narodził się człowiek stworzony z własnej woli. Syn ducha i mocy.

– Żyję wszak jeszcze, nie umarłem – zaperzył się literat. – A urodziłem się przecież z kobiecego łona.

– Żyjesz, żyjesz – potwierdziła. – Ale nie żyjesz jako organista, dzierżawca, krawiec czy kapłan, jak to tobie planowano. Wybrałeś takie życie, jakiego nikt nie chciał tobie dać. Masz takie, jakie sobie wymarzyłeś, a my zrealizowaliśmy twoje najskrytsze marzenia.

– Drugie życzenie – przerwał szorstko pisarz.

– By pod nowym imieniem poznał cię cały świat – zacytowała. – Któż dziś pamięta o Stanisławie Władysławie Rejmencie, wszyscy znają Władysława Stanisława Reymonta, a Nagroda Nobla sprawiła, że pisali o tobie nawet w Australii i Nowej Zelandii. Wierz mi, niełatwo było przekonać tych Szwedów, zwłaszcza przy takiej konkurencji – uśmiechnęła się z uznaniem dla swoich talentów perswazyjnych – Tomasz Mann, Maksym Gorki, Thomas Hardy...

– Trzeci warunek – przerwał jej oschle Reymont.

– Kobiety. – Przez twarz wysłanniczki piekieł przemknął zły grymas. – Spełniony co do joty, a nawet ze znacznym nadmiarem. Szalały na twoim punkcie, a ty bezwzględnie

wykorzystywałeś ich szaleństwo. Pamiętasz, jak uciekałeś za granicę, by schronić się przed tymi, które ciebie kochały. Tak jak Adam, który chciał umknąć przed miłością Konstancji i... przeznaczeniem.

– Nie musimy się nad tym rozwodzić. Spełniony – zamknął dyskusję Reymont. – Następny warunek.

– Pieniądze. – Słowo zaszeleściło w ustach dziewczyny. – Zależało ci na nich, bo co z kobiet, skoro nie ma pieniędzy. Nielatwe to zadanie uczynić bogaczem piąte dziecko wiejskiego organisty, ale i temu podołaliśmy – uśmiechnęła się.

– Sam ciężko pracowałem, wyklócałem się z wydawcami o każdą markę, rubla czy złotówkę – zaprotestował pisarz. – Żadna w tym wasza zasługa.

– Mówimy o prawdziwym majątku, nie o kieszonkowym. – Diablica wwierciła się w niego wzrokiem. – Wypadek kolejowy – przesyłabizowała z naciskiem.

– Wypadki się zdarzają. Nie chciałem nigdy, byście uczynili mnie kaleką czy wykolejali pociągi – zachnął się.

– I nie wykoleiliśmy – szepnęła. – A tylko nasz wysłannik tak o ciebie zadbał, że mając dwa uszkodzone żebra, otrzymałeś odszkodowanie, jakbyś co najmniej zderzył się z tym pociągiem.

– Zapłaciłem mu za to „badanie” i „opinię lekarską” godziwą prowizję... – bronił się Reymont, wskazując na przyziemne, a nie ponadnaturalne okoliczności wyłudzenia odszkodowania. – Doktor Jan Roch Raum... – zaczął.

– Doktor Maur – wyraźnie przeliterowała anagram nazwiska lekarza, który sfalszował jego dokumentację medyczną – nie możesz mieć pretensji, zostawiliśmy ci ostrzeżenie.

– On był od was – dotarło do pisarza. – Piąty warunek? – zamknął wątek.

– Talent i sława, to był piąty dar, który od nas otrzymałeś. No i to było wyjątkowo podłe. Wystawić nas na takie upokorzenie! Umyślić sobie, by karierę literacką zacząć od reportażu z pielgrzymki do Częstochowy! I to żeby jeszcze było o tym, jak się „panie pielgrzymki” z „panami pielgrzymami” parzą po stodołach, że się wcale nie umartwiają, a tylko rozkoszom cielesnym oddają z zapamiętaniem, bo wiedzą, że jak w końcu dojdą do tej Jasnej Góry, to i tak odpust zupełny czeka – zżymała się diablica. – Ale nie, pan pisarz zapragnął pochylić się, zadumać nad głęboką i szczerą wiarą polskiego chłopca. To było podłe. Ale i temu sprościliśmy.

– Szóste? – zapytał cicho pisarz.

– Ależ to było przebiegłe. To było wyjątkowo podstępne – uśmiechnęła się z uznaniem. – „Chcę żyć tak długo, bym zdążył zobaczyć, jak umrze osoba, której najbardziej

zazdroścę i abym przeżył jej śmierć” – zacytowała ostatnie życzenie wypowiedziane przed laty przez Wybrańca.

– Myślałem wówczas o tobie. – Grymas przypominający uśmiech pojawił się na twarzy pisarza. – A ty jak widzę masz się całkiem dobrze. Właściwie to nic się przez te lata nie zmieniłaś – zawiesił na chwilę głos i przypatrywał się jej dokładnie. – Diabelskie sztuczki – zachnął się.

– Byłeś blisko, bardzo blisko wykpienia się z zapłaty za dary, które od nas otrzymałeś. – Dziewczyna z uznaniem pokiwała głową. – Ale zgubiła cię twoja kościelna retoryka. Wyrzekłbyś imię i wygrałbyś, bo jesteśmy nieśmiertelne. Ale ty wolałeś te talmudyczne zawiłości.

– Ale nie zmienia to faktu, że myślałem wówczas o tobie – powiedział z naciskiem.

– Trzydzieści lat temu – słowa dziewczyny zabrzmiały dźwiękiem zimnej stali – myślałeś o pięknej, pociągającej cię kobiecie, ale od dwudziestu bez mała lat, ktoś zupełnie inny zajął moje miejsce. Innemu zazdrościłeś, innego chciałeś pokonać. I to ten inny musiał umrzeć, by wypełniła się nasza umowa.

– Żeromski? – wyszeptał Reymont zbielełymi z niedowierzania wargami.

– Tak! – wykrzyknęła radośnie. – Po trzykroć tak, jeśli były jakiegokolwiek wątpliwości, to właśnie je rozwiałeś. – Wzrokiem pewnym zwycięstwa patrzyła na niego. – Myślisz, że Nobel dla ciebie zamiast dla Żeromskiego to było proste?

– Ale on..., ale Żeromski przecież żyje – wyszeptał Reymont.

– No właśnie, już nie całkiem żyje – powiedziała z udawanym zakłopotaniem. – Umarł wczoraj wieczorem. Przywiozłam ci właśnie dzisiejszą warszawską gazetę z tą smutną wiadomością – uśmiechnęła się, rozkładając dziennik, na którego pierwszej stronie był wielki nekrolog poświęcony pamięci Stefana Żeromskiego.

– Ile mam czasu? – zapytał rzeczowo Reymont.

– Jesteśmy solidną firmą. – Spojrzała na niego jak zawodowy komiwojażer zadowolony z dobrze załatwionego interesu. – Dajemy czternaście dni rękojmi od dnia spełnienia się ostatniego warunku – wyjaśniła tak, jak się wyjaśnia działanie elektrycznej maszynki do golenia. – A potem jesteś nasz.

– A... – Pisarz był błąd jak prześcieradło, na którym leżał. – A potem jak to się dzieje? Jak to się odbywa? – zapytał niepewnie, a widząc, że ona nie rozumie pytania, dopowiedział wprost: – Jak zabieracie duszę?



– A, o to pytasz? – uśmiechnęła się – Dusza mieszka w sercu. Sześć dni po śmierci je opuszcza. A wtedy, gdy unosi się na wietrze, szukając swej dalszej drogi, chwytamy ją – cmoknęła z rozmarzeniem. – I jest nasza na wieki.

– Rozumiem – wyszeptał Reymont. – I nie ma na to już żadnej rady?

– Warunki spełnione, żywy nam nie umkniesz – uśmiechnęła się diabolicznie.

\*\*\*

*Warszawa, 5 grudnia 1925 roku*

Pani Aurelia siedziała przy łóżku męża, gdy 5 grudnia 1925 roku – dokładnie piętnaście dni po śmierci Żeromskiego i czternaście dni po wizycie rudowłosej automobilistki – wydał swoje ostatnie tchnienie. Żona delikatnie przymknęła mu powieki i złożyła ręce, by starym zwyczajem włożyć w nie świecę. Z dłoni zmarłego wysunęła się jego pierwsza książka – „Pielgrzymka do Częstochowy”. Otworzyła ją i zobaczyła odręczną notatkę męża, sporządzoną przed kilkunastoma dniami, zaraz po śmierci Żeromskiego.

*Cieężko chorował przez całe lata, ale ostatnio czuł się znacznie lepiej, już wstawał i chodził. Cios to dla naszego piśmiennictwa ogromny, dla mnie również z wielu względów nie mniejszy. Byłem jego szczerym wielbicielem. Różniliśmy się bardzo, ale podziwiałem w nim genialnego pisarza. Niestety, nie ma następcy.*

Zdumiona przekartkowała książkę. Dostrzegła jeszcze jeden dopisek, wykonany ręką Reymonta.

*Zgadzam się, bym pochowany został na cmentarzu powązkowskim w Warszawie, aby mój grób stał się pierwszym spośród tych, gdzie składani będą najwięksi Polacy. Jako że całkiem wielkim się jednak nie czuję, zaklinam, by z piersi mej uprzednio wyjęto serce i przed upływem dwóch dni od zgonu zamurowano je w filarze kościoła św. Krzyża w Warszawie, by moja dusza na zawsze pozostała wśród tych, których za życia ukochałem.*

\*\*\*

*Warszawa, 9 grudnia 1925 roku*

Ostatni żałobnicy opuszczali cmentarz na Powązkach. Dwie drobne kobiety stały i wpatrywały się w świeżo uformowany kopczyk, który tonął pod kwietnymi wieńcami.

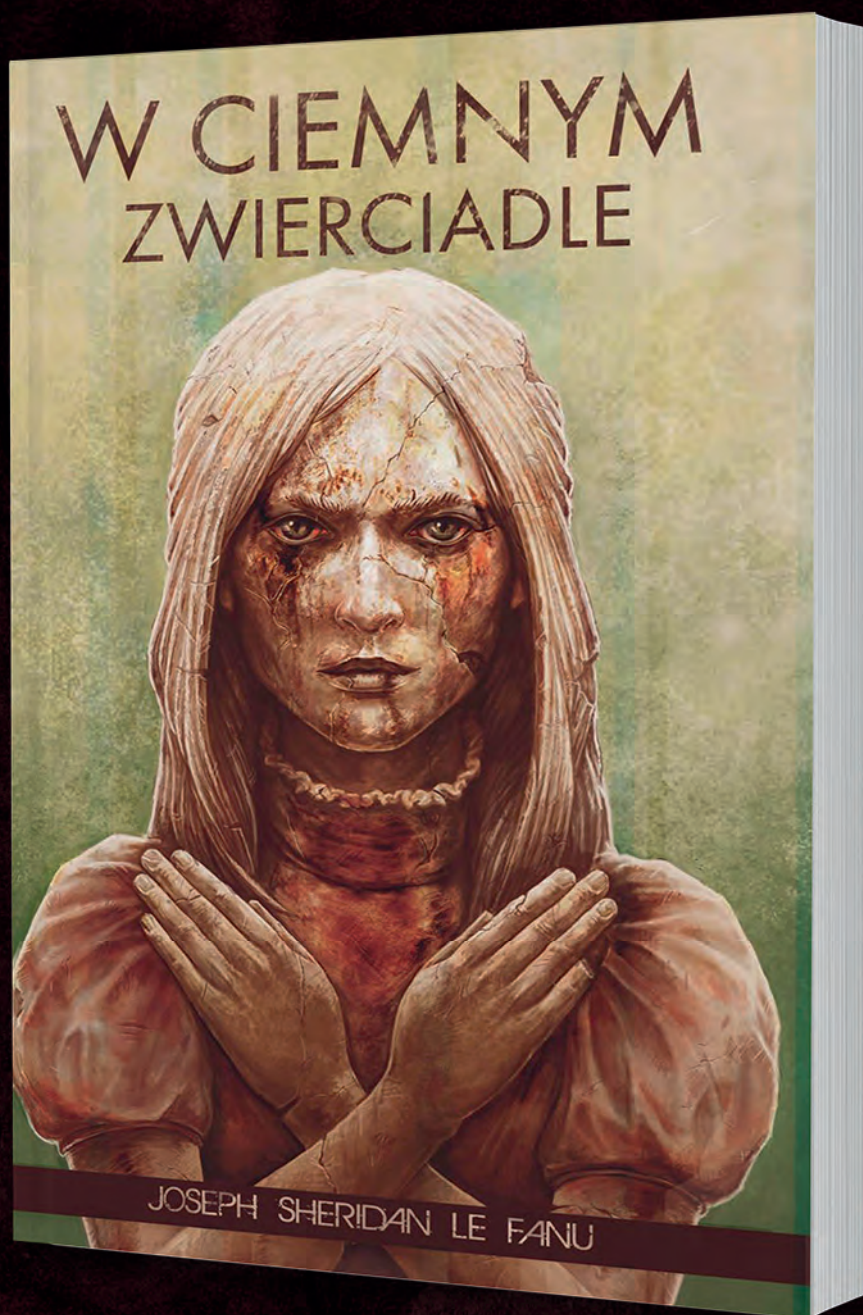
– Oszukał nas – wysyczała młodsza. – Podstępnie nas oszukał. Ze srebrnej puszeki zamurwanej w kościelnym filarze nie porwiemy jego duszy. Przechytrzył nas. Jak mogłam do tego dopuścić... Dać się przechytrzyć zwykłemu człowiekowi!

– Niezwykłemu. – Starsza kobieta uśmiechnęła się błogo. – Niezwykłemu człowiekowi – powtórzyła.

– Wiem, że ty go wybrałaś i ty przeprowadziłaś go przez ceremoniał – rzuciła młodsza – ale to jeszcze nie czyni go niezwykłym. Pozostał zwykłym śmiertelnikiem. Jak mogłam pozwolić się oszukać zwykłemu śmiertelnikowi?!

– Niezwykłemu – powtórzyła starsza kobieta. – To człowiek, który dał życie najniezwyklejszej osobie, jaką znam. To był twój ojciec.

Zysk i S-ka Wydawnictwo prezentuje  
KLASYKĘ HORRORU GOTYCKIEGO



Książka, która posłużyła za inspirację  
do stworzenia postaci Drakuli

ZYSK I S-KA  
WYDAWNICTWO

[www.zysk.com.pl](http://www.zysk.com.pl)



polub nas na Facebooku

www.kostnica.com.pl

# KOSTNICA

**POZORNIE MARTWA STRĘPA**

HORROR THRILLER KRYMINAL SENSACJA FANTASTYKA



[www.kostnica.com.pl](http://www.kostnica.com.pl)

RECENZJE  
OPOWIADANIA  
GALERIE  
NOWOŚCI  
KONKURSY  
FILM  
KSIĄŻKA  
GRA  
KOMIKS

rys. Stanislav Lament



# OJCZULEK DENKE

Angelika Januszewska

*Opowiadanie oparte na faktach*

Klaus Freitag nie miał w życiu szczęścia. Los rzucał go z kąta w kąt, raz po raz odzierając z ostatnich pieniędzy i stawiając na jego drodze ludzi niegodnych zaufania. W ciągu dwudziestu paru lat zdążył stracić rodziców, później żyć kątem u wujostwa niedarzącego go sympatią, spędzić cztery lata na frontach i w lazaretach wielkiej wojny, a na koniec, niestety, przeżyć ją, by wylądować bez zawodu i dobytku, ale z bagażem doświadczeń w samym środku ciężkiej, powojennej rzeczywistości. Teraz, gdy Klaus w zimną, listopadową noc znalazł się w Münsterbergu, los ponownie postanowił z niego zadrwić. Freitag, z nadzieją szukający jakiegokolwiek pracy w zamian za ciepły kąt i łyżkę zupy, nie znalazł niczego przed zmrokiem. Został sam, głodny i przemarznięty, na ulicach obcego miasta. Z nieba sypał pierwszy tego roku śnieg, delikatne, białe płatki, które wielu cieszyły,

bo zwiastowały koniec jesiennej szarugi. Jednak Klausowi, w jego obecnym położeniu, mogły przynieść tylko śmierć z wychłodzenia.

Bezrobotny i bezdomny Freitag zapewne włóczyłby się po brukowanych kamieniami uliczkach całą noc lub przysnąłby ze zmęczenia pod jakimś murem i już by się nie obudził. Szedł, ślizgając się na cienkiej warstwie topniejącego śniegu i klapiąc dziurawymi trzewikami. Schylił się, by zawiązać sznurówkę, a gdy podniósł głowę, w nikłym świetle latarni zobaczył przed sobą rosłego, brodatego mężczyznę.

– Dokąd to? – zagadnął go olbrzym.

– Do domu – skłamał Klaus. Bał się, że nieznajomy może okazać się nadgorliwcem, który za włóczęgostwo odstawi go na posterunek policji.

– A gdzie mieszkamy? – dopytywał mężczyzna.

Klaus próbował go ominąć, ale olbrzym zastąpił mu drogę. Bezdomny szybko przekalkulował swoje szanse i ze zwątpieniem wyznał:

– Nigdzie.

– Nigdzie? – zdziwił się nieznajomy. – Więc chodź ze mną, chłopcze.

Brodaty olbrzym przypominał raczej rzeźnika niż anioła stróża, ale Klaus nie miał zbyt wielkiego wyboru. Posłusznie ruszył za nieznajomym. Mężczyzna prowadził Freitagą płataniną krętych uliczek śpiącego miasta, w którym tylko gdzieniegdzie świeciły mdłym światłem latarnie lub z okien domu padała jasna luna.

Po drodze brodaty zaczął obiecywać Klausowi ciepły nocleg i kolację, opowiadać coś o mieście, ale po słowie „kolacja” Freitag przestał słuchać. Jego żołądek boleśnie dopominał się stawy, a obietnica kaszy z mięsem stała się wizją nęcącą jak oaza na pustyni.

Tymczasem zbliżali się do peryferii miasta. Oplatające rynek uliczki, zabudowane zwartą ścianą kamieniczek, zamieniły się w szerokie alejki przedmieść, przeplatane ogrodami i jednorodzinnymi domkami.

– Już niedaleko – obiecał nieznajomy ciepłym, uspokajającym głosem.

Musiał zauważyć, że Klaus zaczął się nieco niepokoić. Oddalili się od centrum miasteczka. Tutaj, między zaroślami, nieznajomy mógł dać Freitagowi w łeb i wrzucić go do stawu albo obedrzeć z resztek dobytku... Wiadomo, co siedzi w drugim człowieku? W pobliskim Frankenstein grasowała kiedyś banda kradnąca ludzkie ciała... A przecież ciało jego, Freitag, jest całkiem dobre. To jedyne, co warto by mu jeszcze ukraść.

Jednak olbrzym mówił z takim spokojem i łagodnością, a Klausowi naprawdę zależało, by wreszcie komuś zaufać... Zdusił w sobie kielkujący strach i pomaszerował dalej za nieznajomym.

*Los postanowił się do mnie uśmiechnąć*, pomyślał Klaus Freitag, kiedy Karl Denke wprowadził go do ciepłej, jasnej izby w swoim domu. Freitag wiedział, że w ciężkich czasach powojennego kryzysu rzadko spotyka się ludzi gotowych na bezinteresowną pomoc. Tym bardziej doceniał więc gest Denkego, który wyciągnął rękę do bliźniego w potrzebie i zaprosił do swego własnego domu.

Ojczulek Denke był w okolicy bardzo szanowany. Człowiek gospodarny, głęboko wierzący, przykładowy obywatel. W życiu osobistym mu się nie wiodło – nie ożenił się, nie miał potomstwa, nie utrzymywał też kontaktu z krewnymi, ale dla sąsiadów zawsze był miły i pomocny. Pomagał też tym, którzy najbardziej tego potrzebowali – zbłąkanym wędrowcom, włóczęgom, czeladnikom przybywającym do Münsterbergu w poszukiwaniu pracy... Często wprost z ulicy zapraszał ich do swego domu, oferował nocleg na sienniku w ogrzewanej izbie i coś na ząb, a później pomoc w znalezieniu zajęcia. Czasem prosił o małą przysługę w zamian, jak choćby pomoc w napisaniu listu – bo niestety edukację Denke zakończył szybko i nie potrafił sklecić go sam – ale przecież to nic wielkiego. Nie wyzyskiwał swoich przygodnych lokatorów.

– Zostań tutaj – zwrócił się Denke do Klause. – Ogrzej się, a ja przyniosę ci coś do jedzenia.

Klaus skinął głową, na znak wdzięczności i by potwierdzić, że nigdzie nie ma zamiaru się ruszać. Runął jak długi na sennik i wyciągnął się na nim. Dawno nie miał okazji spać na czymś równie miękkim. Ławy w aresztach miejskich czy schroniskach dla bezdomnych nie należały do najwygodniejszych. W izbie było rozkosznie ciepło, więc Klaus ściągnął z siebie znoszoną kurtkę, odwinął szalik z szyi i zrzucił z nóg trzewiki. Nie zaspokoił jeszcze głodu, ale zapach jedzenia docierający do niego z głębi domu już poprawił mu humor. Klaus zaczął myśleć o miednicy z czystą wodą i kawałku mydła, choć nieco wstyd było mu prosić o to Denkego, który i tak okazał mu już wiele dobrej woli. Po chwili namysłu stwierdził, że panujące w izbie ciepło tak go rozleniwiło, że o wodę do mycia poprosi rano, a teraz zje kolację i położy się spać. Na pachnącym łąką sienniku będzie spał długo i dobrze, a rano wyspany, czysty i syty pójdzie szukać pracy. Na pewno ją znajdzie. Wreszcie coś odmieni się w jego życiu na lepsze.

– Już idę! – rzucił Denke z głębi domu, ale nadal nie było słyhać jego kroków na drewnianej podłodze.

Klaus zaczął się już nieco niecierpliwic. Ślinka napływała mu do ust, pobudzony zapachem żołądek coraz rozpaczliwiej domagał się strawy, ale ciepło wprost wgniatało w siennik. Dawno nie mógł tak po prostu odpocząć, bez trosk o to, co będzie za godzinę, bez

myśli o głodzie, którego nie miał jak zaspokoić, o chłodzie, przed którym nie mógł się schronić... Przymknął oczy, odetchnął głęboko, stając na granicy słodkiego snu. Podłoga skrzypnęła, lecz Klaus nie otworzył oczu. Nie chciał. A po chwili, gdy stalowy hak bosaka uderzył go w głowę i bez trudu przebił czaszkę, Klaus nie mógł już otworzyć oczu.

Klaus Freitag nie miał w życiu szczęścia. Los rzucał go z kąta w kąt, raz po raz odzierając z ostatnich pieniędzy i stawiając na jego drodze ludzi niegodnych zaufania. A Klaus potrzebował pomocnej dłoni i rozpaczliwie chciał móc komuś zaufać. Nie mógł wiedzieć, że dobroduszny olbrzym, ojczulek Denke, nie jest tego zaufania wart.

Kto by bowiem przypuszczał, że przykłady obywatel Denke ciosami bosaka rozniesie głowę młodego mężczyzny w krwawe drzazgi?

Denke bez skrupułów ściągnął z Klaus a resztę ubrań – brudną, zakrwawioną koszulę i potargane spodnie, a potem wraz z pozostałą garderobą Freitag a zawiesił w przepastnej szafie. Czekwały tam już na nie inne komplety ubrań, mniejsze i większe, w większości męskie, ale zdarzały się wśród nich i damskie, należące do tych nieszczęśliwców, którzy wcześniej zaufali Denkemu.

Kiedy trup Klaus a leżał już przed nim nagi, Denke zaciągnął go do sąsiedniej izby. Za zamkniętymi drzwiami zabrał się do pracy.

Zwykle zaczynał od obcięcia włosów, zwłaszcza jeżeli były długie i zdrowe, jednak w przypadku Klaus a zrezygnował z tego. Nie miał zamiaru wycinać ich spomiędzy popękanej, broczącej świeżą juchą skorupy czaszki. Od razu zabrał się do ściągnięcia z trupa skóry, choć ciało Freitag a nie zdążyło nawet ostygnąć. Jak doświadczony garbarz wycinał płaty skóry, wystarczająco długie, by mogły wystarczyć na pasy i szelki – podobne do tych, które wisiały już na drzwiach, gotowe do sprzedaży.

Spod skóry Denke zazwyczaj wyciągał tłuszcz, by potem wyrabiać z niego mydło – zainwestował nawet w niewielką maszynkę i formy. Niestety w przypadku Freitag a tłuszczu prawie nie było, więc i z tego Denke musiał zrezygnować.

Zabrał się za to, co było najważniejszą częścią całego procederu. Mięso. Najpierw spuszczał z ciała krew, którą później wylewał we własnym ogródku. Użyźniało to ziemię, dzięki temu rodzącą obfity plon. Następnie rzeźnik z Münsterbergu starannie wycinał z ciał swoich ofiar mięśnie, pozbawiał je ścięgien, chrząstek i drobnych kostek, po czym gotował i wekował w szklanych słoikach. Szopa obok jego domu pełna była tak przygotowanych weków, które sprzedawał później na targach w Münsterbergu, Frankenstein i Breslau. Niedroga i wyjątkowo dobra cielęcinka sprzedawała się jak świeże bułeczki. Kryzys, który dosięgnął wiele niemieckich rodzin, sprawiał, że mało kto mógł sobie pozwolić na mięso, ale



u ojczulka Denkego ceny nie były wygórowane. Troskliwe matki mogły tanio kupić weki i karmić swoje dzieci mięsem, by rosły zdrowe i silne. Ojczulek Denke z zadowoleniem spoglądał na szkraby, które dzięki jego przetworom były takie okrągłutkie i rumiane. Wierzył, że te dzieci wkrótce pójną budować nową rzeczywistość, wolną od biedy, upokorzenia i klęski. Nie przypuszczał jednak, że wśród tych maluchów znajdzie się być może taki, który w przyszłości będzie brał z niego przykład. Wyrosły na jego cielęcince, będzie robił mydło z ludzkiego tłuszczu, będzie wykorzystywał włosy na materiał, będzie ściągał skórę z ludzkich ciał, by wykonywać z niej abażury... i to nie w tajemnicy, w zaciszu małego domku, nie będzie jedynym, ale jednym z wielu w nowej rzeczywistości.

Wieczorami ojczulek Denke, spełniony obywatel, spacerował po mieście w poszukiwaniu zbłąkanych duszyczek, którym mógłby podać pomocną dłoń. Kiedy żadnej nie znajdował, zajmował się zacieraniem śladów po tych, którym już swoją pomoc okazał. Wnętrznoci topił w workach obciążanych kamieniami w pobliskim jeziorze, a kości zakopywał w swoim ogródku. Dawniej robił to gdzie indziej, ale dwa razy zdarzyło się, że ktoś przypadkiem na te kości natrafił. Na szczęście nikt nie podejrzewał, że ojczulek Denke ma z nimi jakiś związek. Bo i kto by przypuszczał?

Wreszcie późną nocą ojczulek Denke zasypiał z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. Pomagał ludziom i to było najważniejsze. Klaus Freitag mógł uważać się za prawdziwego szczęściarza. Dzięki Denkemu nie musiał więcej włożyć się po świecie, cierpiąc z głodu, chłodu i braku perspektyw. Denke, łaskawy kat, ukrócił jego cierpienia, zadał mu śmierć łatwą i szybką, w ciepłej izbie, w chwili gdy Freitag, jak rzadko kiedy, pozwolił sobie na chwilę relaksu, odganiając od siebie troski i zmartwienia. A co więcej, Denke dał mu szansę zrobienia czegoś dobrego – może nie w życiu, ale po śmierci. Freitag stał się jedzeniem dla głodujących dzieci, a to, w mniemaniu ojczulka Denke, coś lepszego niż mialkie i bezsensowne życie.

Ojczulek Denke, przekonany o swej dobroci, spał głęboko i spokojnie. Nigdy nie słyszał krzyków dusz ofiar błąkających się po jego domu. Nigdy nie prześladowały go makabryczne obrazy. Nigdy nie paliły wyrzuty sumienia. Nawet w chwili, gdy powinęła mu się noga i w obawie przed odkryciem jego pracowni powiesił się w miejskim areszcie.

rys. Roman Panasiuk



# OTCHŁAŃ WIDZĄCYCH

Krystian Janik

## Prolog

*Krawarze, 12 sierpnia roku Pańskiego 1686*

Obleczeni w czerń mężowie w liczbie czterech – bowiem czwórnia, jak powiada Platon, jest ucieleśnieniem idei – rozpostarli swe ręce, poczem chwyciwszy się za dłonie utworzyli krąg. Noc była ciepła, pomimo iż niebo przecinały błyskawice. Pośrodku zawiązanego z ciała, krwi i kości pierścienia płonął ogień rozświetlający przytwierdzone do piersi mężów tablice. Wytopione w szczerym złocie emblematy przedstawiały sylfy, syreny, gnomy i będącą dopełnieniem trójni salamandrę, albowiem noszący ów znak bladolicy

młodzieniec należał do cechu widzących. Nazywano go przewodnikiem dusz, pośrednikiem pomiędzy światem żywych i umarłych, a także jednym słowem – medium. Na twarzy młodzieńca widniały symbole starsze od majestatycznych dębów i cisów będących chlubą Rzeczypospolitej. Na jego piersi wygrzewała się jaszczurka, o skórze czarnej niczym lico Etiopczyka, którą pół wieku później Carolus Linnaeus w swym monumentalnym dziele *Systema Naturae* umieścił jako *Lecerta salamandra*. Niektórzy nazywali ją ognistym jaszczurem, wszakże wierzono, iż rodzi się w ogniu i także w ogniu dopełnia żywota. Na jej czarnej skórze rozsypywały się żółte płatki, z których rzekomo miały wydobywać się płomienie. Trzej zakapturzeni mężczyźni poczęli wyśpiewywać złowieszcze psalmy. Widzący przewrócił oczyma, zawarł powieki i zamilkł. Milczenie narastało i kreśliło strach na twarzach jego towarzyszy. Widzący rozwarł powieki, lecz nie oglądał już świata swymi oczyma. Niebo umilkło. Pośrednik zawył i począł rozdzierać szaty. Otworzył usta, ale nim wypowiedział pierwsze słowo, wsunął pomiędzy zęby język i zacisnął szczęki. Krew trysnęła na jego wargi, spłynęła po brodzie, by rozlać się na złotym emblemacie. *Lecerta salamandra* zapłonęła posoką. Młodzieniec upadł na kolana i głosem nie pochodzącym z tego świata wyrzekł zapytanie:

– Kimże jesteście, iżby łamać granice światów?

– Jesteśmy twymi uczniami, o mistrzu! – oznajmił najmniej przelękły z trojga.

– Moi uczniowie umarli we mnie! Kimże jesteście, iżby łamać granice światów? – ponowił pytanie głos z zaświatów.

– Jesteśmy twymi spadkobiercami, wszakoż błądzimy w ciemności, by powołać do życia światło – rzekł ten sam. – Rzeknij nam, jak przygotować proszek, którego tajemną recepturę wyjawiał waści mistrz Sethon.

– Śmiesz mię splendor waszych jarmarcznych szat i plugawych intencji. Jeno chcecie brać, co inni przypłacili życiem.

– Mistrzu, oświeć nas! – rzekł drugi z trojga.

– Mistrzu, ożyw nas! – dołożył trzeci.

– Chcecie się wzwieźć, iżby szaty swe bryzować! Jednakże rzeknę wam! – rozszrozył się mistrz.

– Bądź pochwalony, mistrzu! – rozweselili się wszyscy.

– *Solve et coagula* – rzekł głos z zaświatów i opuścił ciało widzącego.

## Wolnomularze polscy

Pierwszego dnia kwietnia roku Pańskiego 1706 drzwi gospody „Pod Baranim Zadem” były zawarte dla miejscowej ludności, wszak toczyła się za nimi dysputa przeznaczona tylko dla uszu jej uczestników. Przy okrągłym leszczynowym stoliku – bowiem koliste kształty służą rozmowie – siedzieli trzej wytwornie odziani mężczyźni. Dwaj szlachcice – znacznie młodsi od trzeciego – odziani byli w obcisłe francuskie stroje. Starszego jegomościa szczególnie zniesmaczały ich bezwstydnie obcisłe spodnie, uwypuklające w pozycji siedzącej pewne członki ciała. Znacznie przyzwoiciej wyglądało natomiast okrycie wierzchnie, składające się z długiej kanarkowej kamizelki i szustokoru barwy starego złota. Na piersiach mężczyzn spoczywały zawieszane na grubych łańcuchach, wytopione ze szczerzego złota medaliony, przedstawiające nachodzące na siebie cyrkiel i węgielnice. Strój trzeciego szlachcica był rdzennie polski z domieszką orientu, a składały się nań nabijany złotymi guzami, brokatowy żupan barwy kardynalskiej czerwieni, lekko wpadający w pomarańcz, złocisty kontusz z odrzuconymi do tyłu rękawami, oplatany bursztynowym pasem kontuszowym zdobnym w czerwone maki. Dostojeństwa dodawał mu sumiasty, mocno przyprószony siwizną wąs i kunsztownie podgolona czupryna. Ci zacni panowie już trzecią godzinę rozprawiali o teologii, zaś dyskusja podszyta była grubymi nićmi myśli gnostycznej.

– Chrześcijanie ślepo zawierzyli swemu Jahwe... – rzekł astronom i astrolog Zbigniew Słowiński.

– Bogiem chrześcijan nie jest Jahwe, atoli Jezus Chrystus! – oburzył się starosta tarnowski Michał Remar.

– Nie słyszałeś waćpan o samowcieleniu?

– He?

– Niektórzy gnostycy wierzyli, że Maryja była jeno kanałem, za którego sprawą Bóg przedostał się do świata widzialnego.

– Hola, hola! – poderwał się alchemik i okultysta Adam Miciński. – Zapominasz waćpan, o jednej istotnej kwestyi, atoli gnostycy zakładali istnienie dwóch Bogów – dobrego i złego.

– Dwoch Bogów?! – zdziwił się starosta.

– Owszem – kontynuował Miciński – dwóch. Dobrego, z którym utożsamiano Jezusa Chrystusa, i złego, którego widzieli w starozakonnym Jahwe. Wszakóż rzecz wypada, iż chrześcijanie, zawierając Chrystusowi, nie odrzucili wiary w Boga Żydów, jeno urobili Go na obraz i podobieństwo Boga Ojca.

– Androny waćpan prawisz! – wrzasnął Słowiński. – Kacerskie, katarskie i manichejskie banialuki! Wierzyć w istnienie dwóch Bogów, to tak samo, jak wierzyć w buchające płomieniami smoki!

– Próżno z waćpanem dyskursować – machnął rękawiczką Miciński. – Wszakóż pierwej sam się waćpan na gnostyków powołujesz, a z inszych rad jesteś błaźnić!

– Niestocie, mowa waszmościów wielce jest czyrwiwa – orzekł starosta.

Czatujący pod drzwiami gospody przeżuwał powolnie posmarowaną czosnkiem i smażoną cebulą pajdę chleba. Człeczyna wyczekiwał kresu prowadzonej za drzwiami dysputy, wiedząc, iż wszystko, czego nie przejedzą trzej szlachcice, padnie jego łupem. Połknąwszy ostatni kęs pieczywa, począł szukać w miechu wonnej kwiatami wiśni bernardyńskiej tabaczki, którą podarował mu starosta. Znalazłszy orzeźwiający proszek, nasypał na dłoń sporą dawkę i prędko zażył, osłaniając drugą dłoń tabaczkę przed wiatrem. Zażywszy zmrużył oczy i rozkoszował się, niczym najwytrawniejszy smakosz, choć rzeczywistość była zgoła inna. Moment ekstazy zakłócił odźwiernemu zmanierowany na modłę zachodnią głos.

– Zacna woń. Znam ją, abociem bywam u ojców bernardynów.

– Wielmożny pan skrada się jak lizka – oznajmił odźwierny, rozpoznawszy nocnego wędrowca.

– Nie omieszkam wspomnieć, iż afekt mię bierze – odparł konsyliarz Bartosz Sędowicz. – Czy mógłbym troszeczkę zakusić, mój Cerberze?

– Ać waćpan pobiera, na zdrowie! – rzekł mieszczanin, poczem podał konsyliarzowi miech, zaś ów wysypał proszek na rękawicę i wciągnął dwakroć do nozdrzy.

– Do stu diabłów! Znakomita! – oświadczył.

\*\*\*

Bartosz Sędowicz jesienią roku Pańskiego 1699 został obłożony infamią i skazany na dożywotnie opuszczenie miasta Tarnowa za zastrzelenie medyka Łukasza Bolesławczyka. Pierwszego dnia roku Pańskiego 1700 miłościwie panujący w Rzeczypospolitej August II Mocny uwolnił Sędowicza od haniebnego znamienia i przywrócił mu urząd konsyliarza poznańskiego, krakowskiego i tarnowskiego. Szlachcic po odzyskaniu dobrego imienia osiadł w krakowskim klasztorze karmelitów, gdzie oddał się studiom nad księgozbiorem klasztornej biblioteki, ze szczególnym uwzględnieniem rękopisów muzycznych. Wiosną tegoż roku, otrzymawszy list od kasztelana tarnowskiego Mikołaja Wyszetropa, powrócił do Tarnowa

i wślawił się celnymi uwagami, które pomogły rozwiązać zagadkę Krzyżowca. Była to ostatnia wielka sprawa kryminalna zaistniała na ziemi tarnowskiej. Od tamtego pamiętnego wydarzenia, aż po dzień dzisiejszy, Sędowicz oddawał się podziwianiu pełnych dostojęstwa nagrobków znakomitego rodu Tarnowskich, wykonanych z białego piaskowca przez włoskiego artystę Jana Marię Padovano. Niejeden mieszkaniec miasta mawiał, że konsyliarz nie opuszczał katedry, gdyż w ten sposób chciał odpokutować zamordowanie człowieka.

Pomimo czasu przepędanego na kontemplacji pośmiertnych pomników, Sędowicz nie przestał dbać przesadnie o swój wygląd zewnętrzny. Jedynym gwałtem, jakiego się dopuścił, było przesunięcie pory wyswobodzenia z objęć Hypnosa z szóstej na piątą. Owo przesunięcie wiązało się w istocie z zaprzestaniem wizyt u balwierza w celu ogolenia twarzy. Sędowicz zrezygnował z usług miejscowego golibrody po tym, jak ów dopuścił się paskudnego zadrapania jego podbródka. Samodzielne golenie nie sprawiało konsyliarzowi radości, albowiem wiązało się z utraceniem całego obrotu wskazówek. Czas utracony przywrócił Sędowiczowi podarek, jaki otrzymał na swe trzydzieste ósme urodziny od pięknej, aczkolwiek przekwitającej Doroty von Eden. Było to szyckie ostrze, wykute w górach Libanu, roztaczające zapach cedrowych lasów. Mówiono, iż towarzystwo kurtyzany nie przystoi pokutującemu urzędnikowi, ale konsyliarz był głuchy na tego rodzaju uwagi.

\*\*\*

– Przebóg! – poderwał się starosta, usłyszawszy łomotanie w drzwi gospody.

– *Pulsate, et aperietur vobis!* – zawołał błagalnie głos zza drzwi.

– Wszelki duch, Bartosz Sędowicz! – oznajmił Remar. – Toż mój kompan, nie godzi się, iżby dzieliły nas dźwierze!

Starosta ku wielkiemu zmieszaniu swych rozmówców zdjął rygiel i zaprosił konsyliarza do środka.

– Czolem, panie bracie! – Starszy urzędnik, pomimo sędziwego już wieku, chwycił żwawo konsyliarza za ramiona i objął, niczym ojciec tuli do serca powracającego z wojny syna.

– *Salve*, panie Michale! – powitał druha Sędowicz, poczem spojrział z ukosa na dwóch ubranych z francuska jegomościów i rzekł: – *Salvete*, siabry!

– *Ave...* – odpowiedzieli niechętnie mężczyźni.

– *Ad rem*, panie Michale, proszę wdziąć sobole. Idziemy na cmentarz.

- Siedem wiosen wstecz – Remar przechylił apostoła i pociągnął haust grzanego, słodowego piwa – także rzekł, Bartoszu. Do wieka nie przepomnę tego waści!
- Haniebny był z waćpana darmoswar – wyszczerzył zęby Sędowicz.
- Psie krwie...

\*\*\*

Konsyliarz Bartosz Sędowicz w towarzystwie sędziwego wiekiem, atoli ruchawego niczym mężczyzna w sile wieku, starosty tarnowskiego Michała Remara przekroczył wrota piastowskiej nekropolii. Pochylony nad rozkopanym grobem kasztelan Mikołaj Wyszetrop usłyszawszy kroki zbliżających się urzędników, poderwał się na proste nogi i zaklął:

- Niech to czort!
- *Ad rem*, panie Mikołaju, *ad rem!* – rzekł Sędowicz. – Mówcie, atoli wolno i nie żałujcie szczegółów.
- Jeno, cóż rzec? – rozłożył ręce kasztelan. – *Medicusa* trza by spytać, jeno *medicus* bawi w Bawarii.
- Biadolicie jak Żydowin za faraona! – rzucił kąśliwie starosta. – Mówcie, co wiecie!
- Ów *juvenis*... – rozpoczął Wyszetrop, ale nim przeszedł do sedna sprawy wyprzedził go Sędowicz.
- Kasztelanie! Nic nie wiecie! Nie pytaliście tych, co odkryli truchło?
- Pytałem i waćpan także możesz, aczkole to próżny trud.
- Dłaczegóż?
- Stróż przyszedł na gotowe, a chłopina, co znalazł ciało, lęka się gębę otworzyć.
- Czemuż? Czemuż? – niecierpliwił się konsyliarz.
- Nieboszczyk za żywota był opętany przez złego ducha – rzekł stróż. – Chłopina wierzy, że zły duch może wlecieć człękowi do gęby i zalęgnąć się w duszy. Ot, cała heca.
- Do stu diabłów!
- Niechaj wielmożny pan pomiarkuje, bo się chłopina na wieki wieków zamknie – ostrzegł konsyliarza stróż. – Jego macierzy czarownica zadała diabła w nalewce z borówek i rozum jej się pomięszal. Głośna to była sprawa na całe Zgłobice, że egzorcystę trza było sprowadzać. Diabła udało się przegnać z macierzy, atoli nie posłuchał rodzic chłopiny ostrzeżeń kaznodziei i rozwarł gębę, jegdy zły wylatywał z żony jego i...
- ...wleciał jemu pod postacią czarnego nietoperza – dokończył Sędowicz.
- Nie nietoperza, jeno czarnego robaka – poprawił stróż.

Zniecierpliwiony Sędowicz pochylił się nad rozkopanym grobem, a to co ujrzał spowodowało, iż do gardła podeszły mu zjedzone na śniadanie bastramy. Słony smak nieprzetrawionego baraniego mięsiwa rozlał się po podniebieniu szlachcica, zaś w kącikach jego oczu pojawiły się rozmazujące widoczność łzy.

Nabrzmiałe powieki, niczym pękające strąki grochu, wypuszczały przepasane krwawymi nitkami gałki oczne. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie ich nienaturalna wielkość. Głowa nieboszczyka swym kształtem i barwą przywodziła na myśl łeb karpia. Czarnozielone lico uzupełniały lekko rozchylone rybie wargi, z których wypływał poszarpany kawał jęzora. Karpią głowę uzupełniało galaretowate cielsko. Olbrzymi brzuch bulgotał, a z popękanej skóry wypływała ciemnoczerwona wydzielina.

– O kurwa mać... – zaklął konsyliarz. – Przyjmijmy, że nasz milczek nie ruszał truchła.  
– Szlachcic spojrział na chłopą, który na potwierdzenie skinął głową. – Zdaje mi się, iż nieszczęśnik, przynajmniej cztery tygodnie wstecz, wpadł do parowu, z którego nie potrafił się wygrzebać, a potem... – przerwał i postukał się w podbródek, poczem dokończył: – A potem spadł śnieg i przykrył nieszczęśnika.

– Zawsze mówiłem, że dowcip Sędowicza łączy! – zakrzyknął tryumfalnie Wyszetrop.  
– Obejdzie się bez *medicusa* i rzezania truchła!

– Niestocie, zawiodę waćpana – odpowiedział Sędowicz. – Ciało człowiecze jest skazitelne, lecz blasku szczerego złota nie przyćmi śnieg, aniż obel. – Szlachcic wyciągnął spod swej niemodnej już ferezji jedwabny facelet, którego użył jako rękawicy, chwyciwszy w płótno złoty łańcuszek zawieszony na szyi nieboszczyka. Czubek prawego buta wetknął pod głowę trupa i uniósłszy ją w górę, pociągnął łańcuszek. Wtedy oczom pochylonych nad zwłokami ukazała się złota tabliczka.

– Cóż to? – zapytał starosta.

– Emblemat – odparł szlachcic, a następnie oczyścił faceletem tabliczkę. – Zdaje się, iż przedstawia ognistą salamandrę.

– Łowcza twa natura, Bartoszu – odrzekł starszy wiekiem. – Mnie... – chciał jeszcze coś dodać, ale wszedł mu w słowo milczący dotąd chłop:

– Błazej to od Madejów – rzekł, wskazując na zwłoki. – Człek przepowiadający.

– Widzący przyszłość? – zdumiał się konsyliarz.

– Jegdy jałochna nom przepadła, dziad rzekł, że trza do Madejów pośpieć, bo u nich w chałupie jest taki, co przepowiada. Rzekł, że jałochna na łęgu padła...

– Wystarczy! Prowadźcie do Madejów!



\*\*\*

– Poznajecie ten znak, gospodarzu? – Szlachcic w czerwonej szacie przesunął w powietrzu złotym emblematem przedstawiającym plamiastą jaszczurkę.

– Miłościwy panie, toż herb łacinników – wycharczał Franciszek Madej.

– A wy, Madejowo, poznajecie? – puścił oko do żony gospodarza starosta.

– No, herb łacinników, jak mój prawi – Maria Madejowa potwierdziła słowa oblubieńca.

– Jakich łacinników? Mówcie kobiecino! – niecierpliwił się konsyliarz.

– Inszy był nasz pierworodny od reszty synów. Do klasztoru go zaniósł, iżby kaznodzieja go ożywił, a on ręce rozłożył i rzekł, że trza uwarzyć trunku z korzenia piwonii, alibo korzeń palić i dymem podkurzać syna, iżec diabły się w nim załęgły, a woni korzenia piwonii one lękają się wielce. Nie pomogło, to do baby poszlim, iżby diabły zegnała, aboś rzekła, że trza, nie z piwonii, a z czerwonego koralu trunku uwarzyć...

– I co? – przerwał opowieść Sędowicz.

– Nie pomogło. Razu pewnego, ostatnimi dniami stycznia, przyszło dwóch łacinników i rzekli, iż diabły zegnąją, lecz syna trza do nich posłać. Przełękłam się, a oni rzekli, że syn wróci, jedgy roztopią się śniegi.

– Jak wyglądali owi łacinnicy? – wtrącił szlachcic.

– Cali odziani byli w złoto – odpowiedział Madej.

– Dam sobie lico bełtem przeorać, iż byli to waćpana kamraci – zwrócił się do starosty Sędowicz.

– Psie krwie! Bałamuty! – wzburzył się kompan łacinników.

Na twarzy Sędowicza pojawił się grymas bólu, albowiem dał o sobie znać słynny na całą ziemię tarnowską ząb konsyliarza. Proweniencja dolegliwości owiana była tajemnicą, aczkolwiek pojawiała się zwykle, kiedy w pobliżu szlachcica znajdował się *Berberis vulgaris*.

Ongiś pewien wiekowy zakonnik wiodący pustelniczy żywot w melsztyńskiej lepiance, wszakże odkrył w sobie powołanie do chiromancji, co spowodowało, iż drzwi opactwa zostały przed nim zawarte, ułożył traktat, w którym wymienił z nazwy drzewa działające na korzyść i niekorzyść człowieka. Drzewom niekorzystnym w piśmie pustelnika przewodził właśnie *Berberis vulgaris*. Wiosną roku Pańskiego 1703 dolegliwość konsyliarza przerodziła się w piekło. Mężczyzna z dnia na dzień pogrążał się w rozpacz, co doprowadziło do tego, iż przez trzy dni i tyleż samo nocy pozostawał w kwartanie. Doktor Teodor Edgar Gawiński nie znalazłszy panaceum na ogień trawiący wnętrzości przyjaciela,

zwiedził się, iż w Melsztynie dzień na modlitwie i pokucie spełnia cudotwórca. Bez chwili zawahania osiodłał konia i jeszcze tego samego dnia powrócił do Tarnowa w towarzystwie pustelnika. Starzec obejrzał gorejące ciało konsyliarza i orzekł, iż przyczyną jego mąk jest rosnać w pobliżu katedry, w której często ów bywał, berberys. Poradził także, żeby krzew ciernisty wyciąć, a w jego miejscu posadzić morwę lub jałowiec. Ponadto nakazał niemocnemu trzy razy w ciągu dnia wypijać po cztery uncje nalewki z wonnej żywicy upuszczonej z młodej brzozy. Po upływie dwóch dni niemoc opuściła szlachcica.

– Miłościwy panie, nacz nas nachodzicie, aczci o naszym pierworodnym nie macie wieści? – Ciało Sędowicza przeszył lament wyczekującej powrotu syna matki. Ból zęba na chwilę ustąpił, bowiem zagłuszył go mocniejszy, pierwotniejszy, wypływający z łona i serca, ból matczynej miłości.

– Niewiasto – wyrzekł przez zaciśnięte zęby. – Łacinnicy nie zełgali, wszakże śniegi stopiły się, a syn twój powrócił.

### **Ablucja ciemności**

Za oknami poczęła rozsiewać się ciemność. Wilgotne powietrze osiadało na szybach i witrażach. Zbierało się na deszcz. Spośród napęczniałych obłoków wynurzał się błady księżyc – zwiastun ulewy. Lękano się deszczu, albowiem wraz z nim spadały na świat choroby. Niejeden człek przepędzający noc pod gołym niebem skarżył się o poranku na łupanie w krzyżu, które z upływem dni przekształcało się w próchnicę kości.

W ciemnościach panowały się zjawy. O ich obecności świadczyło zachowanie zwierząt, w pierwszej kolejności psów, które zwęszywszy widziadło kuliły się, wylży i przylegały do nóg właścicieli. Nocą unikano mokradeł, rzeczulek, drewnianych mostków, a przede wszystkim rozstajnych dróg i cmentarzy. Niejeden, co zapuścił się nocą w okolice nekropolii, zaświadczał, iż widział, jak z mogił wypływają rzesze dusz potępionych.

Powszechnie mawiano, że sprawiedliwi obywatele nie opuszczają po zachodzie słońca swych domów. Jednakże dla niektórych szanowanych mężów noc była wyborną porą, aby niepostrzeżenie zawitać do zamtuza lub prywatnego domu kurtyzany. Gęsty mrok rozweselał złodziei, morderców, gwałcicieli, sodomitów i wszelkiego rodzaju pomniejszych rozpustników. Tacy nie trwożyli się na widok strzygonia czy wilkołaka. Niestraszny był im także sam diabeł i orszak wiedźm jego sunących na miotłach prosto w źrenicę kochanka nocy.

Kiedy mrok opanował każdy, nawet najmniejszy zakamarek miasta, rozległo się przeraźliwe echo grzmotu, jakby archanioł dmuchnął w zwiastującą Sąd Ostateczny trąbę.

Owo echo zatrwożyło zgromadzonych w podtarnowskim lesie, słynącym z głębokich bagien i obecności rzadko spotykanej na ziemiach Rzeczypospolitej żaby baczącej, odzianych w złote suknie mężów.

– Stańcie dokoła widzącego! – nakazał towarzyszom pierwszy z trojga.

– Wicher wiał na prawo i lewo, to zła noc, nie uda się! – zawodził drugi.

– Klepsydra rychło odmierzy połowę nocy, a w onej dobie mistrz, równo wiek temu, dokonał przemienienia! Uczyńcie, co rzekłem!

– Ależ... – nie zdążył dokończyć trzeci.

Coś zaszeleściło w iglicach. Zawrzeszczały ptaki nocy. Trzej mężowi otoczyli w krąg widzącego. Z jego wnętrza wydobył się przeraźliwy psalm:

– *In nomine dei nostri satanas luciferi excelsi!* O mistrzu, przybądź z otchłani! Z krainy, w której lament jest chorałem, a wieczność odmierzana jest zgrzytaniem zębów!

– Na przenaświętsze członki Chrystusa! Toż czarny mag! – wrzasnął drugi z trojga.

– Mistrza z piekielnej kaźni wyrwie jeno moc czarna! – odparł pierwszy. – Mistrz odrodzi się we mnie i za sprawą mych dłoni dokona się przemienienie!

Stopy widzącego oderwały się od ziemi. Pozagrobowa siła wykrzywiła jego plecy i przełamała kręgosłup. Chrupot łamanych kości spłoszył ukryte w zaroślach zające. Trójnia zamarła. Piekielne moce cisnęły ciało czwórni w potężny pień buka. Po chropowatej powierzchni drzewa spłynęła kleista substancja barwy łososiowego mięsa.

Przeszło dwadzieścia lat później pochodzący z podtarnowskich Koszyc Wielkich bard i poeta Franciszek Sędziwoyski wyciął jedno z odgałęzień drzewa i wyrzeźbił z niego klasyczny fagot.

\*\*\*

Zapach świeżej posoki zwabił wilki. Zwierzęta zanurzyły swe pyski we wnętrzościach nieboszczyka. Przewodnik stada odgonił braci od najsmakowitszych bebeczków. Sam pożarł profetyczną wątrobę i metafizyczne jelita widzącego. Skończywszy pożeranie wnętrzości, wilki zajęły się odrywaniem kończyn od korpusu. Każdemu z braci wilków po rozczłonkowaniu ciała przypadła jedna kończyna. Pozostawione pod bukiem ochłapy stały się żerem najpierw dla orłów i sokołów, a następnie dla przydrożnych kundli.

Kiedy wilki dzieliły członki widzącego, konsyliarz tarnowski Bartosz Sędowicz kończył zabawę w balwierza. Trzy kwadranse później zjawił się pod jego drzwiami starosta

Michał Remar i razem udali się do loży wolnomularskiej Abraxas, w celu wybadania Czcigodnego Mistrza Klemensa Gabriela Ryckiego zwanego Archaniołem.

W tym samym czasie Franciszek Madej przechylił szklanicę zaprawionego arszenikiem słodowego piwa. Śmiertelny trunek podała gospodarzowi jego nadobna małżonka Maria. Mężczyzna pił łączywie. Najpierw po brodzie popłynęła mu strużka bursztynowej cieszności, zaś chwilę później biała piana, zwiastunka otrucia. Z oczu niewiasty popłynęły łzy. Podniosła upuszczoną przez konającego oblubieńca szklanicę, lecz nie było już w niej ni kropli napoju. Z brzoźowego kredensu wyjęła sztylet i przepelnionym dramaturgią ruchem przekuła nim swą szyję. Takiego zgonu nie powstydzilyby się stronicze werońskiej opowieści.

\*\*\*

Konsyliarz wbił wzrok w obraz przedstawiający nagą rudowłosą niewiastę o rubensowskich kształtach. U jej stóp spoczywała czarna pantera. Urzędnik pomyślał, iż tak właśnie powinna wyglądać alegoria cielesnego pożądania.

– Demon, nie niewiasta – stwierdził Klemens Gabriel Rycki, zwany Archaniołem. Ów mąż w siedemdziesiątej wiosnie, odziany był w złoty płaszcz z kapturem, przypominający szatę mnicha. – Przybyła z Kalkuty i owinęła sobie wokół palca wytrawnego artystę Stanisława Reymentowskiego. Przez trzy dni i trzy noce utrwał na płótnie jej demoniczną postać.

– Zaprawdę powiadam, iż ciekaw jestem usłyszeć zakończenie tejże historii, jednakowoż insze demony sprowadzają mię do waćpana – przerwał Sędowicz.

– Niech więc się stanie podług życzenia waćpana. Cóż was trapi, mości konsyliarzu?

– Rad będę się zwiedzieć, kimże jesteście, wszakże nie słyzałem nigdy o wolnym rzemiośle.

– Mości panie konsyliarzu, w Rzeczypospolitej nikt nie słyzał o wolnym rzemiośle i jeszcze długo nie usłyzy – odparł Archanioł. – Szkoci i Anglicy powołali już loże, jednakże potrzeba czasu, bociem Zachód nie jest gotowy na przyjęcie nowego porządku.

– Szykujecie waćpanowie *Dies Irae*? – Sędowicz przyprawił swe zapytanie uśmiechem szydery.

– Nie, mości panie konsyliarzu – zaprzeczył Rycki. – Pragniemy pojąć tajemnicę przemienienia.

– Boga w człowieka, czy człowieka w Boga?

– Waćpan masz wrodzony pociąg do upraszczania! Zupełnie jak starosta! – wrzasnął Archanioł.

– Panie Klemensie Gabrielu, chcieliście pozwolenie na powołanie w Tarnowie łoży, toście otrzymali, atoli słowem nie rzekliście, co chcecie przemieniać w co! – poderwał się dotąd milczący Remar.

– Mrok w światło, ot cała filozofia. Przeczytajcie panowie *Novum Lumen Chymicum* naszego mistrza, a przestaniecie błądzić.

– Zatem, jaką rolę w przemienieniu odegrał Paweł Madej? – przeszedł do rzeczy konsyliarz.

Na twarzy Archanioła pojawiło się zdziwienie. Anielskie czoło ozdobiła korona z kropli zimnego potu. Owo zdziwienie nie umknęło przenikliwym oczom Sędowicza.

W tym samym czasie ksiądz Jan Jurkowski wyszedł z katedry, aby zażyć świeżego powietrza, bowiem od zeszłego lata drażnił go zapach wilgoci. Długoletnie przebywanie w murach katedry i wdychanie mokrego powietrza osłabiło płuca księdza. Wyszędłszy na zewnątrz zamarł. To, co ujrzał, zamroczyło go na kilka sekund. Trotuarem, prosto w jego stronę, podążał ogromny kundel trzymający w pysku kawałek ludzkiej twarzy z wyraźnie widocznym nosem. Pies rozpoznał swego dobrodzieja, albowiem zawsze po zakończeniu wieczerzy ksiądz Jan wynosił mu resztki. Nie miał jednak zamiaru dzielić się z kapłanem swą zdobyczą.

– Znałem Pawła Madeja – wyznał Czcigodny Mistrz. – Niestocie, nie widziałem go od dwóch miesięcy.

– Śnił zimowy sen – ściszone głosem odparł konsyliarz.

– Panowie wybaczą, że ich nie odprowadzę? – niespodziewanie zakończył rozmowę Archanioł, wskazując drzwi.

\*\*\*

Kiedy konsyliarz i starosta wyszli z łoży Abraxas, niebo zawarczało i spuściło na głowy szlachciców lodowe kule.

– W Rzeczypospolitej nawet pogoda nierządem stoi! – rzucił konceptem Sędowicz. – Prędko, do pracowni medyka!

– Po czorta? Przecież nie wrócił.

– Kazałem panu Mikołajowi posłać pachołka po kata, iżby wykonał sekcję zwłok. Po medyku jeno kat umie rozpoznać się w bebechach.

Nim grad przeistoczył się w deszcze, tarnowscy urzędnicy dotarli do pracowni medyka. Przed wejściem, na leszczynowej ławeczce, siedział kat i kończył palić zawiniętą w liście tytoń. Potężnie zbudowany mężczyzna rzucił na ziemię niedopaloną końcówkę i przydeptał metalową podeszwą, następnie zaś spojrzął na szlachciców i huknął tubalnym głosem:

– Wykradli ciało, pomioty sobacze!

– Cóż powiadacie?! – zdziwił się Sędowicz. – Któż wykradł ciało?

– Złote kundle – odparł kat.

– Od Archaniola? – dopytał starosta.

– Od Archaniola – potwierdził mistrz obosiecznego miecza. – To jeszcze nie wszystko, wszak mości kasztelan kazał waćpanom przekazać, iż po mieście gonią psy, które w pyskach dzierżą ludzkie członki. Pierwszego wypatrzył kaznodzieja pod katedrą. Niech waćpanowie sobie wyobrażą, iż zwierz zaciskał w zębiskach nos i kawał skóry z lica.

– Jezus Maryja! – przeląkł się Remar.

– Po nim przybiegł drugi – kontynuował kat. – Niech waćpanowie sobie wyobrażą, iż ów z kolei przywłókł prawie całe płuco. Kaznodzieja zawezwał kasztelana, a ów w towarzystwie pachółków podążył śladami juchy. Dotarli do bukowego lasku, gdzie znaleźli korpus bez członków i odartą ze skóry trupa czaszkę.

– Rozpoznali nieboszczyka? – zapytał konsyliarz.

– Po gołej czaszce? Skądże, atoli cztery dni wcześniej przepadł bez wieści Łukasz Jarzyna, syn podczaszego ziemskiego Bronisława. Kasztelan powiada, iż to jego ochłapy przywłokły do miasta psy, aczkole dowodów nie ma. Powiada także, iż waćpan będzie wiedział – zakończył, wskazując na szlachcica w czerwonej ferezji.

– Panie Michale, znaliście nieboszczyka? – zwrócił się do starosty konsyliarz.

– Znałem jego rodzica i wiem, do czego waćpan pijesz. Łukasz Jarzyna był opętany przez szatany.

– To nie koniec – wtrącił kat. – Płomienie pochłonęły dom podczaszego, nim zdążył zapiać pierwszy kur.

– Jeśli dobrze miarkuję, toż i Madejowie nie przeżyli dzisiejszej nocy – podsumował Sędowicz. – Ktoś morduje opętanych i doskonale wiem kto, lecz nie do końca wiem, po cóż to czyni. Jednakowoż wiem, gdzie szukać odpowiedzi.

– W bibliotece? – nieśmiało podpowiedział starosta.

– Panie Michale, trafił pan w samo sedno!

\*\*\*

– Zasmucę waćpanów, abociem wszystkie tomy *Novum Lumen Chymicum* diabli wzięli – przeszukawszy regały orzekł bibliotekarz.

– Do stu diabłów! – zaklął konsyliarz. – Bibliotekarzu, czy wiecie, co w tej księdze było napisane?

– Tyle, co się przeczytało, kiedy wieczór był długi, a inne księgi dawno się poznało. W owym dziele zawarte są receptury na preparaty chemiczne leczące z najcięższych chorób.

– Zaprzęta mą głowę przemiana ciemności w światło.

– Zaprawdę, księga ta traktuje o przemianie, atoli nie ciemności w światło, lecz ołowiu w złoto. Niektórzy mawiają, iż Michał Sędziwój z Sącza ukrył pomiędzy wersami recepturę na proszek przemieniający właśnie ołów w szczerze złoto.

– Michał Sędziwój! – poderwał się Sędowicz, jakby dostąpił objawienia. – Pamiętacie, bibliotekarzu, kiedy Sędziwój dokonał przemienienia?

– W rocznicę swych pięćdziesiątych urodzin, roku Pańskiego 1606, *notabene* rzecz miała miejsce na tarnowskiej ziemi.

– Pamiętacie dzień i miesiąc?

– Drugi dzień i drugi miesiąc.

– Równo dwa miesiące temu minęła setna rocznica przemienienia – zauważył urzędnik.

– Jaśniej, Bartoszu, jaśniej! – wzburzył się starosta.

– Archanioł pragnie zwiedzić się, jak przemienić ołów w złoto, atoli nie potrafi znaleźć klucza do zawartej w księdze receptury. Miast drążyć stronice w poszukiwaniu światła postanowił, że usłyszy recepturę od samego Sędziwoja.

– Bartoszu, tarnowskiej ziemi chlubo! – opiewał dedukcję kompana starosta. – Bystrość twego umysłu gotowa kajdanami pętać!

– Zmiarkował, iż mistrza z wiecznej otchłani wydobyć mogą jedynie naznaczeni darem przekraczania granicy światów. Jednakowoż Sędziwój musiał podać błędną datę przemienienia ołowiu w złoto, wszakże plan Archanioła spalił na panewce.

– Ano, pozazdrościć takiego druha – zwrócił się do starosty bibliotekarz, zaś po chwili rzekł do konsyliarza: – Jednakże, podana przez Sędziwoja data wcale nie musi być fałszywa. Siła, która przybyła z zaświatów, nie pozwoliła się okiełznać, co przyczyniło się do śmierci pośrednika.

– Zaiste, ach, zaiste! – skwitował Sędowicz.

\*\*\*

Kwadrans później tarnowscy urzędnicy dotarli pod mury loży wolnomularskiej Abraxas. Od trzech kwadransów czekał tam na nich kasztelan.

– Wszystkich piekło pochłonęło – oznajmił Wyszetrop.

– Uszli? – upewnił się Remar.

– W Tarnowie ciężiej pochwycić morderza niżli liszkę – sentencjonalnie zamknął sprawę Sędowicz.

## **Epilog**

*Łukowica, 2 lutego roku Pańskiego 1666*

Twarz widzącego zmieniła kształty. Klemens Gabriel Rycki wiedział, czyj duch zagnieździł się w ciele medium. Łysiejąca głowa, wyżłobione zakola, długi wąs i gęsta czarna broda pokryły młodzieńczy wizerunek. Pierwsza próba przywołania ducha Michała Sędziwoja z Sącza powiodła się.

– Nikomu nie wyjawię receptury mistrza Sethona – rzekł duch Sędziwoja. – Nie wzywaj mnie więcej, wszakże będziesz winien śmierci widzących.

– Mistrzu... – wyjęczał Rycki.

– *Solve et coagula* – odparł mistrz i opuścił ciało pośrednika.



rys. Roman Panasiuk



# PAMIĄTKA Z DZIECIŃSTWA

Ludwik Cyfer

Pytasz mnie, kim jestem. Nie mogę udzielić odpowiedzi. Przez całe trzydzieści lat nędznego życia grałem rolę narzucone przez spojrzenia ludzi. Widziałem w ich oczach swoje odbicie, a raczej odbicia, bo było ich wiele. Początkowo rósł jeszcze we mnie bunt, chęć sprzeciwu, bo choć nieokreślony, czułem instynktownie, że jestem kimś innym. Z biegiem czasu pamięć mojego prawdziwego ja, a raczej jego szkicu, którego nigdy nie dokończyłem, zatarła się na tyle, że mogłem bez większego skrupowania i wyrzutów sumienia kroczyć ścieżkami, które wskazywali mi dobrodusznie inni.

Pytasz mnie, dlaczego to zrobiłem. Na to już mi łatwiej odpowiedzieć. Sądzę, że nie potrzebujemy wydawać publicznych pieniędzy na pomoc psychologa w analizie mojego

przypadku. Sprawa jest tak banalna, że świadomość tego krępuje mnie, gdyż dotychczas uważałem się za jednostkę bardziej skomplikowaną.

Chyba znalazłeś mój pamiętnik. Nakreśliłem w nim najgorsze wspomnienia swojego dzieciństwa, których – jak za złość – moja psychika nie potrafiła wyprzeć ze świadomości. A powinna. Bo chyba o to chodzi w życiu, prawda? Wszyscy ukrywamy się za jakimiś maskami, udajemy. Przed innymi, a przede wszystkim przed samymi sobą. Nadajemy swojemu życiu pozorny sens. Kroczymy na protezach, bo bez nich musielibyśmy się czołgać, gdyż brakłoby nam odwagi, by skończyć ze sobą.

Czy myślałem o samobójstwie? Oczywiście. Chyba jak każdy w miarę inteligentny człowiek. Osobiście uważam, że jeśli nigdy w swoim życiu nie było to przedmiotem twoich rozważań, to znaczy, że granica twoich myśli i potrzeb zaczyna się w kuchni, a kończy w toalecie, gdy spuszczasz wodę.

Nie chcę zbytnio się rozwodzić na temat mojego dzieciństwa. Wszystko, czego potrzebujesz, by odpowiedzieć sobie, dlaczego to zrobiłem, jest zawarte w pamiętniku. Na początku żałowałem, że go nie spaliłem. Nie chciałem bowiem, aby ktoś rozgrzebywał wspomnienia, które i tak nękały mnie każdej nocy. Teraz jednak czuję się od nich wolny. Pierwszy raz od wielu lat spałem niezmaconym snem. Trochę macie tu niewygodne łóżka, ale to tak trywialny problem, że aż dziwi mnie, że o nim wspominam.

Dobrze, zamiast o dzieciństwie opowiem od początku do końca, jak do tego doszło. Zacznę od momentu, kiedy dzwoniłem do swojej narzeczonej, bo był to punkt, który rozpoczął całą tę tragedię. Pomyśleć, że gdyby kupiła mi tę pieprzoną maszynkę do golenia, nie siedziałbym tutaj. Z drugiej zaś strony, pewnie wciąż dręczyłyby mnie koszmary.

Tak, bo chyba cały mój gniew, który gromadziłem od czternastego roku życia, uleciał wraz z jej głową. Żałuję, że to nie była głowa mojego ojca. Ale na nim parę lat wcześniej swój gniew wyładował nowotwór płuc. Jak to bywa z palaczami. Ja osobiście preferuję inne formy autodestrukcji.

\*\*\*

Siedziałem w jednym z biurowców, mieszczących się w bliskiej odległości od metra. Dzięki tej lokalizacji miałem łatwy dojazd do centrum, w którym to dopiero przesiadałem się do podmiejskiego pociągu. Pół godziny drogi Kolejami Mazowieckimi, kwadrans na piechotę i padnięty mogłem rzucić swoje zwłoki na łóżko, w którym smacznie spała już sobie moja narzeczona.

Musiałem zostać w pracy i zaliczyć kolejne nadgodziny, żeby odwalić papierkową robotę, a przy okazji nie dać kierownikowi powodu, by z uśmiechem na twarzy mógł złożyć swój nadęty podpis pod decyzją o moim zwolnieniu. Łeb pękał mi od rana. Kiedyś myślałem, że to tętniak. Lekarz zmartwił mnie jednak – były to tylko typowe objawy migrenowe.

Dlatego rano nie zrobiłem drobnych, ale bardzo ważnych dla mnie zakupów. Pal licha, że nie miałem co jeść potem przez cały dzień, aż mnie skręcało, a współpracownicy patrzyli dziwnie. Nie kupiłem maszynki do golenia, a ostatnią zużyłem rano. Pozbywam się zarostu dwa razy dziennie. Rano – kiedy po całej nocy moja twarz już nie jest gładka, a pokryta małymi, czarnymi igielkami, i wieczorem, tuż przed snem, by pozbyć się ich na nowo, bo zdążyły zmartwychwstać w ciągu dnia. I tak codziennie. Od czternastego roku życia...

Dopiero po południu, gdy koleżanka z pracy kończąca swoją zmianę życzyła mi wesołych świąt, przypomniałem sobie, że nazajutrz jest Wielkanoc. To oznaczało, że wszystkie sklepy będą zamknięte. A ja tkwiłem między papierami i nawet dobrze jeszcze nie zacząłem ich wypełniać. Chwyciłem za telefon jedną ręką, drugą drapiąc się intensywnie po policzkach, które swędziały mnie niemiłosiernie. Czułem pod palcami delikatne ukłucia. Zrobiło mi się na tyle duszno, że musiałem poluzować krawat. Pierwsze krople potu nie tylko spływały po moim czole, ale także pojawiły się na klatce piersiowej. Zadzwoiłem do narzeczonej i poprosiłem, żeby kupiła kilka maszynek. Musiałem mieć zapas na kilka dni, gdyż w święta jedynie stacje benzynowe są otwarte, a tej jeszcze w naszej okolicy nie wybudowali. Powiedziała, że kupi i zapytała jeszcze, czy mam ochotę na coś specjalnego na kolację. Policzki przestały mnie swędzieć. Odparłem, że wszystko, co robi, bardzo mi smakuje.

Nie potraktowała oczywiście tego jako komplementu, a wręcz odwrotnie i – co jest typowe dla kobiet – uznała, że mówię tak, bo jest mi wszystko obojętne i nie doceniam jej starań. Po kilku minutach zapewnień, że owszem, bardzo doceniam, ale moja praca wypaliła we mnie resztki kreatywności i nie jestem w stanie zdobyć się na fantazje kulinarne, pokłóciliśmy się. Odłożyłem słuchawkę i klnąc pod nosem, znowu zacząłem się drapać.

\*\*\*

*Kurwa... kurwa... kurwa... nie wiem, po co w ogóle to piszę. Chyba dlatego, że nie mam komu tego powiedzieć. Nawet nie chcę. Nigdy o tym nie powiem. Nienawidzę go. Cały drzę. Czuję się... nie umiem tego nawet opisać. Jego obleśny zapach, pot, wódka. Zwymiotowałem. Co robić??? Boję się. Chcę umrzeć. Zabić go. Nie istnieć...*

\*\*\*

Załapałem się na ostatni pociąg. Dopiero co doładowałem kartę miejską, więc mogłem spokojnie jechać bez obawy przed kontrolą biletów, a jednak nigdy nie mogłem wyzbyć się tego uczucia. Tak samo mam w centrach handlowych, kiedy przechodząc przez bramkę, czuję na sobie wzrok ochroniarza. Mam wtedy ochotę krzyknąć: TAK, UKRADŁEM. ZADZWOŃ NA POLICJĘ, TYLKO NIE PATRZ SIĘ NA MNIE JUŻ.

Wróciłem do domu po północy. Narzeczona już spała. Pusty stół kuchenny, na którym zazwyczaj o tej porze leżał talerz z kilkoma kanapkami, był jasnym sygnałem, że sprzeczka telefoniczna będzie miała swoje konsekwencje przez kilka następnych dni. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że aż takie.

Zajrzałem do lodówki i stwierdziłem, że zakupy nie zostały zrobione. Policzki znów zaczęły swędzieć. Nerwowo ruszyłem w kierunku łazienki. Po drodze zaczęło mnie mdlić. Otworzyłem szafkę z przyborami do porannej toalety. Niczym narkoman na głodzie zacząłem machać rękoma. Rozbiłem butelkę drogiej wody kolońskiej, budząc przy tym narzeczoną.

Kiedy na wpół przytomna stanęła w drzwiach z wielce niezadowoloną miną i zapytała, czemu robię taki hałas w nocy, zapytałem ją kulturalnie, gdzie moje maszynki. Czekałem na odpowiedź z nadzieją w sercu i oczach. To, co usłyszałem, zmroziło mnie. Zrobiło mi się ciemno przed oczami i czułem, jakbym połknął gorącego kartofla, który zatrzymał się w okolicach klatki piersiowej. Nie kupiła ich.

Swędzenie policzków narastało. Drapałem się po nich na tyle intensywnie, że po chwili ujrzałem krew na paznokciach. Potok słów wypowiedzianych przez moją narzeczoną ledwo docierał do moich uszu. Mówiła coś o tym, że jestem nienormalny, że powinienem się leczyć i że ma tego dość.

Teraz dochodzę do wniosku, że chyba nie pasowaliśmy do siebie. Owszem, czułem coś do niej, ale sam fakt, że nawet nie umiem tego uczucia bliżej sprecyzować, świadczy, że nie była to głęboka relacja. Nie dobraliśmy się. To się zdarza. W sumie nie wiem, dlaczego poprosiłem ją o rękę. Może to strach przed samotnością.

Wracając jednak do łazienki. Prosiłem ją, żeby zamilkła i pomogła mi poszukać maszynki. Naiwnie wierzyłem w to, że jakaś jeszcze została.

\*\*\*

*...znowu to zrobił. Skurwiel znowu to zrobił. A ja leżałem sparaliżowany i nie reagowałem. Nawet nie próbowałem się bronić. Słusznie nazywają mnie w szkole ciotką. Może pójdę na policję. Nikt mi nie uwierzy. Chcę umrzeć. Boli mnie wszystko. Matka o niczym nie wie i pewnie nie chce wiedzieć. Siostra też. Poza tym jak im o tym powiem. Zabiję go albo siebie...*

\*\*\*

Spojrzałem w lustro. Na twarzy coraz mocniej zarysowywały się ślady krwi. Swędzenie stawało się nie do zniesienia. Krzyczałem, pogrążony w torturach, za plecami słysząc złośliwe komentarze narzeczonej. Moim jedynym ratunkiem była taksówka i nocna podróż do najbliższej stacji benzynowej, oddalonej kilka kilometrów. Stojąc w przedpokoju wybierałem już numer, by zamówić nocną taryfę, gdy usłyszałem imię mojego ojca. Padło ono z ust kobiety, której kilka miesięcy wcześniej dałem pierścionek zaręczynowy.

Wtedy jednak o tym zapomniałem. Pech chciał, że w pobliżu leżała siekiera, którą rąbałem drewno na opał w chłodniejsze dni. Chwyciłem ją instynktownie i tym razem opałem stała się głowa mojej niedoszłej żony. Po chwili dotarło do mnie, co zrobiłem. Wyrzuty sumienia skutecznie zagłuszyła wizja więziennej pryczy, co z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się po prostu głupie.

Siekiera nie opuściłem z ręki przez kolejną godzinę. Poćwiartowałem jej ciało. Mięso wykorzystałem na karmę dla psów, kości zaś spaliłem w kominku. Krew posłużyła mi za balsam, którym nawilżyłem policzki. Dzięki temu swędzenie ustało. Nad ranem usnąłem. Spałem jak zabity.

\*\*\*

*...zrobił to po raz trzeci. Znow był pijany. Powiedział, że jak komuś pisnę słowo o tym, co tu robimy, to mnie urządzi. Dzisiaj bolało już mniej. Może człowiek jest w stanie przyzwyczaić się do wszystkiego. Jeśli tak, to czemu wciąż chcę umrzeć? Najbardziej brzydzi mnie dotyk jego brody. Nawet bardziej niż to, że wsadza mi go w tyłek...*

\*\*\*

To chyba wszystko. Pewnie sądzisz, że jestem psychopata, który potrafi z takim zimnym wyrachowaniem o tym wszystkim opowiadać. To tylko maska. Pozwól mi jednak cieszyć się chwilowym katharsis.

Mam jeszcze małą prośbę. Czy przed powrotem do celi mogę otrzymać maszynkę do golenia? Wiem, wiem... koszmary mnie już nie dręczą, a zarost nawet mi się podoba. Ale tak na wszelki wypadek. Może swędzenie jeszcze wróci. Jeśli pamięć mnie nie myli, ostatnim razem wróciło po miesiącu...



# **SZORTAL**

UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

szorty o drabble o recenzje  
newsy o konkursy o forum

Krótko. Na temat. **CZYTAJ**

# CARPENOCTEM.PL

PISZEMY O GROZIE OD 2003 ROKU

LITERACKI HORROR DLA ZAAWANSOWANYCH.  
GROZA WCIĄGA!





rys. Dawid Boldys



# PANDUR

Olga Rot

Jest coś takiego w nędzy człowieka dobrze urodzonego, co czyni upadek jego zjawiskiem wyjątkowo przykrym i w pewnym sensie wstydlwym. Nie ma w tym bowiem ponurego determinizmu rodowitego nędzarza, który innego życia nie znając, nie cierpi z racji dobra, które mu odjęto.

Byłoby w tym jeszcze coś romantycznego, gdyby upadkowi mojemu winne było nadmierne zamiłowanie do opium czy hazardu, ja jednak nawet tej krztyny mrocznej czarowności nie umiałem sobie zaskarbić.

O, losie okrutny i Parki niełaskawe! – tak mógłbym rozpocząć swój smętny wywód, lecz byłby to popis zarówno dla mnie, jak i dla czytelnika przykry. Podobnie jak przykrym jest obserwowanie zataczającego się pijaka i skryte solidaryzowanie się z nim w nałogu.

Jak zatem wyjaśnić przyczyny mego upodlenia, które nawet upodleniem właściwym nie było, wolnym bowiem będąc od nałogów, nie równałem się z pijakiem czy opiumistą. Cóż to za pijak, który nie pije, palacz, który nie pali i żebrak, który nie żebrze?

Nazwisko moje, niegdyś świetne, obecnie staram się utrzymać w tajemnicy, wstyd bowiem – którego to poczucia nędma nie zdołała we mnie zgłuszyć – nie pozwala mi przyznać publicznie, jak wielką sromotą się ono z mojej winy okryło. Z uwagi na czcigodnych przodków i żyjących krewnych kryłem się w cieniach dzielnicy biedoty, posługując się fałszywym nazwiskiem. Z czasem przekształciło się ono w przezwisko – wśród ubogich mych bliźnich znany byłem jako Pandur i to właśnie miano figuruje – jak przypuszczam – w raportach policyjnych.

Otóż przedstaw sobie, drogi czytelniku, że oddany twój przyjaciel i sługa uniżony, Pandur Pierwszy Pognębiony, padł był ofiarą na równi złośliwego losu, jak i własnej głupoty. Będąc zupełnym ignorantem w kwestii zasad rządzących rynkiem, giełdą i światem finansów w ogóle, lekkomyślnie trwoniłem rodzinną fortunę, powierzając ją ludziom – ujmując rzecz delikatnie – podejrzanej konduity. Wystarczyło mi usłyszeć bodaj strzęp pogłoski o rzekomo wspaniałym interesie, bym z radością podpisywał plenipotencje, weksle i w ogóle wszystko, co tylko ci szalbierze umyślili sobie mi podsunąć. W ten sposób błyskawicznie pozbyłem się ruchomości, nieruchomości przejęli wierzyciele, ja zaś, pognębiony syn wielkiego niegdyś rodu, zmuszony byłem porzucić moje wygodne życie i zanurzyć się w cuchnących odmętach slumsów.

Ubranie moje, niegdyś gustowne i w dobrym gatunku, obecnie przypominało łachmany, w które rolnicy zwykli przyodziewać kukły na postrach dzikiemu ptactwu. Poza głodem, najwięcej doskwierała mi niemożność obmywania się tak często, jak bym chciał i jak miałem w zwyczaju. Z czasem jednak przywykłem do otaczającej mnie woni stajni. Mimo tego pozornego znieczulenia, codziennie z całą bolesną jaskrawością doświadczałem skutków mojego upadku i jedynie właściwa mej naturze, irracjonalna nadzieja trzymała mnie jakoś przy życiu i zdrowych zmysłach.

W wigilię świętego Sebastiana zjadłem swoje buty. Oczywiście, nie dosłownie – przymuszony przez głód i płynącą z niego czarną rozpacz sprzedałem je za parę groszy. Dostałem akurat tyle, by wystarczyło na względnie przyzwoity posiłek. Snułem się od jednej do drugiej traktierni, aż trafiłem na dostatecznie podłą, by wpuszczono do niej bosego

obdartusa. Stojąc przed przerażająco brudnym szynkwasem, wahałem się między podejrzenie wyglądającym śledziem, a podejrzenie wyglądającą kiszka. Krępa kobieta o odrażającej aparycji zrugła mnie szkaradnie i kazała czym prędzej składać zamówienie, tak jakby ktokolwiek poza mną zdradzał zamiar i odwagę, by spożyć cokolwiek w tym gnojowisku.

W poczuciu nagłego zniechęcenia i beznadziejności do kaszanki zażądałem jeszcze wódki. Siedząc przy kulawym, lepkiem od brudu stole wpychałem w siebie łapczywie kiszkę zapijaną alkoholem, który to – jako że nigdy nie grzeszył mocną głową – wnet podziałał na mnie bardzo silnie. Pod wpływem pijackiego łakomstwa i łapczywości zastawiłem jeszcze swój wyświechtany płaszcz, ostatnią rzecz, prócz koszuli i – uczciwszy uszy – famuraków, która nadawała się do przepicia. Tak, czcigodny czytelniku i wysoki sędzie, przepiłem własny płaszcz. Wreszcie udało mi się zachować jak na przyzwoitego kloszarda przystało.

Tuż przed północą opuściłem traktiernię, rozrzewniony, pijany i mile znieczulony. Prawie zupełnie nie docierało do mnie przeraźliwe zimno wgrzyzające się w moje bosc stopy i otulające obnażony kark. Nie lituj się nade mną, drogi czytelniku, w tej chwili ostatecznej i decydującej nie byłem ani smutny, ani jakoś szczególnie złębiony. Zdążyłem już pojąć, iż przejadłwszy buty i przepiwszy płaszcz – zgodnie z niepisaną tradycją nędzników – nie pozostawało mi już nic innego, jak tylko się utopić. Powiesić się nie mogłem z uwagi na brak paska.

Bosc nogi same mnie niosły nad kanał, nad którym niegdys, za przeszłych, szczęśliwszych dni, spędzałem miło czas z książką. Przecinało go kilka mostów podobnych we mgle nocnej do nici babiego lata; jeden z nich, wykonany z kutego żelaza, od dawna budził we mnie najwyższe uznanie i to on miał stać się lokacją mojego samobójstwa.

Gdybym miał pióro i kawałek papieru, napisałbym piękny list pożegnalny nie do kogoś konkretnego, lecz do ludzkości *in corpore*. Zacząłbym tak: „Los człowieka jest nieustającą wędrówką i nieustającą walką...”. Albo: „Ponieważ okrutne losy, pozbawiwszy mnie majątku, nie zdołały pozbawić mnie honoru...”. Ale z racji tego, iż przyborów do pisania nie miałem, wspaniałe to dzieło powstałe w mym umyśle miało umrzeć wraz ze mną.

Snułem się po moście tam i z powrotem, układając w myślach przemowę, której nikt nie miał wysłuchać i niektóre fragmenty wypowiadając na głos, przy czym zupełnie nie kontrolowałem trzepotliwych ruchów rąk. Zawsze miałem skłonność do przesadnej gestykulacji, zwłaszcza w chwilach podniecenia czy wzburzenia. Gdy w uniesieniu wyrzuciłem z zapadłej piersi: „...i nie chowając w sercu ni żalu, ni urazy...”, z ciemności wyłoniła się grupka nadzwyczaj elegancko ubranych dżentelmenów.

Wnet mnie zauważyli i wstąpiło w nich niezwykle wręcz ożywienie. Niemal podbiegli

do mnie, przytrzymując podrygujące im na głowach kapelusze, a gdy zbliżyli się, światło latarni pozwoliło mi lepiej im się przyjrzeć.

Mimo eleganckiego, kosztownego odzienia sprawiali nadzwyczaj nieprzyjemne wrażenie, byli to bowiem niewątpliwie najszkaradniejsi ludzie, jakich w życiu swoim oglądałem. Twarze wystające znad śnieżnobiałych kołnierzyków pokrywały liszaje, wrzody i tysięczne znaki innych chorób toczących nieszczęsne ciała, strojne w tak świetne szaty. Oczy ich były martwe i puste jak oczy ryby, usta zaś rozciągały się w uśmiechu, ukazując nierówne szeregi omszałych, poczerniałych zębów. Wyraźnie przewodził im wysoki, przerażająco chudy jegomość o purpurowej twarzy i kępce siwych włosów wyrastających z czubka głowy jak u kozackiego atamana. Odziany też był ze wszystkich najstrojniej, a pod rozpiętym mimo mrozu płaszczem połyskiwały na jego piersi liczne odznaczenia wojskowe. On też zbliżył się do mnie i skłoniwszy uprzejmie, zapytał z grzecznością właściwą jedynie najszlachetniej urodzonym dżentelmenom:

– O ile nie mylą mnie oczy, a pewien niemal jestem, że mnie nie mylą, mamy do czynienia ze szlachetnym i uczonym panem Dourem?

– Niech mnie tysiąc furyj i diabłów porwie, jeśli to nie nasz drogi Pandur! – zakrzyknął chrapliwie jeden z pozostałych, drobny człowiek pozbawiony nosa.

– Nie może inaczej być! – zawtórował mu bliźniaczo doń podobny elegant, który jednak, zachowawszy nos, nosił nań mimo ciemności parę okrągłych, ciemnych okularów. – To Pandur, luby Pandur, serdeczny druh nasz i przyjaciel, rozpoznałbym go w czeluściach Tartaru!

– Na dnie butelki!

– W dolinie ciemnej!

– W ciemnym grobie!

– Na dnie duszy skrytobójcy!

– Panowie, panowie! – pohamował ich przywódca, kiwając z niezadowoleniem głową.

– Czy tak się godzi witać dżentelmenom z dżentelmenem?

– Ehm... panowie wiedzą, kim jestem – wtrąciłem, a język stawał mi kołkiem od wypitej wódki – ale na mą duszę, nie przypominam sobie, bym miał zaszczyt kiedy panów poznać.

– Prawda! – potwierdził tamten i wzniosł w górę obleczony w kozłą skórę palec. – Jeszcześmy się nie poznali, jednak znamy się od dawna i od dawna jesteśmy ze sobą zaprzyjaźnieni.

– Proszę wybaczyć, ale nie przypominam sobie...

– To zrozumiałe, że pan sobie nie przypomina. Trudno wymagać od człowieka, by pamiętał to, co jeszcze nie miało miejsca. – Jego towarzysze roześmiali się wesoło. – Dla nas czas płynie inaczej, jesteśmy zawsze i wszędzie, a nikt nigdy nas nie widział i nie poznał, choć wielu nas wspaniale podjęło i ugościło.

– Panie złoty, zlitujże się nad tym nieborakiem, bo gotów pomyśleć, że postradał rozum – zahuczał z tylnych szeregów wielki, zwalisty jegomość o ustach pokrytych jątrzącymi się ranami.

– Słusznie! Pozwoli pan zatem, że przedstawię naszą wesołą kompanię. Otóż stoją przed panem szlachetny Kurt wicehrabia Antzer, nasz druh z kontynentu i jego kompan, czigodny Georgius Umęc oraz pan Thaddeus Ronde, wielce uczony i światowy człowiek. Mnie zaś zwą Moore, kawaler licznych odznaczeń i generał Korony w stanie spoczynku.

Podczas tej prezentacji każdy kolejno przedstawiany dżentelmen uchylał kapelusza, ja zaś, mego już dawno się pozbywszy, poprzestałem na ukłonach.

W końcu generał zagadnął mnie z uprzejmą, zdaje się, że szczerą, ciekawością:

– A cóż pana tu przywiodło w tę noc zimną jak palec umarlaka?

– Cóż, nie ukrywam, że planowałem popełnić samobójstwo.

– Topiąc się w kanale?

– Wydało mi się to rozsądnym.

– Utopić się w kanale! – rozsierdził się wicehrabia Antzer. – A dlaczegoż nie rzucić się do studni? Nie bliżej? Nie wygodniej? Cóż za straszliwe, niewybaczalne marnotrawstwo!

– Cóż... pomyślałem, że.... most to bardziej... by tak rzec... malownicze miejsce...

– O, to, to! Oto słowa artysty i estety! – przyklasnął mi potężny pan Umęc. – Dla ciebie liczy się tylko rezultat, a nie efekt! Ale nie wszyscy, chwała opatrności, są tak pozbawieni dobrego smaku. W życiu musi znaleźć się odrobina miejsca na piękno, przyjaciele. Dobry smak! Dobry smak – oto, co stanowi o człowieku kulturalnym, panowie, dobry smak cenię wyżej niż dobre wychowanie.

– A niechaj cię pokręci, u kaduka, a czemuż to?

– A bo brak manier czyni człowieka ekscentrykiem, a brak dobrego smaku – nieuleczalnym chamem i szują.

Panowie wybuchnęli gromkim śmiechem i nawet mnie ten osobliwy żart przypadł do gustu. Generał Moore oparł się nonszalancko o barierkę mostu, wyciągnął zza pazuchy nadzwyczaj piękną, kościaną papierośnicę i poczęstował mnie długim, aromatycznym papierosem.

– To doprawdy szczęśliwy traf, żeśmy pana spotkali, nim zechciał pan, by tak rzec,

odmeldować się wiekuiście.

– Prawdę rzekłszy – wyznałem wstydliwie – układałem sobie w myślach list pożegnalny, ale nie miał jak go spisać.

– Wielka to szkoda, jestem przekonany, że byłoby to dzieło niezwykle.

– Jeśli panowie sobie życzą, może mógłbym... hm, przytoczyć fragment.

– Przyjacielu, Pandurze, serdeńko, mów, mów, słuchamy cię z rozkoszą! – wydarli się pozostali trzej z entuzjazmem, który wydał mi się równie przesadny, co szczerzy.

Odchrząknąłem i zacząłem deklamować:

*Los człowieka jest nieustającą wędrówką i nieustającą walką. Stajemy ramię w ramię, stawiając czoła śmierci i sobie wzajemnie, niczym żołnierze oślepieni w czas bitwy, niewiedzący, kto druh, a kto wróg. Ilu przyjaciół zasieczono? Ilu wrogów osłonięto od ciosu? Ilu zbrodniarzy wymknęło się sprawiedliwości, ilu niewinnych krew przelano?*

*Nie jestem świętym, nie stoję po prawicy Boga. Nie mam się jednak także za zbrodniarza. Przez całe życie starałem się postępować uczciwie, co czyni mnie człowiekiem zaledwie przyzwoitym. Czy bycie przyzwoitym to powód do dumy? Gdy wokoło trwa wojna, odpowiem, że tak.*

*Czy jestem niewiniątkiem roztrzaskanym o mury świątyni? Czy jestem barankiem prowadzonym na rzeź? Czy jestem Izaakiem krocącym za ojcem na szczyt góry Moria?*

*Padłem ofiarą naiwności własnej, chytrłości bliźnich i okrucieństwa losu. Jako filozof i człowiek ludzkość miłujący, odchodząc ze sceny i nie chowając w sercu ni żalu, ni urazy...*

Tu przerwałem, dostrzegłem bowiem, że moi nowi towarzysze ocierają łzy. Zadrżało we mnie wzruszeniem serce na ten widok, po chwili jednak zamarło, pojąłem bowiem, że całe to dostojne towarzystwo trzęsie się od bezgłośnego śmiechu.

– Na Boga, Pandurze! – wykrztusił pan Ronde. – Zmiłujże się nad nami, bośmy przecie gotowi podusić się tutaj wszyscy razem!

– A niech cię cholera, zapomniałem, jak przedni z ciebie filut – dodał pan Umęc, ocierając chustką pot z czoła. – I koryfeju, pierwsza klasa! Stoisz przed nami, cały nadęty i tylko patrzeć, jak pęknie jak żaba.

– Albo jak ci łezka wzruszenia poleci.

– Albo guzik u kamizelki odstrzeli!

– Panowie! – zgromił ich generał Moore, z trudem opanowując drżenie brzucha. – Wystarczy tych krotchwili, choć sam muszę przyznać, że świetnie to panu, drogi przyjacielu,

wyszło. Nikomu innemu by się ta sztuka nie udała, ale pan jest przecież literatem i to literatem czytany, co wcale się tak często nie zdarza. Tak właśnie, jak odejść, to na wesoło, to z żartem, choćby kwaśnym, tak, a nie inaczej! To mi się właśnie w panu podoba!

Żulem przez chwilę urażoną dumę, po czym westchnąłem ciężko i odwróciłem się nieco od rozweselonego towarzystwa.

– Panowie wybaczą – powiedziałem chłodniejszym już tonem – ale czas mnie nagli. Dawno nie widziałem tu patrolu, a ja mam przecież do załatwienia pewną sprawę.

– Samobójstwo, co? – zapytał współczująco generał.

– Ano, samobójstwo.

Przechyliłem się przez barierkę mostu, bardziej po to, by tamci zorientowali się, że to na serio i poszli sobie do wszystkich diabłów, niż dla właściwego dokonania desperackiego kroku. Oni jednak stali niewzruszenie na swoich miejscach, dla odmiany jakby poważniejsi. Zgniewało mnie to, jak to zwykle bywa po alkoholu, gdzie po wielkiej wesołości łatwo przychodzi gniew. Rzuciłem zaczepnie:

– Nie wiem, jakie są zwyczaje wśród samobójców, ale ja do odebrania sobie życia potrzebuję intymności, więc jeśli panowie pragną się pogapić, prosiłbym możliwie o gapienie się z pewnego dystansu, na przykład z brzegu.

– Ależ drogi panie, ani nam to w głowie! – zaprotestował generał Moore. – Prawdę mówiąc, zagadawszy się, zapomnielibyśmy na śmierć, po cośmy w ogóle ośmielili się pana zaczepiać. Drogi panie – wyprostował się, a jego upiorne oblicze przybrało dziwny, niemal majestatyczny wyraz. – Co pan myśli o śmierci?

– O... śmierci? Wielki Boże, a cóż ja mogę myśleć o śmierci? – zreflektowałem się nagle i wybuchnąłem: – Co wy, wariata ze mnie robicie?! Samobójcy się pytacie, co o śmierci myśli?!

– Nic podobnego. Zapytam zatem inaczej. Co pan sądzi o Bogu?

– Bóg umarł. Przynajmniej dla człowieka – odpowiedziałem stanowczo i zgodnie z prawdą.

– O ile dobrze zrozumiałem, uważa pan, że Boga człowiek nie obchodzi?

– Tak sądzę. Uważam, że jakaś siła, nazwijmy ją Bogiem, stworzyła świat, wprawiła maszynę w ruch, a potem się usunęła, nie mogąc kontrolować ludzkiej woli.

– A czy nie jest przypadkiem tak – zapytał ciekawie generał, przekrzywiając głowę – że to nie tyle człowiek nie obchodzi Boga, co pana nie obchodzi Bóg?

– Słucham?

– Zadaję panu proste pytanie: czy pana interesuje zbawienie własnej duszy,

zmartwychwstanie, życie po śmierci? Czy w ogóle obchodzi pana, czy Bóg istnieje?

Na tak bezpośrednio, by nie rzec: obcesowo postawione pytanie nie było łatwo odpowiedzieć. Lecz był to tylko pozór, ponieważ odpowiedź właściwą znałem od dawna, lecz nie w nagiej, bezwstydney formie.

– Nie – odpowiedziałem wreszcie. – Istnienie Boga jest mi doskonale obojętne.

– A mimo to uważa się pan za człowieka przyzwoitego.

– Czyż trzeba być wierzącym, by być przyzwoitym człowiekiem?

– Nie, ale ciekawi mnie, dlaczego akurat pan chciał być przyzwoity.

– Ponieważ tego mnie uczono w rodzinnym domu... ponieważ to było słuszne i dobre...

– O! – Palec generała znów powędrował w górę. – To właśnie to słowo: dobre! Jak to: dobre? Dla kogo dobre?

– Jak: dla kogo dobre, no przecież, tak ogólnie, trzeba czynić dobro...

– Dlaczego?

– Jak...?

– Dlaczego trzeba czynić dobro, skoro nie ma Boga, którego przykazań należy przestrzegać? Co każe panu czynić dobro? Lub kto?

– Zaraz, niechże pan mi da zebrać myśli. – Zastanowiłem się tak głęboko, że aż było to dla mnie niezwykle, zwłaszcza w ostatnim czasie. Po czym spojrzałem na generała Moore'a olśniony i pewien, że zdobyłem argument zapewniający mi zwycięstwo w tej dyskusji. – Wie pan, dlaczego trzeba czynić dobro? Bo to jest konieczne i niezbędne do przetrwania. To nie religia, to instynkt, zwykły zwierzęcy instynkt stadny, taki sam jak u małąp czy pszczoł. Czynimy dobro, ponieważ wierzymy, że to nam zapewni ochronę stada. Ponieważ to jest dobre dla naszego gatunku i nas samych.

– I dlatego pan starał się postępować przyzwoicie?

– Tak.

– I jak stado postąpiło z panem?

Poczułem się tak, jakby mój trzymany w garści argument zamienił się w syczącego węża. Na moment osłupiałem.

– No, drogi panie, to nie jest trudne – ciągnął łagodnie generał. – Niech pan sam spojrzy. Jest pan człowiekiem dobrze urodzonym, nieźle wykształconym i odczytanym. A do tego, patrzcie państwo, jest pan przyzwoity. Nie, żadne „uważa się pan”, pan jest faktycznie przyzwoitym człowiekiem. Nigdy nie zrobił pan nikomu świństwa, nie kradł, nie dawał fałszywego świadectwa. Niech mnie piorun, jeśli ktokolwiek mógłby przyłapać pana



kłamstwie! Nie, pan jest przyzwoity, ba, nawet więcej, pan jest porządnym człowiekiem z kośćmi. Problem w tym, że stado wcale nie jest porządne, nie jest nawet przyzwoite. Ono porządnych ludzi pożera jak wilk owcę, jeśli nie ma w pobliżu pasterza. I dał się pan pożreć, drogi przyjacielu. Choć nie, przepraszam. – Wzniósł rękę obronnym gestem. – Pan przecież żyje. Jeszcze, ale żyje. Cofam to, co powiedziałem. Pan jest oskubanym do gołej skóry kapłonem, do tego tak chudym, że nie opłaca się go nawet zabijać. I gdzie pan teraz jest? Stoi pan na moście i chce się topić jak obłąkana dziewczeczka. Kiepsko pan wyszedł na tej swojej przyzwoitości, przyjacielu.

Zacisnąłem palce na balustradzie, czując, jak mimo woli wzbiera we mnie bezsilny gniew.

– I co pan myśli, że co mi zostało do zrobienia? Mam chodzić od domu do domu i mówić: „Ludzie, opamiętajcie się”?

– Wcale nieźle pan kombinuje, wcale nieźle – uśmiechnął się generał. – Ale po co marnować energię i czas na zabawę w kaznodzieję? Takich są tysiące i sam pan widzi, jakie rezultaty przynosi ich praca. Jednym z takich rezultatów jest fakt, iż stoi pan na moście, rozmawia z nami i ma lada chwila popełnić samobójstwo.

Przez chwilę milczałem. W moim sercu kłębiło się tyle uczuć, których dotąd nie znałem i których nie potrafiłbym nawet nazwać, że bałem się pomieszania zmysłów. Głos generała brzmiał jak echo moich własnych myśli, które zawsze spychałem w głąb nieświadomości, nie chcąc ich słyszeć, stały bowiem w sprzeczności z wyznawanymi przeze mnie ideałami. Z rodzinnego domu wyniosłem przekonanie, że za dobre czyny los rękami bliźnich odplaci mi szacunkiem i serdecznością. Tymczasem zostałem wykorzystany, pozbawiony majątku i pozostawiony sam sobie. Byłem głodny, obdarty i zrozpaczony. I właśnie miałem popełnić samobójstwo. Czy to ze mną było coś nie w porządku, czy to świat działał w chory, niewłaściwy sposób?

– No to co ja mam zrobić? – zapytałem sam siebie, lecz widząc reakcję generała, zorientowałem się, że powiedziałem to na głos.

– Dlaczego by nie zacząć naprawiać świata, przyjacielu? – uśmiechnął się do mnie czarnymi zębami. – Skoro nie ma Ojca, który troszczyłby się o swoje dzieci, dlaczego nie zatroszczyć się o nie samemu? Dlaczego by nie wykorzystać zła, które sprawia, że przyzwoici ludzie stają się żebrakami, desperatami bez grosza przy duszy? Ma pan w sobie ten instynkt postępowania jak przyzwoity człowiek, przyjacielu. Mógłby pan pasać owieczki i przepędzać wilki.

– Ja...?

– Oczywiście. – Generał wyprostował się na całą wysokość i odstał ode mnie na krok. – Dlaczego nie, u diabła? Sam pan wie, kim są wilki, widział ich pan, poznał ich pan! Sam pan dawał im swoje pieniądze, podstawił gardło pod nóż! Dlaczego nie zacząć od nich wielkiego dzieła naprawy świata? Oddzielimy plewy od zboża, a oni pójdą na pierwszy ogień.

– My?

Trzej pozostali otoczyli generała i patrzeli na mnie z szerokimi uśmiechami.

– Mamy dla pana propozycję, przyjacielu – powiedział generał, jakby rosnąc i potężniejąc w oczach. – Przedtem jednak winien jestem panu wyjaśnienie. Jesteśmy Drugim Oddziałem, jak łatwo się domyślić, przed nami pędzi jeden, za nami pędzą dwa. Pierwszy oddział wprowadza chaos, przygotowuje dla nas pole do działania. Następnie pojawia się my, czasem tuż przed lub ramię w ramię z Trzecim Oddziałem. Za nim zaś jest już tylko śmierć.

Dał mi chwilę, bym w pełni pojął. Następnie zapytał łagodnie:

– Cóż powiesz, przyjacielu? Czy chciałbyś dołączyć do mego oddziału? Wędrować od domu do domu, nawiedzać, kogo zapragniesz, nieść swoje przesłanie? A w pierwszym rzędzie odwiedzić i napomnieć twoich tak zwanych przyjaciół, którzy nie pomogli ci w potrzebie i radowali się twoim upadkiem? A później, w tej zacnej kompanii spędzać miło czas poza czasem, przemierzać oceany i kontynenty, niepowstrzymanie i nieubłaganie?

Wszystko to wydawało mi się niezwykle i wspaniałe, a czterech dzentelmeni nie byli już wcale odrażający, przeciwnie, ich twarze były zdrowe, godne i pociągające. Gładko wygolone, rumiane policzki, błyskające wesoło oczy i serdeczne uśmiechy zachęcały mnie, przekonywały. Gdyby wszystko to okazało się prawdą, czyż mając w perspektywie samobójstwo lub żalosne życie nędzarza, mogłem się wahać?

– No, i jak ci się to widzi, przyjacielu? – zapytał generał Moore.

\*\*\*

Właściwie tu mógłbym już zakończyć tę dziwną historię, tak jak zakończyła się ona dla mnie. Wybacz, drogi czytelniku, ten osobliwy belkot, trudno jest mi mieć ciągle na uwadze fakt, iż dla ciebie czas płynie inaczej niż dla mnie.

Rankiem dnia świętego Sebastiana patrol znalazł zwłoki mężczyzny na żelaznym moście nad kanałem. Po krótkim śledztwie stwierdzono, że człowiek ten upił się i zamarł na śmierć w styczniową, mroźną noc. W ten sposób sprawę szybko zamknięto, a już następnego dnia odnotowano pierwsze przypadki tyfusu. Z czasem epidemia objęła całe miasto,

dziesiątkując jego mieszkańców i wywołując powszechną panikę. W niektórych dzielnicach ocalała nie więcej niż czwarta część ludności.

Mógłbym opowiedzieć ci więcej, mój wyrozumiały czytelniku, więcej historii o miastach, które odwiedzałem i opuszczałem wraz z moimi towarzyszami, obawiam się jednak, że wówczas rękopis ten mógłby z mojego testamentu zamienić się w ponury romans, w którym zginęłaby ci z oczu postać autora. Nie jestem zbyt dobrym literatem, wiem o tym i tym bardziej rad jestem, że dotrwałeś ze mną do końca. Wiedząc to, co już wiesz, szczególnie weź sobie do serca moje słowa: nie ufaj nikomu i bądź zdrow.

Twój Pan Dur

rys. Roman Panaśiuk



# PO MOJE ZŁOTO, PO TWOJĄ KREW

Dagmara Adwentowska

**18 września 2012 r.**

**Genewa**

Dziś w nocy znowu przysłała po mnie Wisła. Cicho szemrząc, wystąpiła z brzegów i ruszyła w stronę mojego domu. Wypełniła piwnice. Sięgała coraz wyżej i wyżej, aż przesączyła się przez szparę przy futrynie. Potem pod jej naporem pękła szyba w drzwiach mojej sypialni. Zielonkawa, mętna tafla zamknęła się nade mną. Na szczęście się ocknąłem. Tym razem. Wiem, że gdy Wisła przyjdzie po mnie – tym razem naprawdę – zrobi to, by mnie zabrać ze sobą.

I nieważne, że mieszkam teraz w Genewie, że od wiślanych toni dzielą mnie setki kilometrów. Ja wiem, że rzeka będzie szukać cierpliwie, drażnić pomалу, acz nieprzerwanie, i w końcu mnie odnajdzie. Ja, zawołany żeglarz z patentem, dyplomowany ratownik, potomek

kapitana floty śródlądowej... boję się wody!

Może mój pradziadek też powinien? Może zostałyby mi to wszystko oszczędzone? Nie musiałbym rzucać pracy, dziewczyny, uczelni, całego mojego życia. Nie musiałbym uciekać za granicę, bo Wisła nie szukałaby mnie nocami, by zamknąć mnie w sobie i nigdy nie wypuścić z objęć...

Może. Minął ponad rok, od kiedy wśród starych książek i gazet zgromadzonych na poddaszu płockiej kamienicy, w której żyła moja rodzina, odnalazłem pamiętnik pradziadka Stanisława. Niecałe dziesięć miesięcy od chwili, gdy z braku zajęć, rozszyfrowałem zapiski na pożółkłych kartkach. I sześć miesięcy od pożaru... Ja zaś ciągle uciekam, a ciemne wody Wisły płyną przez moje sny. Na dnie, pośród splątanych warkoczy wodorostów, połyskuje cenny kruszec. W rzeczonym żwirze tu wiją się sploty złotego łańcuszka, tam rubin w oczku sygnetu lśni krwawo jak Gwiazda Piołun z Janowej Apokalipsy. Ku mnie, wzdęty i poparzony, płynie topielec w poszarpanym galowym mundurze. Zamykam mocno powieki, by wycisnąć spod nich wiślaną wodę i by nie widzieć. Tak mocno, że wreszcie się budzę. I tak raz za razem, bez końca, każdej nocy. Jednak zwęglone, poharatane palce za każdym razem sięgają coraz bliżej mego gardła.

Dniami uciekam coraz dalej i dalej od Wisły, zaś nocą ona przysuwa się coraz bardziej. O ironio... Czasem myślę, że szaleję, wtedy płaczę i śmieję się sam do siebie na przemian.

Bo miało być jak w Ameryce, a wyszło jak zwykle...

**12 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

*– Miało być jak w Ameryce, panie Bindner, i jak raz wyszło. – Taką opinię usłyszałem dziś na Synagogalnej u zegarmistrza Bergshona, gdzie mili przyjaciele zaciągnęli mnie w wielce – w ich mniemaniu – tajemniczym celu.*

*Zbliżały się moje urodziny, i tylko głupiec nie wydedukowałby, że o prezent jakowyś tu idzie. Wyciągnęli mnie z domu jeszcze zanim Karolcia obiad podała – Przemko Rutnicki, Leopold Sachs, Antoni Wilczura – wszyscy zacni i doświadczeni szyprowie na paropływach wiślanych. Brakowało tylko przyjaciela mojego i współnika Michała Nachtigala, który dziś rankiem popłynął do Warszawy. Ani chybi to cacko od Bergshona było jego pomysłem. Na kopercie zegarka wygrawerowano: „Kapitanowi Stanisławowi Śniadeckiemu, punktualnemu co do sekundy – przyjaciele”. Chwycił mnie za serce ten złoty drobiazg i inskrypcja, która*

wszystko o mnie mówiła, bom zawsze co do sekundy czasu wyjścia i przyjścia pilnował. Aż łza mi się w oku zakręciła! Rzekłem wzruszony, że zapraszam wszystkich na koniak, co spotkało się ze zrozumiałym aplauzem. Zegarmistrz zalecał mi jeszcze wymianę złotej dewizki na modniejszy, gęstszy splot i na tacy mi podsuwał – przechera! – najpiękniejsze, ale i najdroższe z tych, które w sprzedaży posiadał. W gwarze dosłyszałem wtedy, jak dwóch kupców, znanych mi zresztą z widzenia, do Ameryki nas przyrównuje. Wesolo mi było, i wesolo więc zapytałem, czemu nosy na kwintę spuszczają. Ten zaś wzrokiem mundury mój wyjściowy i towarzyszy obrzucił wzrokiem, jakby dopiero co nas zauważył.

– Najmocniej szanownych panów przepraszam, ale to panowie nie wiedzą nic? – zapytał ostrożnie, a gdyśmy pokręcili głowami, dodał, że codziennie na dworzec wodny Fajansa zachodzi, bo ma w zwyczaju dobrej kawy się napić przed południem, a tam najlepszą podróżnym przed rejsami wiślanymi serwują. I że właśnie miał już wychodzić, by „interesa swoje doglądać”, gdy do dworca dobił jakiś obszarpaniec w małej łódce wiosłowej, i jeszcze nie wysiadł, a już krzycheć wniebogłosy począł i pomocy wzywać.

– Bo, szanowni kapitanowie, ponoć na „Twierdzy” kocioł wybuchł. I wielu ludzi zginęło. Co za nieszczęście!

Utkwiło mi w pamięci spojrzenie, jakim kupiec obrzucił nasze pobladłe twarze, zanim zaczął się w piersi bić i przepraszać za swój niewczesny i niewłaściwy żart o Ameryce. Uderzyła mnie myśl, że jednak trafił tym spostrzeżeniem w sedno. Nie mieliśmy ani takich potężnych rzek, ani tak licznej floty, ani tak luksusowych jednostek jak ci zza Oceanem – ale przynajmniej w tym jednym, w mniejszej skali, rzecz jasna, udało nam się Amerykańcom dorównać. Na Wiśle też, tak jak na Missisippi, huknął kocioł na paropływie i będzie niewątpliwie mnóstwo ofiar.

Wszyscy bez chwili zwłoki ruszyliśmy na embarkader, i słusznie, bowiem już nas szukano. Kilka jednostek wcześniej wypłynęło, a kilka rychtowało się do odejścia, by poszukiwać rannych i zabitych z „Twierdzy”. Dopiero na przystani zdałem sobie sprawę, że ciągle ściskam w ręku złoty zegarek, prezent od, między innymi, Nachtigala, którego z nami nie było, bowiem szyprował na „Twierdzy”.

**15 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

O katastrofie „Twierdzy” piszą wszyscy. Piskliwe głosy małych gazetarzy wwiercają mi się w uszy i w serce. „Setka zabitych!”, „Trzy dziesiątki rannych! Czwooro zaginionych

*dzieci! W tym niemowlę!”, „Zaginął zasłużony szyper! Nie odnaleziono zwłok Michała Nachtigala! Poszukiwania trwają”. „Kupujcie, czytajcie, tylko u nas!”. Siedzę w domu, palę cygareta za cygaretem i piję od samego rana. Złoty zegarek – prezent od Nachtigala – tyka na blacie biurka.*

*Z początku czytałem wszystkie gazety – we wszystkich czytając to samo, jednak nie mogłem przestać. Jakbym pomiędzy czarnymi literami mógł się dopatrzeć innej prawdy niż ta, którą podpowiadało mi doświadczenie. Bom przecież widział na własne oczy wrak „Twierdzy” osiadły na piaskowej łasze z dala od głównego nurtu, opleciony porozrywanymi rurami mechanizmu parowego jak wyprutymi flakami. Leżący na burcie, nieruchomy, jak zwierzę, które konając doczołgało się jeszcze do wodopoju i tam dopiero padło. Przecież sam zgarniałem z fal porozrywane, poparzone szczątki ciał pasażerów i załogi. Z ostróg wiślanych podejmowałem nielicznych szczęśliwców, którzy wykpiłi się ranami, ale ocalili życie. Przecież wiem, że nie ma żadnych szans, by Michał przeżył. Gdyby mu się udało... już by się odnalazł.*

*Muszę przestać się katować, przestać uplątywać się we własne myśli. Nachtigal zginął, Wisła zabrała jego ciało. Koniec, kropka.*

**22 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

*Nachtigala nadal nie odnaleziono. Nawet jego matka zdaje się powoli godzić z faktem, że Michał odszedł na zawsze. Mam zszargane nerwy, źle sypiam, a rzeka budzi we mnie dziwny niepokój. Nie uszło to uwagi w towarzystwie i wysłano mnie na przymusowy urlop. Rutnicki zastępuje mnie na moich rejsach. Nie żebym się przed tą zamianą bronił, o nie. Chcę odpocząć. Małżonka chłonie całą sobą każdą chwilę, którą dzięki mej nieoczekiwanej niedyspozycji spędzamy razem. Jest przeurocza w swoich staraniach. Mój lekarz doradza wspólny wyjazd do wód, najlepiej do Ciechocinka. Zanim jednak pojedę, chcę podjąć moje pieniądze.*

**23 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

*Znów obudziłem się w łóżku mokrym od zimnego potu. Śnił mi się Nachtigal w kajucie pracowniczej na dworcu wodnym. Opierał się plecami o ściankę, za której boazerią wspólnie z tym sukinkotem Joachimem sporządziliśmy naszą zmyślną skrytkę. Miał na sobie mundur*

galowy, ale porwany i brudny jak nieszczęście. Zza poszarpanych krawędzi tkaniny raz za razem obnażało się poharatane, porozrywane wybuchem ciało. Twarz miał odmienioną przez krwawą oparzelinę, a jednak poznałem go. On to był, nikt inny... Każdy jego ruch zdawał się trwać wieki, jakby czas nie płynął, a kapał, kropla po kropli, i zdałem sobie sprawę, że jesteśmy pod wodą... Poharatane ręce wolno sięgały ku mnie, ku mojemu gardłu, rozwarła się jama poparzonych ust. Pod wodą dźwięk płynie inaczej, pod wodą mówić nie można, bo nikt nie usłyszy, a jednak z ruchu warg wyrozumiałem, co mówił do mnie były współnik.

„Moje”, powtarzał. „Moje, tylko moje. Moje złoto i twoja krew!”.

**26 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

Boję się zasnąć. Gdy tylko przymknę powieki, przed oczyma rozlewa mi się Wisła. Pod naporem wody przęsa mostu nieopodal dworca Fajansa pękają jak zapalki. Zrywają się cumy i wzburzony nurt porywa dworzec wodny. Embarkader kręci się wokół własnej osi jak ogłuszony żółw, by nagle przewrócić się na bok i zatonać, razem z oszczędnościami mojego życia. Na grzbietach powodziowych fal pojawiają się i znikają poparzeni topielcy z „Twierdzy”. Poziom wody rośnie i rośnie, przelewa się przez obmurowane ceglami koryto i płynie po miejskim bruku, coraz dalej i dalej, coraz wyżej i wyżej. Sięga wreszcie mej kamienicy i wspina się po ścianach. W oknie widzę już strzępki wodorostów i zdziwione spojrzenia ryb. W oknie, zanim szyba pęka i woda wlewa się do mej sypialni, widzę poparzoną twarz Nachtigala. Jego okaleczone usta powtarzają bezgłośnie „moje, moje, moje”.

Siedzę zamknięty w czterech ścianach. Do sypialni nie wpuszczam nawet żony. Sprowadziła doktora, moich przyjaciół z Wisły, księdza nawet. Każdy pogadał pod drzwiami dłużej lub krócej, bardziej lub mniej z sensem, i poszedł, odpuściwszy sobie. Tylko Nachtigal wraca uparcie i cierpliwie, raz za razem, za każdym razem, gdy zamknę powieki i uda mi się zasnąć. Próbuję to ogarnąć, wytłumaczyć sobie i przetrwać. Dlaczego akurat Nachtigal nie chce opuścić moich snów? Przecież ten przechera Joachim nie przyśnił mi się ani razu, a pchnąłem go nożem własną ręką. Nachtigal go trzymał, tak, ale to ja trzymałem nóż, to ja zadałem cios. To ja uciszyłem go na wieki, by nie domagał się swojej części złota. Nigdy nie nawiedził moich snów, szczerze mówiąc, rysy jego prostackiej gęby zatarły się już zupełnie w mojej pamięci. Dlaczego więc miałbym przejmować się Nachtigalem? Nie zadałem mu śmierci! Uszkodziłem manometr i korek topliwy przy kotle „Twierdzy”, tak... ale nic by się nie stało, gdyby Nachtigal nie gnał jak szalony! Gdyby nie żyłował paropływu do granic



*możliwości, gdyby nie chciał bić kolejnych rekordów, gdyby nie chciał zawsze być pierwszy!  
Zabiły go jego pycha i ambicja, ot co...*

**27 sierpnia 1925 r.**

**Płock**

*Dość trzęsienia się nad sobą, wybebeszania wspomnień, dopatrywania się sensu w marach nocnych. Nie ma w nich żadnego! Nachtigal nie żyje, przez swoje własne błędy. Toć każdy by się zorientował, że kocioł zbliża się do granic wytrzymałości, każdy, kogo nie zaślepiła własna ważność. Michał sam jest sobie winien – swojej śmierci i śmierci tych nieszczęśników, których wziął na swój pokład. Jego to obciąża. A wszystko, co zebraliśmy za poprzedniej wojny, jest moje. Koniec i kropka!*

*Wieczorem zabieram łom i idę na dworzec Fajansa. Trzeba będzie przekupić stróża i obsługę... ale to grosze w porównaniu z tym, co niebawem będzie moje. Wyjedziemy do Ameryki, już postanowiłem. Poślę dzieci do dobrych szkół, a żonę zabiorę w podróż do Włoch, zawsze o tym marzyła.*

**20 września 2012 r.**

**Genewa**

Bawi mnie myśl, kim bym był i jaki bym był, gdyby pradziadek dopiął swego i porzucił ojczyznę na rzecz Ameryki, domniemanego raju na ziemi. Bo, rzecz jasna, głównie z tego wyszło. Co się stało na dworcu Fajansa w nocy z 27 na 28 sierpnia 1925 roku – nie wiem. Pamiętnik Stanisława urywa się w tym momencie. Ale w takie noce jak dzisiaj czuję, że niemal dotykam prawdy, bo podobnej doświadczam na własnej skórze.

Pradziadek chorował. Potem rzucił pracę na rzece i został, niespodzianka, skromnym urzędnikiem w banku. Ponoć do zmysłów nie wrócił nigdy w pełni, a dzieciom i żonie zabraniał nawet spacerów w pobliżu wody. Musiały minąć dziesiątki lat, by te wspomnienia zbladły i by jego potomkowie poczuli zew żeglugi... Bo chyba jednak mamy ją we krwi. W każdym bądź razie, ja nie mam dzieci, którym mógłbym coś zakazać, więc chyba dobrze. Skończy się na mnie. Koniec i kropka, jak mawiał pradziadek Stanisław... Ponoć to było ostatnie, co powiedział do rodziny. Że idzie, koniec i kropka.

Tak, powrócił na Wisłę. Trzeba było wojny, by go do tego zmusić, ale to zrobił. Ktoś w '39 przyniósł informację, że Niemcy przejmują flotę wiślaną, która cumuje w Płocku.

I Stanisław pobiegł, koniec i kropka, bronić paropływów. Kochał je bardziej niż własną rodzinę. Legenda rodzinna mówi, że w trakcie walki poślizgnął się, poszedł pod wodę i już nie wypłynął. Może zarobił kulę, a może nie... Myślę, że jednak nie. Niech mu woda lekka będzie. Szkoda tylko, że nie zabrał swej tajemnicy do grobu.

Skusiły mnie te wzmianki o kosztownościach. Kto nie chciałby zostać krezusem bez wielkiego wysiłku, niech pierwszy rzuci kamieniem. Miałem prawo spodziewać się nie byle czego, bo znałem rodzinne plotki, że pradziadek za I wojny światowej trudnił się przemysłem i psim swędem położył łapę na jakichś łupach wojennych. Tylko głupi zostawiłby taką okazję, a niczym to nie groziło, pradiadkowi przecież pod koniec życia ewidentnie albo odbiła szajba, albo dopadły go spóźnione wyrzuty sumienia. Co mi szkodzi spróbować szczęścia? Tak sobie myślałem sześć miesięcy temu.

Żegluga na Wiśle dawno już wtedy umarła. Paropływy poszły na dno albo pod palnik. Rozsypały się nabrzeża. Rybacy, a przecież byli tacy w każdym wielkim mieście, znaleźli sobie inne zajęcie, bo po jesiotry to teraz chodzi się do supermarketu, a nie na targ rybny. Wisła, na której pracował i żył mój pradziadek, żyła już tylko na blednących z każdym rokiem fotografiach.

Ale dworzec Fajansa, do którego w Płocku przybijały parostatki, na moje nieszczęście, przetrwał. Położyło na nim łapę państwo, oczywiście, odpicowało z grubsza. Póki jako tako się trzymał, pełnił w Płocku rolę przystani. I nikt nic na nim nie znalazł, bo przecież coś by było o tym wiadomo... Potem zdezelowaną jednostkę odholowano do Warszawy i zacumowano w Porcie Praskim. Został tam magazynem mydła i powidła, a głównie kajaków. Właściciele zmieniali się jak w kalejdoskopie... Wreszcie poszycie pękło i przy niskim stanie wody dworzec siadł na dnie. Stało się jasne, że bez gruntownego remontu nie popłynie już nigdy i urzędnicy grubą krechą wykreślili go z ewidencji tego, co w okolicach Warszawy unosi się na wodzie. Podejmowano próby wskrzeszenia legendy, miało być jak w Ameryce, że tak powiem... A wyszło jak zwykle.

Bo w tym momencie wkroczyłem ja, potomek kapitana żeglugi śródlądowej Stanisława Śniadeckiego, uzbrojony w wyblakłe zapiski mego szalonego przodka. Pokręciłem się po Porcie Praskim w przebraniu inspektora ochrony przeciwpożarowej na wstępnej kontroli. Tu pokiwałem głową nad węzłem gordyjskim kabli niewiadomego przeznaczenia, tu spisałem sobie tajemne znaczki ze skrzynki z prądem, aż wreszcie zwizytowałem zamknięty na cztery spusty wrak. Gdy tylko dostałem się na pokład i upewniłem się, że jestem sam, przystąpiłem do oględzin metodą „na dzięcioła”. Chodziłem, stukałem, pukałem...

I w jednej z kajut zza ściany odpowiedziało mi podejrzenie głuche echo. Jakbym totka

trafił! Takie mnie szczęście zalało, że obiecałem sobie nawet, że mszę zamówię za duszę pradziadka, szacownego kapitana floty śródlądowej... przemytnika, oszusta i, jakby nie patrzeć, mordercy. Tymczasem jednak postanowiłem działać szybko. Port odwiedziłem jeszcze tej samej nocy, wyposażony w przecinak, łom i siekiere. Trząśł mną strach, że zostanę odkryty, ale włamałem się na wrak i zacząłem metodycznie pruć boazerię w kajucie.

Tak, skarb był ukryty za deskami. Jak duży? Sam nie wiem, nie zdążyłem się dokładnie przyjrzeć. Gdy tylko zacisnąłem w dłoni bransoletę z jakimś kamieniem – pierwsze, co wydobyłem ze skrzyni w skrytce – na pokładzie rozległy się powolne kroki. Dziwnie mlaszczące, jakby ktoś szedł w mokrych butach. Zgasilem w popłochu latarkę i zamarłem.

„Moje”, usłyszałem. „Moje, tylko moje”.

Zobaczyłem go w wątym świetle sącącym się przez otwartą okiennicę. Na poszarpanym ciele wisiały resztki galowego munduru. Z poparzonej twarzy patrzyły na mnie nieruchome, straszne oczy, przysnute bielmem jak ścięte od gorąca jajka. Zostawiał za sobą kałuże wody. Cuchnął Wisłą. Szedł ku mnie nieprzerwanie, z jakimś robaczym uporem, wyciągając zwęglone palce do mojego gardła.

„Moje”, powtarzał. „Moje złoto. I twoja krew. Oszuście. Morderco”.

Zastawiał mi sobą jedyne wyjście z kajuty. I nie, nie przyszło mi do głowy, że może trzeba wytłumaczyć tę straszną pomyłkę, że Stanisława przecież już dawno zeżarły ryby na dnie i naprawdę nie ma co się denerwować. Na wierzch kotłujących się, rozedrganych z przerażenia myśli wypłynęła tylko ta jedna: uciekać! Cisnąłem bransoletę i zamiast niej porwałem porzuconą obok siekiere. Z rozpaczliwym krzykiem skoczyłem przed siebie, zamierzając się na oślepie improwizowaną bronią. Nachtigal poleciał w tył od siły ciosu. Uciekłem.

Obejrzałem się, bo zawołał mnie po nazwisku. Głupi, bezwarunkowy odruch. Upiór stał w wejściu do kajuty, za nim lśniło złoto w wybebeszonej skrzynce, z piersi sterczała mu wbita pod zawadiackim kątem moja siekiera. Uśmiechnął się do mnie poparzonymi wargami. Naprawdę. A potem oparł czarną dłoń o framugę. Ze zwęglonych palców spłynęły płomienie. Liznęły drewno, z początku nieśmiało, a potem odważniej. Dworzec Fajansa miał ponad sto lat. I był suchy jak szczapa... Jednak to nie tłumaczy szybkości, z jaką szerzył się pożar. To nie było spalanie, to był niemal wybuch. Rzuciłem się panicznie w tył, a w plecy buchnęła mi pożoga.

Dla mnie skończyło się wtedy oparzeniami, ale dworzec spłonął do szczętu. Przeklęte złoto, stopione, mieszało się z rzeczonym piaskiem. Nachtigal odzyskał skarb. Sądziłem, że

się wykpiłem, że da mi spokój, skoro odzyskał, co uważał za własne. Potem zacząłem śnić i dotarło do mnie, że pragnął nie tylko swojego złota, ale i krwi mordercy.

Dziś w nocy znowu przyszła do mnie Wisła i wiem, że nigdy nie przestanie mnie ścigać.



# PRZESIADKA

Jarosław Jakubowski

Rozległ się ostry pisk hamulców, wagonem szarpnęło i pociąg stanął. Marek Kończal zabrał z półki bagaż i wypadł z przedziału, w którym pożegnał drzemiących i zasłoniętych ubraniami współpasażerów.

Noc była chłodna, wilgotna i mglista. Marek wysiadł z wagonu i stanął na nierównych płytach peronu. Spomiędzy kwadratowych bloczków betonu wyrastały kępy zielska. Stację spowijało bladożółte światło, które sączyło się z latarni umieszczonej nad wejściem do starego, poniemieckiego budynku stacyjnego. Na białej, obwiedzionej czarną kreską tablicy widniał łuszczący się napis: CIEMNA DOLINA. Wszystko się zgadzało. To tutaj Marek

Kończal miał się przesiąść do pośpiesznego, który zdązał już bezpośrednio do stacji docelowej.

Poza Markiem z pociągu wysiadł tylko niewysoki i przygarbiony mężczyzna, który miał w dłoniach podniszczoną teczkę. Człowieczek szybkimi, drobnymi kroczkami przemierzył peron, po czym skręcił w stronę ulicy, znikając za ceglana rotundą, która stanowiła coś w rodzaju podręcznego składziku stacyjnego.

Pociąg stał jeszcze krótką chwilę. Marek patrzył na okna wagonów, ale wszystkie bez wyjątku były ciemne bądź zasłonięte. Skład sprawiał wrażenie pustego, choć Kończal wiedział, że tak nie jest. Spędził w nim długie godziny i miał okazję przyjrzeć się temu i owemu. W przedziałach toczyło się ukryte życie. Pasażerowie chrapali, mruczeli przez sen, wpatrywali się w ekraniki komórek czy tabletów, czytali przy nikłym świetle jarzeniowym bądź tępo wpatrywali się w ciemną przestrzeń za oknem.

Wreszcie pociąg ruszył i na peronie zapanowała cisza. Nie było widać nawet światełek końcowych pociągu, w którym jeszcze niedawno Marek Kończal śnił nader przyjemny sen o nieznamym, acz niezwykle otwartej kobiecie. Wszystko rozwiało się jak mgła. Teraz mężczyzna stał i nieco bezradnie rozglądał się dookoła. Zegar stacyjny wskazywał godzinę, której z pewnością w tej chwili nie było. Potwierdził to rzut oka na komórkę, której bateria była naładowana w 72 procentach. Kończal był niemal pewien, że powinno wystarczyć na resztę podróży.

Miał sporo czasu do przesiadki. Nie był z tego powodu zadowolony, bo nie przepadał za czekaniem na zapadłych stacjach kolejowych. Z drugiej strony – lepsze to niż przesiadanie się w biegu z pociągu do pociągu, gdy różnica pomiędzy przyjazdem jednego a odjazdem drugiego wynosi zaledwie minuty. W torbie miał książkę, którą dopiero co napoczął i jakoś nie miał serca do jej czytania w pociągu. W ogóle w trakcie podróży nie potrafił skupić się na czynnościach takich jak czytanie. Był zbyt pochłonięty samym podróżowaniem. Nie należał do osób, dla których przemieszczanie się to sposób na życie, pasja czy przysłowiowa bułka z masłem. Nie, dla Marka Kończala każda, najmniejsza nawet podróż przedstawiała nie lada wyczyn. Za każdym razem, kiedy się gdzieś wybierał, musiał walczyć z atakiem potężnego reiseffieber. Zanim wyszedł z domu, swoim zwyczajem przysiadł na chwilę, jednak nie na krześle, lecz na sedesie, aby dać upust stresowi i zrewoltowanym trzewiom. Teraz jednak, kiedy w podróży był już od wielu godzin, stres ustąpił miejsca zmęczeniu.

Kończal potarł szczypiące od niewyspania oczy i wtedy spostrzegł, że przygląda mu się zawiadowca stacji. Był jeszcze starszy i drobniejszy niż garbusek, który wysiadł z pociągu. Gdyby nie pomarszczona, poorana przez czas twarz, można by sądzić, że to

dziecko przebrane za zawiadowcę. Stał nieopodal wejścia do poczekalni, ale nieco w cieniu, przez co jego zmarszczki wydawały się głębsze niż w rzeczywistości. Jego mundur robił dość osobliwe wrażenie. Wyglądał jak wypożyczony z kostiumerni teatralnej. Srebrne guziki błyszczały w dwóch rzędach na granatowej marynarce, która ciasno opinała mizerny korpus zawiadowcy. Nad daszkiem czapki z czerwonym otokiem widniał symbol, którego Marek Kończal nie potrafił rozpoznać.

– Nie wiedziałem, że takie mundury są jeszcze w użyciu – powiedział Kończal, widząc, że zawiadowca nadal w milczeniu mu się przygląda.

Starszy mężczyzna zsunął czapkę na tył głowy.

– Dużo rzeczy pan jeszcze nie wiesz – odparł. – Papierosa pan masz?

– Niestety nie – powiedział Kończal, który nie palił od wielu lat, ale w tej chwili miał nawet ochotę na papierosa. Zawiadowca obrzucił go spojrzeniem pełnym rozczarowania.

– Kiedyś zbierałem pety z peronu, ale teraz mało kto już pali. Wszyscy chcą umrzeć zdrowo. – Zawiadowca zaśmiał się chrapliwie, po czym ponownie wbił w Kończala uważny wzrok.

– Dlaczego pan mi się tak przygląda? – zapytał Marek, nieudolnie starając się ukryć zaniepokojenie.

– Każdemu się tak przyglądam – odparł spokojnie zawiadowca.

– Nie wie pan, czy pociąg o trzeciej zero trzy przyjedzie punktualnie? – Kończal postanowił zmienić temat.

Zauważył nieznaczny uśmiech w kącikach ust tamtego. A może to tylko cienie kładły się w ten sposób?

– Ja tam nic nie wiem – powiedział zawiadowca.

– Jak to? – Kończal poczuł, że naprawdę potrzebuje papierosa.

– Uciałbym se z panem pogawędkę, ale robota goni. – Zawiadowca splunął i odszedł, znikając wkrótce w ciemności.

– Ja tu mam przesiadkę! – zawołał za nim Kończal, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Mgła gęstniała. Było coraz chłodniej. Marek Kończal chuchnął. Robił tak zawsze, od dzieciństwa. Lubił patrzeć na kłębki pary rozplywające się w zimnym powietrzu. Jednak tym razem z ust i nosa nie wydobyła się nawet najmniejsza chmurka. Kończal stanął w świetle latarni i chuchnął jeszcze raz, ale pary nie było. *Dziwne*, pomyślał, *nawet bardzo dziwne, jeśli nie podejrzane*. Czuł przecież, że marzną mu uszy i dłonie, dotknął czubka nosa i stwierdził, że jest jak kostka lodu. *Cholernie dziwne*.

Wszedł do poczekalni. Panował tu półmrok. Poza nikłym światłem latarni wewnątrz oświetlała mrugająca jarzeniówka umieszczona na upstrzonym przez muchy suficie. Pomieszczenie miało kształt odwróconej litery L. Na lewo od wejścia było okienko kasowe, naprzeciwko drewniana ławka. W dalszej części pomieszczenia znajdował się bufet stacyjny z paroma stolikami przykrytymi dziurawą ceratą i okienkiem, przy którym składało się zamówienia. Nie było tam jednak widać nikogo. Z bufetu wychodziło się wprost na ulicę. W narożniku pomieszczenia stał piec kaflowy, ale poczekalnia była wyziębiona.

Kończal pochylił się przy kasie. Za okienkiem siedziała kobieta w nieokreślonym wieku. Spała. Obie dłonie miała oparte na udach. Dłonie były sine i poprzetykane nabrzmiałymi żyłami. Twarz kobiety wyrażała bezdenne zmęczenie. Za nią znajdowała się przestarzała tablica z tekturowymi biletami. Kończal zastukał dłonią w drewnianą ladę. Kobieta dopiero po dłuższej chwili otworzyła oczy. Spojrzała na niego bez zainteresowania.

– Chciałem zapytać, czy pociąg o trzeciej zero trzy przyjedzie planowo – powiedział.

– Trudno mi powiedzieć – odparła kobieta, odwracając wzrok.

– To proszę zajrzeć do rozkładu jazdy – nie dawał za wygraną podróżny.

– Nie ma rozkładu jazdy – powiedziała niewzruszona kasjerka.

Marek Kończal poczuł, że grunt, wprowadzie jeszcze nieznacznie, ale usuwa mu się spod nóg. Wziął głęboki oddech i powiedział:

– Ale ja sprawdziłem jeszcze w domu i miałem tu mieć przesiadkę o trzeciej zero trzy. Proszę, to mój bilet, tu jest wszystko napisane. – Położył przed nią wydruk i spojrzał tryumfalnie. Na kasjerce nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Jak ma pan bilet, to niech pan czeka – powiedziała i ponownie zapadła w drzemkę.

Uwagę Kończala zwróciły uwagę jej paznokcie. Były zrogowaciałe jak u... Potem spostrzegł zielonkawy osad na jej policzkach. *To przez to światło*, pomyślał. Jednak z narastającym lękiem odsunął się od okienka.

W bufecie, w miejscu, którego nie było widać przy kasie, siedział pijany w sztok mężczyzna. Kiwał się jak sierota, raz po raz unosił prawą rękę, bełkotał niezrozumiale, po czym wiotczał i zasypiał. Kończal obserwował go przez chwilę jak urzeczony. Przed pijakiem stała niedopita butelka i leżał przewrócony kieliszek. Kończal stwierdził, że i jemu nie zaszkodziłaby pięćdziesiątka czegoś mocniejszego. Zbliżył się do okienka, za którym znajdowała się niewielka kuchnia oraz druciane skrzynie z alkoholami. Wszystko było pokryte grubą warstwą pajęczyn. Dawno takich skrzyń nie używano, a jednak tutaj były w użyciu. W użyciu? Cała stacja wyglądała raczej jak dekoracja filmu, a ludzie tu spotykani – jak znudzeni statyści.



– Halo! Jest tu kto? – Marek zawołał w głąb pomieszczenia.

Usłyszał jakiś rumor. Z legowiska utworzonego ze skrzyń i różnokolorowych szmat podniosła się masywna postać. Była to bufetowa. Miała ogromne piersi, które opierały się na wzdętym brzuchu. Kobieta była ubrana w fartuch, który kiedyś mógł być biały. Teraz był pokryty żółtymi plamami jak mapa nieznanych lądów.

– Czego? – wychrypiała kobieta i do nozdrzy Kończala dotarł odór, mieszanina nieprzetrawionego alkoholu i czegoś jeszcze. Czegoś, co kojarzyło się z głębią grobu i wilgocią rozkładu.

– Chciałbym coś zjeść i wypić – odparł Marek, a w odpowiedzi bufetowa roześmiała się chrapliwie jak wiedźma. Jej brzuch i piersi trzęsły się, a ona biła się po udach rechocząc. W jednym momencie umilkła i wbiła zimne spojrzenie w przybysza.

– Nie ma jedzenia i picia. Remanent jest – powiedziała i wróciła do swojego barłogu.

Kończal zatrzęsł się z oburzenia. Czy nie ma tu nikogo, z kim można by się porozumieć w ludzkim języku? Odwrócił się na pięcie i napotkał wzrokiem gazetę. Wisiała na drewnianym wieszaku. Zdjął ją i usiadł przy stoliku, stawiając obok walizkę. Gazeta była nieaktualna od... od wielu lat. Czarno-biały sitodruk ledwie pozwalał rozpoznać postaci uwiecznione na zdjęciach. Wielkie, tłuste tytuły obwieszczały jakieś niezwykle ważne, a nieistotne już całkowicie zjazdy, plena i egzekutywy. Artykuły informowały o zamachach, które już dawno zostały zapomniane i o wojnach, które już dawno zostały przewojowane. Rubryka sportowa przynosiła doniesienia o dawno pobitych rekordach i dawno wybitych na aut strzelcach bramek.

Kończal przewracał płachtę gazety na następną stronę, kiedy oparła się na niej wielka, owłosiona dłoń. Dłoń o wyraźnych objawach rozkładu. Przez spękania w wysuszonej skórze prześwitywało gnijące mięso. Pijak stał chwiejnie przy jego stoliku i wpatrywał się pustymi oczkami, które wyglądały jak dziury wyżłobione tęnym nożem w szarym papier-mâché.

– Przesiadka, he? – zapytał.

Kończal milcząco skinął głową. Pijak zwałił się na sąsiednie krzesło. Oparł obie dłonie o blat i zwrócił twarz ku samotnemu podróżnemu. Marek mógł teraz dobrze przyjrzeć się jego obliczu. Z kącików oczu i ust ciekła cuchnąca ropa. Za rozchyłonymi, spękanymi wargami widać było żółte zęby, tkwiące chwiejnie w nadgniłych dziąsłach.

– Też kiedyś czekałem na przesiadkę – powiedział pijak, zaskakująco trzeźwo jak na pijaka. Sięgnął po butelkę z sąsiedniego stolika.

– Masz, napij się – podsunął ją Kończalowi.

– No pij, jak dają! – Szyjka butelki dotknęła ust Marka, który w milczeniu chwycił za szkło.

– Nie bój, nie zarazisz się – powiedział pijak i zaśmiał się dźwiękiem podobnym do szczekania.

Marek podniósł butelkę i zobaczył swoje zniekształcone odbicie. Mógłby przysiąc, że jego twarz przybrała zielonkawy odcień. Podniósł flaszkę do ust. Alkohol był mocny jak kwas. Przepalał przełyk i wnętrzności. Mózg momentalnie spowił się obłokiem otumanienia. Kiedy Marek w końcu uspokoił oddech, wskazał wyjście i zapytał:

– Co jest za tymi drzwiami?

– Ciemna Dolina – odparł pijak. – Kiedyś to było całkiem przyjemne miasteczko. Ludzie chodzili do kościoła i na lody. Dzieci grały w piłkę. Wszystko było jak trza. A teraz... sam zobaczysz, jak stąd wyjdiesz. Ja już tam byłem, ale tu mi lepiej.

– Nie mam czasu na zwiedzanie. Niedługo przyjeżdża mój pociąg – powiedział Kończal i wyciągnął komórkę, żeby sprawdzić czas. Ekran telefonu był wygaszony. Marek spróbował go włączyć, ale nie udawało się. Bateria musiała się wyczerpać. Ze złością pomyślał, że nie zdążył nawet zadzwonić do domu. Z drugiej strony – co to za dzwonienie w środku nocy...

– Muszę iść – powiedział Kończal i szybko wyszedł na peron. Mgła była już tak gęsta, że nie widział dalej niż na dziesięć metrów. Całą przestrzeń wypełniała mlecznoszara zawiesina. Gdzieś z góry doszedł odgłos podobny do płaczu dziecka. Lelek kozodój zaczął swój nocny koncert. Po chwili dołączył do niego kolejny i jeszcze jeden, i następny. Wkrótce w mglistej nicości śpiewał chór nocnych żałobników.

I wtedy Marka Kończala ogarnął lęk. Zaatakował go ze wszystkich stron i wziął w kleszcze, nie pozwalając oddychać. Mężczyzna poczuł się samotny jak ostatni człowiek na Ziemi. Tęsknił za domem i za tymi, których w nim zostawił. Z oczu popłynęły mu łzy. Pozwalał im płynąć, jakby były ostatnią rzeczą, która łączyła go jeszcze ze światem żywych. Ale czy on – czy on nie był żywy? Czy nie poruszał się, nie walczył o to, żeby wyrwać się z tej zapomnianej stacyjki? Chuchnął w ciemność, żeby ją przekonać, że on, Marek Kończal, jeszcze się nie poddał. Z ust nie wydobył się nawet ślad pary. Położył dłoń na piersi. Nie wyczuł bicia serca. Krzyknął, potem chrząknął i krzyknął jeszcze raz, głośniejsze, ile sił w płucach. Jednak krzyk zanikał w gęstej otulinie mgły. Równie dobrze można było wyć do poduszki.

– Nikt cię i tak nie usłyszy – powiedział pijak, który stanął za plecami Kończala.

– Nie wierzę ci. Nie wierzę w ani jedno twoje słowo – odparł zachrypłym głosem Marek.

– To uwierz w to, co widzisz. Jak to leciało? Błogosławieni, którzy nie widzieli, a uwierzyli. Ty nie jesteś błogosławiony. Ty po prostu jesteś martwy. – Twarz pijaka w bladym świetle latarni zmieniła się w trupa maskę.

Kończal chwycił go za ubranie.

– Mów za siebie – powiedział.

Pijak spokojnie, choć bardzo mocno zdjął z siebie dłonie Marka.

– Jak chcesz... jak chcesz – odparł i wrócił do budynku stacyjnego.

Kończal spojrział w obie strony torów kolejowych. Nie ujrzał niczego. Zeskoczył z peronu i ukląkł na torowisku, przyłożył ucho do lodowatej szyny. Nic, żadnego drgania. Światło stacji mimo wszystko kusilo. Mężczyzna wolnym krokiem wszedł do poczekalni. Pijak czekał na niego z nową butelką. Musiał cieszyć się względami bufetowej.

Pili przez jakiś czas w milczeniu, a potem Marek Kończal opowiedział nieznajomemu swoje życie. Kiedy skończył, miał wrażenie, że słyszy pisk hamulców pociągu. Wstał od stołu, ale nogi mu się poplątały i upadł na niezamiataną od lat podłogę. Podniósł się i ruszył na peron. Zatrzymały go drzwi, które jak na złość nie chciały się otworzyć. Kiedy w końcu sobie z nimi poradził i stanął na peronie, zobaczył tylko malejące światełka końca pociągu. Pobiegł za nimi. Biegł, dysząc i nie wypuszczając z ust nawet śladu pary, nie czując własnego tętna. Mimo to biegł, ile miał sił w nogach, krzycząc z rozpacz i złości. Światełka zniknęły we mgle, choć wciąż było słychać stukot kół pociągu. Po chwili rozległ się przeciągły gwizd lokomotywy. Dźwięk zmieniał częstotliwość i zanikał w nocnej pustce. Marek Kończal upadł wyczerpany na śliskie, pachnące impregnatem drewniane podkłady kolejowe. Poczł na twarzy dotyk jakiejś rośliny. Otworzył oczy i zobaczył tuż przed sobą mały żółty kwiatek. Opuścił głowę i gorzko zapłakał. Torami powrócił na stację. Bez słowa minął poczekalnię z drzemającą kasjerką i bufet z pijakiem.

– To już nie to samo miasteczko co kiedyś – powiedział pijak i opuścił głowę na blat.

Kończal podszedł do drzwi i otworzył je. Owiąło go zimne, nocne powietrze. Nie widział niczego, poza ciemnością i jej niewyraźnymi zagęszczeniami. Zszedł po kilku stopniach kamiennych schodków i znalazł się w Ciemnej Dolinie. Niektóre cienie poruszały się i wydawały różne odgłosy. Inne nieruchomo wpatrywały się w samotnego wędrowca.

Wkrótce zaczęło świtać. To, co było zagęszczeniem ciemności, okazało się resztkami domów i pozostałościami drzew. W pustych oknach powiewały spłowiałe firanki. Na ulicach walały się porzucone walizki, ubrania, rozbite naczynia, zepsute zabawki. Kończal spostrzegł,

że z naprzeciwka zbliża się jakaś postać. Mężczyzna mniej więcej w jego wieku. Ciągnął po asfalcie walizkę, od której odpadły kółka. Gdy zbliżył się na odległość paru metrów, Marek zobaczył w jego zniszczonej twarzy to samo zagubienie, które towarzyszyło i jemu. Przechodzień spojrział przelotnie na Marka i pośpiesznie się oddalił.

Marek patrzył chwilę za nim, po czym ruszył w przeciwną stronę. Nie dbał zupełnie o to, że rozpadał się z każdym krokiem.

## **Epilog**

Dniało, kiedy pociąg pośpieszny z południa na północ kraju dojeżdżał do stacji końcowej. Konduktor obszedł wszystkie przedziały, żeby pobudzić zaspanych po całonocnej podróży pasażerów. W jednym z przedziałów przy oknie siedział mężczyzna z głową okrytą płaszczem i nie reagował na prośby konduktora. Pracownik kolei podszedł więc do niego i lekko szarpnął za ramię. Pasażer ani drgnął. Konduktor odsunął płaszcz z jego twarzy i wtedy zobaczył, że usta i oczy tamtego są otwarte. I całkowicie nieruchome.

W zaciśniętej dłoni mężczyzny tkwił bilet, na którym wydrukowano godzinę przesiadki: trzecia zero trzy.



YES



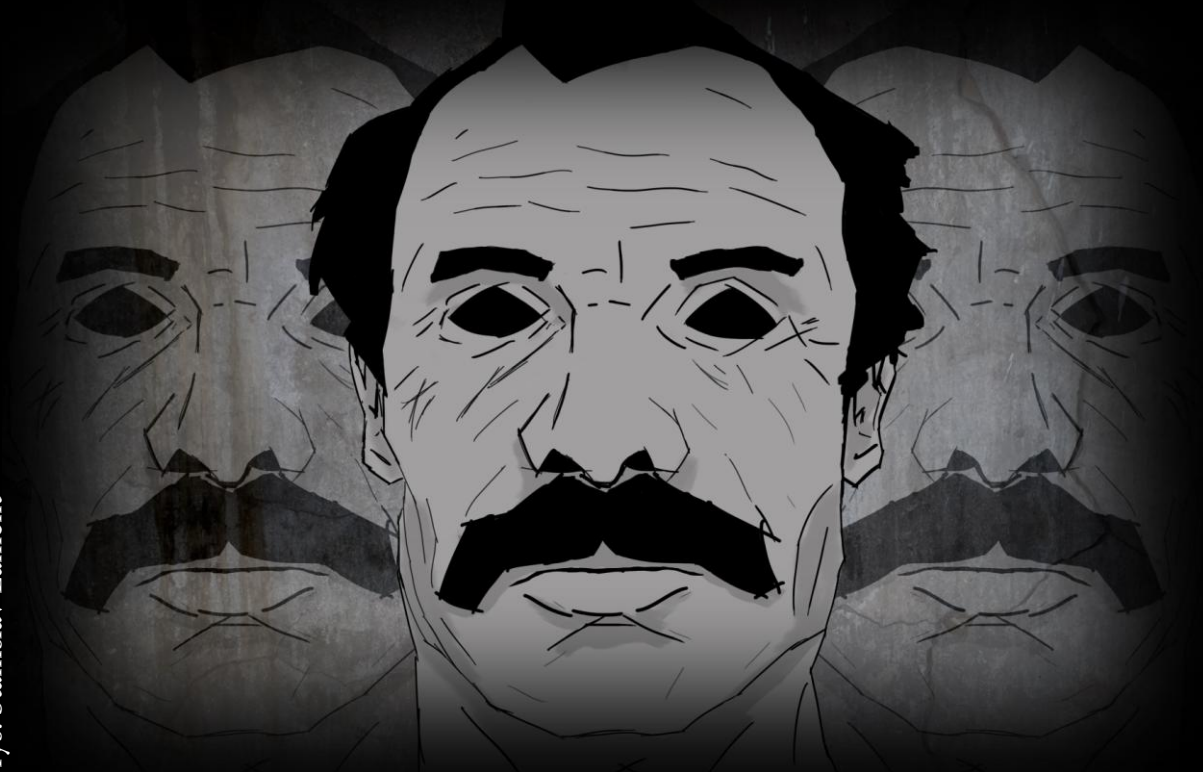
NO

SHRED PERSPECTIVES WORKS  
DESIGN



DARK ART  
AND DESIGN

GOOD BYE



# DZIWNA OPOWIEŚĆ

Władysław Reymont

- Dopiero przed chwilą odebrałem twój list. Cóż się stało?
- Bardzo ci jestem wdzięczny, czekałem na ciebie niecierpliwie...
- Pojedynek może, co?
- Nie, nie. Później ci opowiem. Zostań u mnie, tak się boję samotności, tak mnie wszystko przeraża, tak... Nie zapalaj lampy...

Urwał nagle, obejrzał się trwożnie, skulił się w fotelu i nerwowo przegamiał rozżarzone węgle. Nie śmiałem przerwać milczenia, czerwony blask ognia pełzał w ciemnościach i drgał połyskliwie na sprzętach i podłodze, cisza wlokła się senna i nużąca, tylko deszcz brzęczał nieustannie po szybach, belkotały rynny i wicher łomotał po dachach... Naraz jakiś zegar kościelny zaczął wybijać północ; przenikliwe, potężne dźwięki, jakby uderzenia srebrnych młotów waliły się w ciszę mieszkania, były miarowo, monotonnie

i konały w długim, przejmującym jęku, ale nim przebrzmiało ostatnie uderzenie, nagle zatrzęsły oknami przeraźliwe głosy trąb, jakaś orkiestra zagrała wrzaskliwy tusz i buchnęły wrzaski.

– Nowy Rok! – wyszeptał, podnosząc na mnie oczy.

Otworzyłem okno, już tańczono na ulicy, cały plac de la Sorbonne mrowił się ludźmi i lampionami migocącymi jak barwne motyle. Kawiarnie były natłoczone, werandy napchane, siedziano nawet na trotuarach pod parasolami, a wszędzie pito wśród ogłuszających wrzasków i śpiewań. Śmiechy wrzały bezładne, dzikie i pijane, a co chwila przybywały nowe gromady rozkrzyczanych, nowe ryki się podnosiły, nowe tańce szły zapamiętałe, nowe śpiewy i zamęt podnosiły się do szczytu, bito krzesłami, bito laskami i pięściami w stoły i ściany, ryczano na trąbach, udawano głosy zwierząt i syren okrętowych, zaś na rogu bulwaru sformował się jakiś pochód i ruszył wśród ogłuszających pisków i gwizdań.

– Strasznie mi zimno! – jęknął, przesuwając się do ognia.

Zamknąłem okno i siadłem przy nim.

– Wiesz, umarł Karol! – szepnął bardzo cicho.

– Karol! Gdzie i kiedy?...

Dotknęła mnie boleśnie ta niespodziana wiadomość.

– Nie wiem gdzie, nie wiem kiedy, ale wiem, że umarł.

– Ktoś ci musiał przecież o tym powiedzieć?

– On sam powiedział mi o tym parę godzin temu...

Bezwiednie cofnąłem się o parę kroków.

– On sam! Popatrz mi w oczy, zdrow jestem i mówię przytomnie!

Byłem absolutnie pewny, że nagle zwariował.

– I ja bym nie wierzył, gdyby mi kto o tym powiedział jeszcze wczoraj, jeszcze nawet dzisiaj rano... A teraz już wiem, wiem na pewno. A skoro to jedno jest pewne, pewne jest wszystko! – mówił jakby do siebie i uśmiechał się dziwnie.

Nie odzywałem się, patrząc mu uważnie w twarz, i wydał mi się tak zmieniony, tak jakoś inny i obcy, że musiałem mieć w oczach trwogę i zdumienie, gdyż się odezwał spokojnie:

– Nie obawiaj się o mnie, jestem zupełnie zdrowy i zupełnie świadomy swego stanu, a że jestem zdenerwowany i wstrząśnięty do głębi, to chyba normalne – przecież obcowalem z nieboszczykiem, patrzyłem w odkrytą twarz tajemnicy... czy to mało?

Cóż mogłem odpowiedzieć? Tylko słuchałem, śledząc z niepokojem jego rozgorzałe oczy. A on mówił:

– Widziałem Karola przez te ostatnie trzy dni – trzy razy. Widziałem go jak teraz ciebie i rozmawiałem tak samo. Był w tym pokoju i siedział na tym samym miejscu, gdzie teraz ja siedzę... Widziała go moja posługaczka... A może on tu jeszcze jest...

Zawiesił głos i rozglądał się dokoła; przyznaję, że zrobiło mi się zimno i jakoś strasznie.

– Mów wszystko, wytrzymam! – prosiłem, ledwie pokrywając wzruszenie.

– Zapal lampę, będzie mi może raźniej opowiadać...

Zapaliłem wszystkie, jakie były w obydwóch pokojach.

– We wtorek widziałem go po raz pierwszy – zaczął mówić, ożywiając się i chodząc po pokoju. – Wracałem z opery, było już dosyć późno, zimno i mokro jak dzisiaj. Przechodziłem przez most zatopiony w muzycznych rozpamiętywaniach, gdy wtem z imperialu omnibusu, który mnie wymijał, ktoś najwyraźniej zawołał:

– Janek!

A jakaś postać wychylona nad barierą kiwała na mnie. Naturalnie, że dopędziłem omnibus i wsiadłem, ale wyobraź sobie moje zdumienie, na imperialu nie było nikogo, a wewnątrz drzemały jakieś nieznajome kobiety. Spędziłem na zwyczajne „zdawanie się” i dojechawszy do swojej dzielnicy, poszedłem do kawiarni, myśląc, że może jeszcze zastanę kogo ze znajomych i chociaż nie było już nikogo, przesiedziałem tam do samego zamknięcia. Było już po drugiej, kiedy wyszedłem na ulicę, deszcz lał jak z cebra, leciałem prędko, ale już z dala spostrzegłem, że ktoś stoi pod moją bramą, jakby oczekując na otwarcie.

– Czy pań już dzwonił? – pytam uprzejmie.

Ten ktoś odwrócił się do mnie, spojrzał mi z bliska w oczy i rzekł cicho, wyciągając rękę:

– Czekałem na ciebie...

Karol stał przede mną. Poznałem go natychmiast i chociaż zdziwiony byłem tym niespodziewanym spotkaniem, ale i tak niezmiernie uradowany, że rzuciłem mu się w ramiona, zasypując pytaniami. Odpowiadał dziwnie lakonicznie, a gdy otworzyły się drzwi, popchnął mnie nieco naprzód i powiedział:

– Prowadź, nie znam schodów.

Zatrzasnąłem bramę, krzyknąłem stróżowi nazwisko i zapaliwszy zapałkę, oglądam się i wołam:

– Chodź, Karol...

W sieni nie było nikogo, na schodach również, wybiegłem natychmiast na ulicę, sądząc, że może pozostał za drzwiami, ulica była zupełnie pusta, nigdzie ani śladu żywej



duży... Obleciałem cały plac i wszystkie najbliższe ulice, i wszystkie zaułki, i wszystkie bramy, i zagłębienia zrewidowałem, a wszystko na próżno. Przepadł bez śladu jak kamień rzucony w ocean... Zegar na Sorbońskim kościele bił już trzecią, kiedy wróciłem do mieszkania. Odchodziłem po prostu od zmysłów, biłem się jak ptak w klatce, w niedopieczonej jakiejś tajemnicy... Szalałem... Jakże, przecież widziałem go, dotykałem się, czułem jeszcze jego chłodne ręce i twarz mokrą od deszczu, słyszałem jego głos, tak mi dobrze pamiętny... Nie mogłem się pomylić, nie mogłem halucynować, nie mogło mi się tylko zdawać... Dałbym życie, że był, i rozplynał się jak cień. Nie spałem już tej nocy, męcząc się i na próżno szukając wytłumaczenia tej dręczącej zagadki, a nazajutrz, wczoraj z rana, rozpocząłem poszukiwania. Szukałem go wszędzie, nigdzie go nie było i nikt go nie widział. Poszedłem nawet do prefektury, wysłali agentów, dałem im jego fotografię, szukali cały dzień, no i naturalnie nie znaleźli. Wróciłem do domu o zmierzchu, bo już nie miałem sił, i zaczęło mi się chwilami zdawać, że muszę mieć początki obłądzenia – właśnie egzaminowałem się najściślej, gdy weszła moja służąca i powiada, że jakiś pań stoi w sieni pode drzwiami. Wybiegłem tknięty jakimś przecuciem. Karol stał pod ścianą. Wprowadziłem go prosto do kominka, gdyż przemoczony był do nitki, a prawie siny z zimna. Opadł w fotel jak martwy, nie poruszał się ni przemówił. A gdym rozpowiedział, ile przez niego przeżyłem niepokojów, szepnął:

– Nie mogłem wczoraj być z tobą dłużej...

– Ależ w jaki sposób zniknąłeś tak nagle i bez śladu?

Uśmiechnął się tylko w odpowiedzi.

– Jutro się dowiesz o wszystkim – dodał nieco później.

Służąca wniosła herbatę, wziął filiżankę, ale tak mu się ręce trzęsły, że postawił ją na stole i dopiero z niej popijał, a przy tym tak mu się dziwnie twarz zmieniała, stając się co chwila jakby inna, iż niekiedy zdawało mi się najwyraźniej, iż to siedzi przede mną jakiś zupełnie obcy człowiek.

– Musisz być bardzo znużony? – spytałem zaniepokojony.

– Tak, trzymam się niezmiernym wysiłkiem – wyrzekł, ale nie poznałem jego głosu, jakby mówił nieznanymi mi człowiek.

– Połóż się zaraz, odpocznij, nie chcę cię już męczyć sobą...

– Jutro... tak, jutro dowiesz się wszystkiego...

Jakaś niewytłumaczona trwoga zaczęła mną roztrząsać. Siedzieliśmy dość długo w zupełnym milczeniu, tylko niekiedy bezwiednie spotykały się nasze źrenice, ale nie umiem ci opowiedzieć, czym było jego spojrzenie, nie były to już oczy człowieka, były to niekiedy

czarne, rozwarte otchłanie pełne blasków i migotań, a niekiedy świeciły blado jak szyby lodów, to rozbłyskiwały taką potęgą i tak patrzyły zimno, i przebijały na wskroś, że chwyciło mnie za serce dzikie, obłądne przerażenie. Naraz podniósł się i zaczął chodzić, dotykał się sprzętów, patrzył na tytuły książek, ale widziałem, że nie spostrzega niczego, że snuje się jak cień błędny, bo jak cień przesuwiał się bez najmniejszego szelestu, jakby nie dotykając się ziemi. Patrzyłem na niego z nieopowiedzianym uczuciem grozy, zdumienia i strachu. Sto razy powtarzałem sobie, że przecież to Karol, towarzysz dzieciństwa, najbliższy przyjaciel i człowiek najdroższy, i sto razy już chciałem chwycić go za rękę, zbudzić z tej jakiejś okropnej martwoty i przemówić po dawnemu szczerze, prosto, po przyjacielsku, a nie ośmieliłem się nawet odezwać. Coś niepojętego stało między nami. Był taki obcy, inny i daleki ode mnie, a przy tym taka przerażająca martwota biła od niego, że cofałem się, jakby wśród otchłani lęku. Musiał odgadnąć moje myśli i uczucia, bo powiedział:

– Jestem już wyzwolony, a twój dzień daleko przed tobą, ale się jeszcze może znajdziemy...

Nie rozumiałem jego słów, nie rozumiałem już nic, a tylko zacząłem pragnąć jak najgoręcej chwili samotności. I to musiał mi wyczytać z twarzy, gdyż szepnął dobrotliwie:

– Nie krępuj się mną, połóż się, jesteś zmęczony.

Uścisnął mi mocno rękę i powiedział:

– Może cię jeszcze kiedy odwiedzę...

Dreszcz mną zatrzęsł, bo lodowate były słowa, lodowaty uścisk, a głos, jakby wydobyty z otchłani, zahuczał. Odstąpiłem mu swojego łóżka, a sam poszedłem do drugiego pokoju na sofę i prawie zaraz zasnąłem. Obudziłem się późno, koło dziesiątej. Ale jego już nie było, łóżko stało nietknięte, byłem pewny, że wyszedł wcześniej i tak cicho, iż się nie przebudziłem. Nawet się już nie dziwiłem ni zastanawiałem nad tym. Ale cały dzień rozmyślałem o nim, nie mogąc zrozumieć jego stanu ni też dziwnej przemiany, jaka się w nim stała. Jakoż o samym zmierzchu, dzisiaj, przechodząc koło katedry przystanąłem na chwilę, aby spojrzeć na ten nieśmiertelny hymn człowieczej wiary, spowity we mgły i jakby unoszący się w powietrzu, gdy ktoś wziął mnie pod rękę:

– Karol! – zawołałem mimo woli.

Stał przy mnie, ale nie wiem, czy to z powodu zmierzchu i mgieł, czy też coś przysłoniło mi oczy, że ledwie go dojrzałem.

– Czy pamiętasz naszą przysięgę? – zapytał.

Nie mogłem sobie przypomnieć.

– Ten, który z nas umrze pierwszy, ten da znać o sobie...

Roześmiałem się dosyć drwiąco.

– Cicho! – krzyknął surowo. – Widzisz mnie?

– Ależ widzę! – Ujrzałem go teraz najwyraźniej.

– Patrz, to mój pogrzeb... patrz...

Skamieniałem, wydało mi się bowiem, że na miejscu katedry otwiera się śnieżne, nieobjęte pole, posiane krwawymi zorzami zachodu, a wąską dróżką, poznaczoną krzakami, ciągnie wóz chłopski z trumną na wierzchu i za nią idzie kilkoro ludzi, i jakaś pieśń żałosna rozbrzmiewa w pustce...

– Teraz już wiesz... Dopełniłem przysięgi...

Posłyszałem w sobie jakiś obcy, przejmujący głos. Obejrzałem się prędko, nikogo już nie było, plac był pusty, tylko katedra wynosiła się coraz wyżej, jakby odrywając się od ziemi.

– Wytlumacz to wszystko, jeśli możesz?

– Chory jesteś, zaraz poślę po doktora.

Ale w parę dni później dowiedzieliśmy się o śmierci Karola. Sprawdziliśmy wszystkie daty i szczegóły. Umarł w tej chwili, kiedy go Janek spotkał przed bramą swego domu.

## REYMONT WAMPIRYCZNY

*dr Eliza Krzyńska-Nawrocka*

Rocznice mają to do siebie, że przypominają o tym, co w przeszłości było dostrzegane, a co nie zawsze w teraźniejszości jest tak mocno zaakcentowane. Rocznicę przywołują zdarzenia, ale przede wszystkim ludzi i ich dokonania. Niniejszy artykuł związany jest z rocznicą urodzin Władysława Stanisława Reymonta, pisarza, który obecnie znajduje się na archipelagu twórców, których dzieła pokrywają się patyną zapomnienia. Kim był? Co tworzył? I dlaczego pisarz, który na kartach literatury polskiej zapisał się jako przedstawiciel realizmu i naturalizmu, znajduje swoje miejsce w „Histerii”?

Poniższy tekst, choć zawiera fakty z życia pisarza, nie stanowi biogramu Reymonta, wspomniane są w nim te informacje, które istotne są dla rozpoznania Reymonta jako pisarza, a uściślając – pisarza grozy.

Laureat literackiej Nagrody Nobla przyszedł na świat 7 maja 1867 roku w Kobieliach Wielkich, jego nazwisko pierwotnie brzmiało Rejment, a kolejność imion była odwrotna – Stanisław Władysław – zmienił ją sam później sam zainteresowany, podobnie jak nazwisko. Korekta ta miała miejsce przed literackim debiutem. Od 1889 roku pisarz podpisuje się już jako Władysław Stanisław Reymont. Z nauką było mu nieszczęśliwie po drodze, gra na organach go nie pociągała, wyuczone krawiectwo porzucił, wędrowną trupą aktorską zaciekała go przez moment, handel nie zajął na zbyt długo, załatwiona przez ojca posada dróżnika kolejowego nie nęciła, próbował wrócić do aktorstwa (do 1887 roku występował pod pseudonimem Urbański, ale bez większych sukcesów i spektakularnych ról). Kolej była jego przekleństwem, do pracy tej powracał po nieudanych projektach życiowych (myślał na przykład o wstąpieniu do nowicjatu). O ironio, właśnie kolej ustawiła go, przynajmniej na chwilę, finansowo – odszkodowanie za wypadek przy pracy w 1900 roku dało potężny zastrzyk gotówki, umożliwiło podróżowanie (choć już w 1895 roku miał problemy z pieniędzmi, a gdy w 1924 roku otrzymał wspomnianą Nagrodę Nobla, trudno go było nazwać zamożnym człowiekiem). Imający się różnych zajęć, porzuciwszy w 1892 roku pracę na kolei Reymont zajął się pisarstwem (pierwsze jego opowiadanie powstało w 1891 roku) i to właśnie literatura zapewniła mu sławę.

Jego nazwisko kojarzy się powszechnie z *Chłopami*, *Ziemią obiecaną* lub *Komediantką*. Etos pracy i konflikt pokoleń, świat zamknięty w kole pór roku, Jagna – uosobienie sił natury, czy jakże symboliczna śmierć Boryny; chęć zdobycia milionów i pragnienie kariery, Łódź XIX wieku – miasto zaprzepaszczonej nadziei o „raju”, antyurbanizm; marzenie o aktorstwie, świat teatru czy panorama ludzkich losów i społeczeństwa – to obrazy, które przywołać można z jego twórczości. Na tym literackim tle wyraźnie odcina się tematycznie pewne dzieło wydane w postaci książkowej w 1911 roku – mowa o *Wampirze*. Warto bliżej przyjrzeć się tej zapomnianej pozycji.

Zapomnianej z kilku względów – po pierwsze, gdy mówimy wampir – myślimy *Drakula* – powieść Brama Stokera z 1897 roku stanowi odniesienie do kulturowych wyobrażeń wampira (warto więc wspomnieć mało znanego Johna Williama Polidoriego, który podczas kreatywnego genewskiego spotkania w willi Diodati 5 czerwca 1816 roku – uczestniczyli w nim George Byron oraz Mary i Percy Shelleyowie – zaimprovizował nowelę *Wampir*, stając się niepamiętanym ojcem wampirycznego mitu; nawiasem mówiąc tekst ten został wydany pod nazwiskiem autora *Giaura*); po drugie – w XXI wieku przytłoczenie beletrystyką wampiryczną sprawia, że postać ta kojarzy nam się z ckliwym melodramatem lub romanssem, co przesłania w ogóle zasadnicze kwestie związane z odczytaniem postaci wampira. Zmierzch wampira jako symbolu inności i zagadek ontologicznych zdaje się bliski. Błyskanie zębami, wykrzywione oblicze, ociekające krwią, holywoodzkie sceny grozy deprecjonują złożoność zjawiska wampira, w cień usuwając fakt, że wymienione elementy są jedynie jego wizualnymi atrybutami. I tu pojawia się kwestia tytułowej postaci powieści Reymonta, tego, w jaki sposób zostaje ona wykreowana, do jakich korzeni się odwołuje i jakie treści, które interesowały autora, ujawnia. Po trzecie, mimo najzyczliwszego nastawienia do tekstu autora *Fermentów* oraz zainteresowania wampirami, trudno uznać omawianą powieść za arcydzieło, o czym wielokrotnie wspominali krytycy. Niemniej jednak warto odnotować fakt istnienia tej historii na mapie wampirycznych opowieści.

Na wstępie artykułu zasygnalizowana została odmienność tematyczna *Wampira* względem innych utworów Reymonta. Patrząc na jego dorobek (około trzydzieści sporych rozmiarów tomów prozatorskich), zastanawiające może być, skąd zainteresowanie autora wirującymi stolikami, magicznymi praktykami i tytułową postacią.

Źródeł inspiracji można szukać w życiorysie pisarza, co nie znaczy, że należy łączyć fakty biograficzne z fabułą powieści. Fikcja literacka a przygody Reymonta to kwestie o tyle współbieżne, że z tych ostatnich wziąć się mogło zainteresowanie pisarza spirytualizmem czy mediumizmem. Niewątpliwie źródłem *Wampira* była przygoda autora jako medium – według

źródeł w 1888 roku wraz z spirytystą niemieckim udał się do Paryża i Londynu; w 1890 roku na jednym ze spotkań (10 lutego) został ogłoszony przez sympatyków i znawców spirytualizmu następcą Swedenborga, wyruszył z Częstochowy wraz z Puszowem – do Niemiec, by krzewić ideę spirytyzmu – został medium, ale mimo wcześniejszych zapewnień odkrywcy jego talentu, okazało się, że Reymont zdolności takowych nie posiada. Niemniej jednak zapoznał się ze środowiskiem seansów spirytystycznych. Nawiasem mówiąc, biografowie Reymonta nie są zgodni co do tego, czy wspomniana wyprawa miała miejsce, czy nie była wymysłem pisarza. Niemniej bezsporny jest fakt fascynacji autora *Chłopów* tematyką spirytystyczną, czego dowodem jest przedstawiana powieść. Wpływ na napisanie książki miało z pewnością powszechne zainteresowanie tym tematem wśród współczesnych Reymontowi, romantyczne i młodopolskie zagłębianie wiedzy tajemnej, poszukiwanie form wyrazu tego, czego w ludzkim języku nie da się opisać. Nie bez znaczenia dla powstania *Wampira* miała także wizyta pisarza w Londynie w 1884 roku, podczas której był na posiedzeniu Towarzystwa Teozoficznego, bezpośrednio poznał osoby z kręgu spirytystów rozwijających myśli Heleny Bławatskiej, gdzie zainspirował się atmosferą spirytualizmu. Niektórzy krytycy w historii głównego bohatera powieści Zenona odczytywali losy Reymonta, a w postaci demonicznej kobiety widzieli Wandę Szczukową, która w 1900 roku była intensywną miłością pisarza. Podobnie jak w przypadku wcześniejszych związków tekstu *Wampira* z życiorysem autora byłabym ostrożna. Oczywiście zwrot ku tej tematyce można powiązać ze wspomnianym pobytem w Anglii. Bezpośrednie przełożenie tego faktu widać w fabule książki – akcja rozgrywa się w Londynie, w środowisku przesiąkniętym ideami okultystycznymi. Tam też materializuje się wampir.

U Reymonta nie odnajdziemy wydłużonych klów ani malowniczych opisów spektakularnych reakcji na srebro czy przebijania osinowym kołkiem. Jego wyobrażenie wampira zostaje obudowane motywami okultystycznymi, mediumizmem, scenami spirytystycznych praktyk czy wschodnich medytacji prowadzących do samopoznania; wszystko to wpisuje się w zainteresowania młodopolskie czy – mówiąc szerzej – modernistyczne. Reymont nie jest w tym względzie odkrywcy, jednak warto przypatrzeć się, jak wspomniane tematy są przez niego realizowane. Warto nadmienić, że problematyka poruszana w *Wampirze* pojawia się we wcześniejszych jego tekstach – chociażby w nowelach *W palarni opium* (1894 r.), *Krzyk* (1896 r.), *Burza* (1899 r.), *Przed świtem* (1901 r.), *Marzyciel* (1908), *Senne dzieje* oraz *Dziwna opowieść* napisanych w tym samym roku co *Marzyciel*. Widoczna jest także w utworze z 1924 roku zatytułowanym *Seans*. Można zatem dostrzec pewną konsekwencję w fascynacji tajemniczymi zagadnieniami, które w *Wampirze*

autor realizuje.

Jak już zostało wspomniane, w jego powieści nie spotkamy atrybutów powszechnie dziś kojarzonych z wampirem; nie znaczy to jednak, że Reymont nowatorsko tę postać opisuje: w konstrukcji postaci możemy dostrzec romantyczne i modernistyczne widzenia wampira, a poznając fabułę powieści (której nie streszczam z wiadomych przyczyn – osoby, które czytały *Wampira* znają tekst, a tym, które jeszcze nie miały w swoich rękach powieści Reymonta, nie zamierzam psuć lektury, streszczając akcję; pragnę jedynie pewne kwestie zasygnalizować), dostrzec można wykorzystany przez autora schemat opowieści wampirycznej. Mamy zatem powtarzalną fabułę, zawierającą wątek romansowy, portret wampira jako kuszącej, pełnej erotyzmu kobiety, wkraczającej w życie bohatera związanego uprzednio z pełną niewinnością narzeczoną, wampira jako demonicznej kobiety burzącej spokój mężczyzny. Do tego dochodzą seanse spirytystyczne, mistyczne rytuały religijne, halucynacje, wizje, stany kataleptyczne, praktyki mediumiczne, satanistyczne i okultystyczne, będące udziałem bohaterów powieści. W tej gęstej, opisaney niezwykle poetycko historii czai się coś, skrywa się tajemnica budząca lęk.

W utworze Reymonta znajdziemy atmosferę niepokoju, narastającego oczekiwania na coś nieznanego. Widać to od pierwszych zdań powieści – w opisie seansu za pomocą mroku i światła, ciszy, która zapadła nagle i jest *pełna dręczącego oczekiwania* (*Wampir*, s. 5 – cytuję, podając numer strony za wydaniem W. St. Reymont, *Wampir*, Kraków 2003). Pokój jest głuchy, przepełniony trwogą porównany zostaje do otchłani. Napięcie wzrasta, dzieje się coś nieokreślonego. W tej atmosferze nieodgadnionego znajdują się, oprócz innych zgromadzonych, najważniejsze postacie powieści – Zenon, Joe i – osoba kluczowa dla całej wampirycznej historii – Daisy. Doznania bohaterów ujęte zostają w konwencję oniryczną, główna postać – Zenon zatracą granicę pomiędzy jawą a snem. Nic nie wydaje się takie, jakie jest: podczas pierwszego seansu – Joe patrzy na Daisy i dostrzega, że to *ta sama twarz, a rysy inne, obce... obce...* (*Wampir*, s. 8). Dla mężczyzny jest to zmiana dziwna, niezrozumiała. Zresztą nie tylko on nie będzie pojmował tego, co się wydarzyło. Obecni stają się świadkami powstania czegoś – pojawienia się zjawy, którą Reymont opisuje za pomocą metaforyki płomienia, światła, z którego wykształca się zarys postaci ludzkiej. Wyistnieniu zjawy towarzyszą dodatkowe atrakcje jak błyski, zapadająca w pokoju ciemność, w której jaśnieje tylko unosząca się zjawą materializująca się najpierw twarzą kobietą, potem jej włosami, ramionami, wreszcie całą postacią. Pojawiające się przed zebranyimi na seansie zjawisko – (Daisy? nie Daisy?) krystalizuje się w postać człowieka, choć ukazująca się twarz straszy brakiem rysów i pustką oczu, przyglądających się każdemu, a trupe *ręce zgroy*

*niewypowiedzianej* (*Wampir*, s. 12) dotyczą wszystkich twarzy. Nastrój grozy wzmagają muzyka – grający w transie Zenon, nieświadomy swej muzyki, powtarza jeden i ten sam akord, który będzie go nękał i po skończonym seansie. Podobnie jak Daisy, z którą połączył się podczas transu (a dokładnie złączyły się ich astrale). Od momentu seansu w jego pozornie ułożone życie wkroczy nieznane. A lęk wraz z rozwojem akcji będzie wchodził na coraz wyższe tony.

Przywołana postać Daisy ewokuje tajemnicę – jest znakiem rzeczywistości innego rzędu. Jako obca – przybyła z Kalkuty do Londynu – dominuje towarzystwo londyńskie, nikt nie jest obojętny na jej obecność – zaczynając od Zenona, pamiętając o postaci Joe, ludzi gromadzących się na seansach, na nieznaną jej narzeczonej i byłej miłości Zenona, a także córce tej ostatniej, kończąc.

Inność Daisy podkreślona jest jej zdolnością pojawiania się w różnych miejscach o tej samej porze, jej swoista mobilność wpisuje się w charakterystyczną dla wampira dwoistość istnienia (szczególnie rozpowszechniony był ten pogląd w romantyzmie, z rozprawy *O upiornych i wiedźmach* Jana Wagilewicza z 1840 roku, ukazującej wampira jako upiorka charakteryzującego się podwójnością natury, korzystał na przykład Adam Mickiewicz, takie odczytanie nie było obce także za czasów Reymonta). Bycie kobiety w kilku miejscach potęguje jej zagadkowość. Szcątkowe informacje o niej jedynie wzmacniają zaciekawienie i obawy. Daisy budzi w innych pożądanie i strach – każdy, kto jej ulegnie, znajduje się w niebezpieczeństwie. Reymont wykorzystuje w tym względzie wiarę, że wampir jest istotą zagrażającą człowiekowi, to kulturowe przekonanie bierze się między innymi z faktu, że posiada on tajemnicę nieśmiertelności oraz dlatego, że przyczynia się do śmierci swoich ofiar, całkowicie uzależniając je od siebie. Pisarz bardziej insynuując (świadczą o tym wypowiedzi bohaterów), niż dając dowody, pokazuje, że Daisy jest przyczyną nieszczęść – przemiany początkowo zafascynowanego spirytyzmem Joe, zatracenia Zenona, choroby dziewczynki, która ma być dzieckiem Zenona. Daisy – tajemnicza, rudowłosa piękność czaruje, uwodzi – szczególnie widoczne jest to w przypadku relacji z Zenonem – połączenie ich jestestw podczas seansu sprawia, że mężczyzna, mimo że nie jest tego świadomy, znajduje się pod wpływem kobiety. Determinuje ona jego życie, przyciąga i wiąże trwale ze sobą – bohater nie wie, co się z nim dzieje, nie wierzy, że Daisy może być służebnicą Szatana, mimo że w jednej z nieodgadnionych wędrówek staje się świadkiem sabatu, w którym uczestniczy kusząca go kobieta. Opętany jej pięknem i niedostępnością nieświadomie poddaje się jej władzy. Sobie nie dowierza, innym nie ufa (przestroga jednego z bohaterów, że: *To wampir! (...) Przybiera bowiem jakie chce kształty, aby żerować wśród dusz... A może jej jako człowieka nie ma*



zupełnie? Może to tylko chwilowa inkarnacja Jego woli?... (...) to może być tylko Jego cień, nieśmiertelny cień Zła i Grzechu!... (*Wampir*, s. 167) bardziej go intryguje niż przeraża) – zawieszony pomiędzy śnieniem a jawą, rzeczywistością a marzeniem, rozsądkiem a szaleństwem, życiem a śmiercią, trwa w oczekiwaniu na znak od Daisy-wampira. Staje się jej ofiarą. Błąka się w znanej dotychczas rzeczywistości jak we mgle (warto nadmienić, że powieść pierwotnie, gdy publikowana była w „Kurierze Warszawskim” w 1904 roku nosiła tytuł *We mgłach*, choć w stosunku do wydania książkowego była znacznie mniej rozbudowana, jednak tytuł także jest znamieny).

Książka kończy się, a w zasadzie urywa się słowami Zenona *A choćby nawet Szaleństwo i Śmierć! A choćby!*, które domknięte zostają komentarzem *...A przed świtem „Kaliban” wypłynął z portu w nieznanym kierunku.* (*Wampir*, s. 177). Zamknięcie to, wskazujące na wyruszenie Zenona w podróż z Daisy, paradoksalnie stanowi otwarcie – potęguje kwestię nieodgadnionego, która jest kluczowa jest dla utworu Reymonta; wzmacnia niepokój, który konsekwentnie buduje pisarz od pierwszej frazy...

Spod zainteresowania wiedzą tajemną, wykorzystanych obrazów – zjaw, wirujących stolików, wychodzenia z siebie, szaleństwa, sobowtóra, sabatu, konwencji snu i romansu, kobiety fatalnej, niebezpiecznej seksualności, skupiających się w portrecie wampira wyziera pytanie o istnienie, o tożsamość; o to, czym jest rzeczywistość, w której zanurzony jest człowiek, co to znaczy być...

I choć konwencjonalność użytych chwytów, przeładowanie nastrojowości, manieryczność stylistyki może wpływać na lekturę powieści Reymonta, jej ocenę, to jednak budowana przez niego atmosfera niewiadomego, niedopowiedzenia, zawieszona w ostatnich słowach Zenona sprawia, że w 2015 roku nie można zapomnieć o powieści Reymonta, sprawia, że jego *Wampir* może wywołać historyczny dreszcz...

# PARTNERZY



**STRASZNE-HISTORIE.PL**  
ODWAŻYSZ SIĘ?!





Jeśli  
piszesz  
horro-  
ry,  
wiedz,  
że HIS-  
TERIA  
się  
tobą  
intere-  
suje

Czekamy na Wasze historie! Zakres tematyczny jest bardzo szeroki. Im bardziej będziemy się bać czytając Wasze prace, tym lepiej.  
Długość tekstów od 5 do 15 stron znormalizowanego maszynopisu (1800 znaków ze spacjami na stronie).

Teksty należy przesyłać na adres:

[magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

